NESTOR

Czasopismo Artystyczne

3(65) 2023 Rok XVII www.nestor-krasnystaw.eu ISSN 1898-1801

Hopperstad – drewniany kościół stavkirke z XII w.
fot. Wiesław Krajewski

Wodospad Vøringsfossen.

Rzeźby Gustava Vigelanda w parku w Oslo.

Muzeum Muncha.

Na dachu Opery Narodowej w Oslo.

Topniejące jezory lodowca.

Myślałem, że domki porośnięte mchem są tylko w bajkach.

Norweskie fiordy.

Po zachodzie słońca w Bergen (o dziwo, bez deszczu).

Norwegia

Z czym nam się kojarzy Norwegia? Kraj trochę „dziki", niedostępny, z przygnębiającymi nocami i egzotycznymi dla „normalnego" Europejczyka dniami polarnymi, z Pokojową Nagrodą Nobla, a dla wielu osób – po prostu kraj, w którym można nieźle zarobić. Ale myślimy także o ludziach. Przychodzą nam do głowy nazwiska znanych Norwegów: Edvard Munch, Roald Amundsen, Thor Heyerdahl, Henryk Ibsen, Edvard Grieg, do tego jeszcze wspaniali sportowcy – biegacze, skoczkowie narciarscy. To całkiem nieźle, jak na trochę ponad 5,5-milionowy naród rozsiany na powierzchni nieco tylko większej od Polski.

Mnie się Norwegia kojarzy jeszcze z czymś – z deszczem. Nie wybierajmy się tam bez nieprzemakalnej odzieży, kaloszy, parasola. Bywa, że deszcz pada przez 60 dni z rzędu. W Bergen, drugim co do wielkości mieście, pada średnio przez 242 dni w roku. Stąd okrzyknięto je najbardziej deszczowym miastem w Europie. Norwegowie muszą sobie jakoś z tym radzić. Psychologicznie pomaga im twierdzenie, że „nie ma złej pogody, jest tylko źle dobrane ubranie". Ta trudna dla nas do zaakceptowania aura nie przeszkadza im wcale w przebywaniu na świeżym powietrzu, uprawianiu sportów, organizowaniu wypraw pod namiot. Tam każdy człowiek ma prawo do kontaktu z naturą i skwapliwie z niego korzysta. Wszystko dzieje się „niezależnie od pogody".

Ale błędem byłoby omijać ten kraj. Norwegia ma też niemało jasnych stron. Przyroda – soczysta zieleń roślinności, urzekające fiordy, zatrzęsienie wodospadów, efektowne jęzory lodowców, malownicze górskie drogi, zapierające dech widoki, zjawiskowe zorze polarne. Można się zachłysnąć. Mijane po drodze drewniane kolorowe domki z porośniętymi mchem dachami wręcz wtapiają się w przyrodę. A piękno norweskiej zimy mogę sobie tylko wyobrazić. Architektura w miastach z odniesieniami do tradycji, bywa też nowoczesna, futurystyczna, ale też wzbudza mieszane odczucia. Niektóre nowe budynki w stolicy uznano wręcz za najbrzydsze w całej Norwegii. Przeciwieństwem jest gmach opery w Oslo przypominający wyglądem górę lodową, a po jego dachu... tłumnie spacerują mieszkańcy stolicy.

Norwegię trzeba sobie zapisać w kajeciku jako kraj warty odwiedzenia.

Wiesław Krajewski

Słowo redaktora

Niebagatelną rolę w projekcji skarbów przeszłości pełnią regionaliści, historycy, książki oraz skuteczne w przesyłaniu informacji środki masowego przekazu. Popularną formą krzewienia wiedzy i kultury są jubileusze. Dzięki nim odbiorca ma możliwość poznać tematyczną esencję. „Nestor" również ogłasza lata jubileuszowe, aby zawiadomić czytelników i świat o perłach ziemi krasnostawskiej.

Przed kwartałem ogłoszony został **Rok Krystyny Anny z Lubomirskich Potockiej**, fundatorki kościoła pw. św. Franciszka Ksawerego oraz kolegium jezuickiego w Krasnymstawie. Umocowany został m.in. na 380. rocznicy urodzin fundatorki oraz 300. rocznicy położenia fresków przez Adama Swacha na zakończenie budowy kościoła. Zainteresowanie osobą jubilatki pozwoliło na ostateczne doprecyzowanie daty jej urodzin. Zapraszam do lektury wnikliwego opracowania na temat Patronki Roku, które przygotowała Maja Toczona-Wal.

Na kolejnych stronach dr Wiesław Krajewski odkrywa krasnostawskie związki z Mikołajem Kopernikiem. Jacek Kiszczak kontynuuje cykl „Tajemnice archeologii", Józef Adam Dąbek prezentuje historię szkoły w Wierzchowinie na tle uczniowskich wspomnień, natomiast Waldemar Seroka opisuje brawurowe akcje Armii Krajowej na Zamojszczyźnie. Elżbieta Kmieć przytacza opowieść swojej matki, która przyjaźniła się z Anną German. W cyklu „Mój Jaślików" realia dawnej wsi przybliża Andrzej Stanisław Adamczuk, natomiast pilot Marian Rybczyński dzieli się kolejnymi swoimi podniebnymi wrażeniami. Z ogromnym współczuciem czytamy smutną wiadomość Janusza Wanota o przedwczesnej śmierci syna Gregora i jego niebagatelnych osiągnięciach naukowych.

Po trzech latach po raz drugi opublikowana została lista poległych i zamordowanych z terenu gminy Siennica Różana. Tym razem do apelu stanęło o sto osób więcej. Uprzejmie proszę o zgłaszanie wszelkich uwag.

Miło nam donieść, że pod patronatem „Nestora" znalazł się XX powiatowy konkurs „Legendy ziemi krasnostawskiej" oraz V Wojewódzki Konkurs Fotograficzny „Leśny album", o czym na dalszych stronach.

W niniejszym wydaniu jak zawsze nie brakuje wywiadów, recenzji, opowiadań, anegdot, fraszek oraz wierszy poetów polskich i chorwackich.

Miłej lektury

Andrzej David Misiura

Spis treści

Norwegia 1
Wiesław Krajewski

Słowo redaktora 1
Andrzej David Misiura

Krystyna Anna z Lubomirskich Potocka
– w 380 rocznicę urodzin 3
Maja Toczona-Wal

Oleszczyńscy i Kopernik 15
Wiesław Krajewski

Tajemnice archeologii. Część V 18
Jacek Kiszczak

Historia Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie 22
Józef Adam Dąbek

Uwolnić warszawianki! 33
Waldemar Seroka

Ofiary II wojny światowej.
Teren gminy Siennica Różana 38
Andrzej David Misiura

Poezja – Mirosław Iwańczyk 45

Zaśpiewaj nam, Aniu 48
Elżbieta Kmieć

Wakacje. Z cyklu „Mój Jaślików” 51
Andrzej Stanisław Adamczuk

Żniwa. Z cyklu: Mój Jaślików 56
Andrzej Stanisław Adamczuk

Smak chleba 61
Lucjan Cimek

Spis treści

Dęblińskie przypadki 63
Marian Rybczyński

Poezja – Urszula Katarzyna Bydlińska 67

„Per aspera ad astra”
– wspomnienie Gregor Paul Wanot 68
Janusz Wanot

Wystawa „Kopernik 550” w Powiatowej Bibliotece
Publicznej w Krasnymstawie 71
Elżbieta Patyk

V Wojewódzki Konkurs Fotograficzny
im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album” 72
Monika Nagowska

Prace z XX powiatowego konkursu „Legendy ziemi
krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową
Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie 74

Z cyklu: „Moje lapidaria” 88
Jan Henryk Cichosz

Pół wieku wierny muzom 91

Poezja – Monika Nagowska 97

Poezja bliskim słowem pisana 98
Ewa Radomska

Poezja – Jagoda Kljaić 100

Poezja – Ladislav Babić 101

Anegdoty 102
Leszek Janeczek

Serdeczne podziękowania za wsparcie finansowe w minionym kwartale składamy ponownie na ręce Państwa: Barbary Rusinek-Zdun z Ciechanowa, Janusza Tyburskiego z Radzynia Podlaskiego oraz anonimowej osoby z Krasnegostawu. Łącznie otrzymaliśmy 600 złotych. Dzięki Państwu do tej pory udawało się pokryć koszty materiałów drukarskich. Mamy nadzieję, że czasopismo „Nestor” będzie ukazywało się nadal bez opóźnienia.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie **25 8200 0008 2001 0012 4067 0004**. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.

NESTOR
Czasopismo Artystyczne

NR 3 (65) 2023 – ROK XVII NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Piłat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:
Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)

Współpracują:
Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Józef Adam Dąbek (Lublin)
Elżbieta Kmieć (Izbica)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Maja Toczona-Wal

Krystyna Anna z Lubomirskich Potocka – w 380 rocznicę urodzin

Krystyna Anna Lubomirska herbu Szreniawa bez Krzyża przyszła na świat 26 lipca 1643 roku, w dzień św. Anny. Była trzecim dzieckiem i jedyną córką Sebastiana Jerzego Lubomirskiego[1] oraz Konstancji z Ligęzów Lubomirskiej[2], jej braćmi byli Stanisław Herakliusz[3], Aleksander Michał[4] oraz Hieronim Augustyn Lubomirscy[5].

Krystyna urodziła się w Dąbrowie Tarnowskiej, na zamku wybudowanym z początkiem XVII wieku przez Mikołaja Spytka Ligęzę, ojca Konstancji. Również w Dąbrowie Tarnowskiej, 6 sierpnia 1643 roku odbył się chrzest Krystyny, a jej rodzicami chrzestnymi zostali Jan Klemens Branicki[6] oraz Helena Tarłowa. Sakramentu udzielił ksiądz Jan Gademski, proboszcz tarnowski, pleban dąbrowski.

Rodzinny majątek w Dąbrowie, po śmierci Mikołaja Ligęzy w 1637 roku przeszedł w ręce Konstancji. Po zamku nie pozostał dziś już właściwie żaden widoczny na pierwszy rzut oka ślad, nie licząc zachowanego fragmentu fosy. Skany rzeźby terenu wykonane w 2015 roku wskazują na ufortyfikowaną budowlę z czterema bastionami. W drugiej połowie XVII wieku, opodal pierwotnych zabudowań powstał pałac przejęty w kolejnych latach przez ród Lubomirskich. Zachowała się po nim jedynie zdobiona panopliami i herbem Szreniawa brama, dziś stanowiąca fragment ogrodzenia kościoła NMP Szkaplerznej, który wybudowany został w miejscu dawnego założenia pałacowego. Brama jest ostatnim fragmentem przeszłości Dąbrowy Tarnowskiej łączącym nas pośrednio z najwcześniejszymi latami życia Krystyny Anny Lubomirskiej, później Potockiej.

Jak podaje jedno ze źródeł, w dniu narodzin Krystyny rozszalała się straszliwa burza, rozlegał się huk grzmotów, a niebo raz po raz rozdzierane było piorunami. W późniejszych latach wojewodzina Potocka przywołała to wydarzenie, dodając, że „zaraz po Narodzeniu Śmierci raczey y piorunów godna była niżeli Świata, y na nim tak oziębłgo życia, iak o Sobie rozumiała”[7]. Cytat ten w zasadzie wskazuje kierunek, jaki obrała w swoim życiu – można określić go jako życie ku śmierci.

Krystyna wcześnie straciła matkę. Konstancja z Ligęzów Lubomirska zmarła w 1646 roku, a Jerzy Sebastian przekazał opiekę nad trzyletnią wówczas córką swojej siostrze, Annie Krystynie z Lubomirskich Radziwiłłowej[8], żonie Albrychta Stanisława Radziwiłła[9]. Krystyna trafiła do majątku Radziwiłłów w Ołyce (dawne województwo wołyńskie, obecnie Ukraina), przebywała też w pałacu radziwiłłowskim w Nieświeżu (dawne województwo nowogródzkie, obecnie Białoruś). Najprawdopodobniej pod opieką ciotki pozostawała do 18. roku życia, niemal do ślubu z Feliksem (Szczęsnym) Kazimierzem Potockim herbu Pilawa[10].

---

1 Marszałka wielkiego koronnego, hetmana polnego koronnego, starosty krakowskiego, chmielnickiego, perejasławskiego, nižyńskiego, kazimierskiego, olsztyńskiego, dobczyckiego, spiskiego, sądeckiego, lipnickiego, grybowskiego, hrabiego na Wiśniczu i Jarosławiu, ur. 1616, zm. 1667.

2 Córki Mikołaja Spytka Ligęzy, kasztelana czechowskiego, żarnowskiego, sandomierskiego, starosty żydaczowskiego, bieckiego, ropczyckiego i jego trzeciej żony Zofii Krasińskiej, ur. 1618, zm. 1646.

3 Podstoli koronny, marszałek wielki koronny, marszałek nadworny koronny, marszałek sejmu zwyczajnego w Warszawie, starosta spiski, ur. 1642, zm. 1702.

4 Marszałek Trybunału Głównego Koronnego, starosta perejesławki i sądecki, ur. ok.1642, zm. 1675.

5 Hetman wielki koronny, hetman polny koronny, podskarbi wielki koronny, marszałek nadworny koronny, chorąży wielki koronny, wojewoda krakowski, komandor komandorii poznańskiej zakonu maltańskiego, kanonik kapituły katedralnej poznańskiej, administrator olbory olkuskiej, starosta smotrycki, bohusławski, kozieniecki, ur. ok. 1647, zm. 1706.

6 Podkomorzy krakowski, chorąży krakowski, żupnik chęciński, starosta chęciński, bocheński i wielicki, zm. 1657.

7 W. Starzyński, *Życie Krystyny Potockiey*, Polska 1695-1705, rękopis w zbiorach Biblioteki Narodowej.

8 Ur. 1618, zm. 1667.

9 Kanclerza wielkiego litewskiego, starosty łuckiego, pińskiego, gniewskiego, tucholskiego, ur. 1593, zm. 1656.

10 Marszałek sejmu elekcyjnego w Warszawie, hetman wielki koronny, hetman polny koronny, kasztelan krakowski, wojewoda krakowski, wojewoda kijowski, wojewoda sieradzki, podstoli wielki koronny, starosta bełski, sokalski, krasnostawski, ropczycki i tłumacki, ur. 1630, zm. 1702.

Niektóre źródła wskazują liczne zasługi natury wojskowej Feliksa Potockiego, znakomitego rycerza, „zwycięzcy pod Cudnowem i Wiedniem, gromiciela Turków i Kozaków”[11] jako czynnik decydujący o wyborze go na małżonka przez Krystynę. Nic bardziej mylnego, zdanie nastoletniej Lubomirskiej nie miało większego znaczenia. Jej pragnieniem było życie spędzone w klasztorze Sióstr Karmelitanek, ale Potocki „był pierwszy w respekcie u Oyca Krystyny”[12].

Młodzi w rzeczywistości stali się narzędziem w rękach królewskiego dworu. Ojciec Feliksa, Stanisław Rewera Potocki[13] zaangażowany został w rozgrywkę o elekcję „vivente rege”[14] zaproponowaną przez królową Marię Ludwikę Gonzagę pod koniec panowania Jana Kazimierza. Poparł, po długim wahaniu, projekt Marii Ludwiki, a jego zgoda została wykorzystana przez obóz królewski do pozyskania przychylności sprzeciwiającego się planom elekcji Jerzego Sebastiana Lubomirskiego. Temu służyć miał „związek obu ojców”[15], czyli zawarte w 1661 roku małżeństwo Krystyny Lubomirskiej z Feliksem Potockim (również, podobnie jak Lubomirski, pozostającym w opozycji do zamierzeń królowej). Zresztą, w liście datowanym na 4 czerwca 1665 roku Jerzy Sebastian Lubomirski pisze do Stanisława Rewery Potockiego: „Spowinnowaciłem się też z Domem WMMMPana, et mutuor Dom mój nexus wprowadziłem, nie inszą tylko jako wszy[s]tkie Domy powinnowacić się zwykły, intentią, aby z nastąpieniem ściślejszej między Domem mym przyjaźni, i onej stwierdzeniem, wzajemne i gruntowne Domy nasze mieć czasu potrzeby suffragium mogły

[11] *Świątobliwe niewiasty. IX. Krystyna Potocka*, „Czytelnia niedzielna” 1859, 23 sierpnia-2 września, ss. 3-4.

[12] W. Starzyński, dz. cyt.

[13] Hetman wielki koronny, hetman polny koronny, wojewoda krakowski, wojewoda kijowski, wojewoda podolski, wojewoda bracławski, kasztelan kamieniecki, podkomorzy podolski, starosta halicki, radomski, krasnostawski, barski, grodecki, kołymyjski, mościcki, drahiński, latyczowski, Doliński, medycki, sokalski i ropczycki, ur. ok. 1589, zm. 1667.

[14] Elekcja nowego króla za panowania obecnego władcy.

[15] P. Kroll, *Listy hetmańskie rodu Potockich, Tom II, Korespondencja Stanisława „Rewery” Potockiego, Hetman polny koronny 1652-1654, Hetman wielki koronny 1654-1667*, Warszawa 2019, s. 38.

[…]”[16]. Zabiegi środowiska dworskiego przyniosły krótkotrwały skutek, bo już w 1665 roku doszło do tzw. „rokoszu Lubomirskiego”, a sam hetman został skazany na infamię i banicję.

Uroczystości ślubne Krystyny i Feliksa trwały od 18 do 27 września 1661 roku. Sakramentu w łańcuckim kościele farnym pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa Męczennika udzielił biskup przemyski Andrzej Zawisz Trzebicki, natomiast wesele odbyło się na zamku Lubomirskich w Łańcucie. O tym, jak dalece nieistotna była wówczas nie tylko wola, ale i osoba samej panny młodej, co niespecjalnie dziwi, niech świadczą teksty źródłowe opisujące te, skądinąd przebogate i doniosłe wydarzenia. Epitalamium skomponowane przez Stanisława Żelazowskiego, wydane w 1661 roku w Krakowie przez drukarnię Schedela jest typowym tekstem pochwalnym wynoszącym zasługi obu rodów i opiewającym sukcesy militarne, pełnym antycznych odniesień, traktującym jednak Krystynę dość marginalnie. Pojawia się w tytule druku, w którym wymieniona jest jako „Najznakomitsza i Najdostojniejsza Oblubienica Krystyna Hrabina na Wiśniczu i Jarosławiu Lubomirska”. Dalszą część stanowi kwiecista pochwała połączenia się starożytnych domów.

W Bibliotece Książąt Czartoryskich w Krakowie zachował się rękopis zatytułowany „Opisanie Aktu Weselnego, który w Łańcucie Roku 1661 18 Septembris Jaśnie Oświeconego Xiążęcia JM Państwa Rzymskiego Jaśnie Wielmożny JM Pan Jerzy Sebastian Hrabia na Wiśniczu y Jarosławiu Lubomirski […] sprawował Córce Swoiey Jaśnie Wielmożney Konstancji, która JEymość była poślubiona Jaśnie Wielmożnego JM Pana Stanisława Potockiego Wojewody Krakowskiego hetmana Wielkiego Koronnego Synowi jaśnie Wielmożnemu JM Panu Felicianowi Potockiemu […] Potomnym wiekom do wiadomości podany 1651”. Autorem rękopisu był Stanisław Czarniecki, kuchmistrz jednego z braci Krystyny, Aleksandra Michała i autor pierwszej polskiej książki kucharskiej. Dwukrotnie pomylił się, tytułując sporządzony przez siebie dokument. Imię „Konstancji” zostało przekreślone, a nad nim poprawnie zapisano imię „Krystyny”, ponadto Czarniecki z końcem tytułu błędnie podaje 1651 rok – Krystyna miałaby wówczas 8 lat.

[16] Tamże, s. 240.

„Opisanie…" wspomina przyjazd Stanisława Rewery Potockiego wraz z synem do Łańcuta w towarzystwie przyjaciół, husarii, pułkowników, półtora tysiąca rycerstwa i 60 koni różnych ras. Lubomirski wyjechał im naprzeciw „Nie w mnieyszym poczcie […] od wsi Głuchowa"[17] (obecnie Głuchów). W drodze do zamku Potocki jechał środkiem pochodu, po prawej stronie mając Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, po lewej zaś syna Feliksa, pana młodego. Z okazji przyjazdu, z dział wystrzelono na wiwat 24 razy, podobnie po powrocie z uroczystości w kościele farnym, jak też wtedy, gdy pito kolejno za zdrowie króla, hetmana wielkiego koronnego oraz rycerstwa. Autor skrupulatnie wylicza liczebność piechoty cudzoziemskiej (1200 osób), piechoty węgierskiej (600 osób), piechoty „do noszenia Potraw"[18] (600 osób), liczbę kwater wybudowanych dla pułkowników (40) oraz liczbę „Posłów z upominkami tak Cudzoziemskich jako y Panów możnych z Rycerstwa Obojga Narodów"[19] (1500 osób wpisanych do rejestru). Ponadto dowiadujemy się, że w czterech kuchniach pod wodzą czterech kuchmistrzów pracowało 75 kucharzy sprowadzonych z Warszawy, Krakowa i Lwowa. Czarniecki wylicza, ile podano na stół m.in. wołów, cieląt, baranów, kapłonów, jeleni, danieli, jarząbków, cyranek czy dropi (!), kończąc opis stwierdzeniem „Korzenie iednak kładę, korzenie na tym Akcie weselnym"[20]. Uroczystości musiały w istocie być imponujące i zgromadziły ogromną liczbę gości, a zebrane podczas nich wojsko obozowało na terenie rozpinającym się od Kosiny do Łańcuta – obecnie jest to odległość 7 km.

Krystyna Anna Lubomirska była pierwszą żoną Feliksa Kazimierza Potockiego. Byli mał-

[17] S. Czarniecki, *Opisanie Aktu Weselnego, który w Łańcucie Roku 1661 18 Septembris Jaśnie Oświeconego Xiążęcia JM Państwa Rzymskiego Jaśnie Wielmożny JM Pan Jerzy Sebastian Hrabia na Wiśniczu y Jarosławiu Lubomirski […] sprawował Córce Swoiey Jaśnie Wielmożney Konstancji, która JEymość była poślubiona Jaśnie Wielmożnego JM Pana Stanisława Potockiego Wojewody Krakowskiego hetmana Wielkiego Koronnego Synowi jaśnie Wielmożnemu JM Panu Felicianowi Potockiemu […] Potomnym wiekom do wiadomości podany 1651,* Polska 1661, rękopis w zbiorze Biblioteki Książąt Czartoryskich.

[18] Tamże.

[19] Tamże.

[20] Tamże.

żeństwem przez 38 lat. Z ich związku narodziło się pięcioro dzieci: Michał[21], Józef Felicjan[22], Stanisław Władysław[23], Jerzy[24] oraz Marianna I voto Jabłonowska, II voto Tarłowa[25].

Jako matka, dbała przede wszystkim o wychowanie swoich dzieci w wierze katolickiej. W Wielki Czwartek zabierała córkę Mariannę do szpitali, by uczestniczyć w obrzędzie *pedilavium*[26], w Wielki Piątek zaś usługiwały w sokalskim klasztorze Brygidek. Swego najstarszego wnuka, Franciszka Ksawerego Potockiego, gdy jako niemowlę przebywał pod jej opieką, uczyła mówić „Jezus Maria" i bić czołem przed krzyżem.

Okazywanie swoim dzieciom uczucia uznawała za szatańskie podszepty i pokusy. Nie znaczyło to jednak, że jako rodzic nie starała się na swój sposób o nie zadbać, co wyrażają postanowienia, jakie sobie spisała: „1. Starać się trzeba o wychowanie dzieci bardziej Chrześcijańskie niż polityczne, 2. Starać się aby zagrodzony był do nich wszelkim złym okazyom, przykładom, języcom przystęp, 3. Tłumić w nich wcześnie impety złych Passyi, zwłaszcza gniewu, prezumpcyi, pychy etc. aby z nimi nierosły, 4. Starać się do nich o ludzie przynajmniej równo pobożne, jako uczone, 5. Starać się aby umiały naukę Chrześcijańską, atrybuty wiary Świętey, bo się polityka Sama za laty nauczy bez Mistrza, 6. Wpoić im w Serca początek mądrości, Boiażń Bożą y boiażń grzechu, jako Św. Blanka Św. Synowi Ludwikowi mawiała: Wolę abyś wprzód umarł, niżelibyś kiedy Śmiertelnie Boga obraził"[27].

[21] Pisarz polny koronny, marszałek Trybunału Głównego Koronnego, wojewoda wołyński, starosta krasnostawski, starosta sokalski, starosta błoński, ur. po 1661, zm. 1749.

[22] Strażnik wielki koronny, starosta bełski, starosta ropczycki, zm. 1723.

[23] Strażnik wielki litewski, łowczy litewski, marszałek Trybunału Głównego Koronnego, marszałek konfederacji tarnogrodzkiej, marszałek sejmiku konfederackiego województwa bełskiego, wojewoda bełski, starosta hrubieszowski, zm. 1732.

[24] Sędzia kapturowy województwa bełskiego, starosta grabowiecki, tłumacki, dubieński, zm. 1747.

[25] Zm. 1749.

[26] Obmywanie nóg ubogim.

[27] W. Starzyński, dz. cyt.

Krystyna, co prawda zawierzyła życie i zdrowie swoich dzieci woli Boga, ale nie pozostawała przecież na nie obojętna. Kiedy najstarszy syn Michał w dzieciństwie zachorował, modliła się, leżąc krzyżem na posadzce augustiańskiego kościoła w Krasnymstawie, podczas nabożeństwa w intencji dziecka. Gdy wyzdrowiał, ufundowała augustianom ołtarz i srebrną sukienkę na umieszczony w nim obraz. Interweniowała również, gdy Michał w 1698 roku stanął przed sądem hetmańskim za wzniecenie zamieszek w obozie wojsk koronnych w Mużyłowie we wrześniu tego samego roku. Najstarszy syn Potockich zaatakował Jana Jerzego Przebendowskiego, wojewodę malborskiego będącego blisko króla Augusta II oraz podburzał do buntu przeciwko królowi i wojskom saskim. Krystyna, tak sama, jak i za pośrednictwem swego brata Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, wyprosiła u monarchy ułaskawienie Michała Potockiego i przywrócenie go do łask.

Krystyna z Lubomirskich Potocka zapamiętana została jako fundatorka kilku budowli sakralnych, dobrodziejka zakonów, fundatorka aparatów i szat kościelnych. Była kobietą niezwykle oddaną Kościołowi i wierze katolickiej. Jak wspominają źródła, życie zarówno jej, jak i całego dworu zorganizowane było w ściśle określony sposób, podporządkowany rytmowi kolejnych dni świątecznych, pracy, modlitwie, religijnej lekturze, ale też tzw. „dyscyplinom" czyli umartwianiu ciała. Jednym z największych pragnień Krystyny było cierpienie i poświęcenie życia za wiarę wzorem chrześcijańskich męczenników i misjonarzy. Mówiła „Jest to sobie pochlebować, że Boga kocham, a nic niecierpię dla Boga […]"[28]. Potrzeba ta miała swoje źródła w dzieciństwie Krystyny, wychowaniu, jakie odebrała od ciotki Anny Krystyny Radziwiłłowej oraz w pewnych wydarzeniach związanych ze zdrowiem dziewczynki. Jeśli wierzyć źródłom, mała Lubomirska była energicznym i ciekawym świata dzieckiem, które jednak było dość stanowczo „temperowane" przez Radziwiłłową. Wspominane jest przywiązywanie Krystyny do nogi stołowej, gdy zbytnio dokazywała i wręczanie jej do czytania nabożnych książek lub jakiegoś rodzaju robótki ręcznej. Pozwala to przypuszczać, iż przyszła wojewodzina krakowska niewiele miała okazji do zabawy w najmłodszych latach swojego życia.

[28] Tamże.

„Życie Krystyny Potockiey", biografia spisana na podstawie relacji jej spowiednika, podaje, że już w dzieciństwie Krystyna miała częsty i regularny kontakt z braćmi zakonu jezuitów, którzy przybywać mieli do majątku Radziwiłłów, by prowadzić nabożeństwa i wygłaszać kazania. Ich obecność we dworze może wskazywać, że w relacji chodzi o posiadłość w Nieświeżu, przez wzgląd na istniejące w mieście kolegium jezuickie, ufundowane w 1584 roku przez Mikołaja Krzysztofa „Sierotkę" Radziwiłła[29]. Ponadto Albrycht Radziwiłł ukończył jezuicką Akademię Wileńską i ufundował kolegium jezuickie w Pińsku. Co ciekawe, Stanisław Jacek Święcicki[30], ówczesny sufragan żmudzki i oficjał gdański, późniejszy biskup chełmski, który odegra w kolejnych latach znaczącą rolę w życiu Krystyny, uważany był wręcz za „domowego" Albrychta.

Krystyna dorastała zatem w otoczeniu zakonników, pod okiem surowej ciotki, wśród rodziny wpierającej jezuitów, a czas upływał jej na nauce gry na instrumentach (grała na lutni, skrzypcach, klawikordzie i szpinecie), pracach ręcznych i lekturze żywotów świętych panien i męczenników. Gdy miała zaledwie 9 lat, zainspirowana tymi opowieściami, postanowiła złożyć śluby wiecznego poddaństwa Matce Boskiej, co też uczyniła, a spisaną przez siebie przysięgę podpisała własną krwią upuszczoną z nakłutego palca.

Pragnienie poświęcenia się w całości Bogu spotęgowało przekonanie Krystyny o cudownym ozdrowieniu, jakiego doznała w 1654 roku. Dwa lata wcześniej, w 1652, w Rzeczpospolitej rozprzestrzeniać zaczęła się *mors nigra* – morowa zaraza. Zaraziło się i zmarło tysiące ludzi w całym kraju. W „Pamiętniku" Albrychta Radziwiłła znalazł się zapis „[…] a tymczasem tak u nas jako i między Kozakami powietrze panowało, tak dalece, że w niektórych miastach ledwo stu ludzi żywych się ostało"[31].

[29] Marszałek wielki litewski, kasztelan trocki, wojewoda trocki i wileński, starosta szawelski, ur. 1549, zm. 1616.

[30] Biskup chełmski, archidiakon warszawski, sufragan żmudzki, dziekan kijowski, oficjał gdański, scholastyk gnieźnieński, opat lubiński, kanonik kapituły katedralnej poznańskiej, ur. 1620, zm. 1696.

[31] A. Radziwiłł, E. Raczyński, *Pamiętniki Albrychta Stanisława X. Radziwiłła Kanclerza W. Litewskiego, tom II*, Poznań 1839, s. 483.

Objawy choroby, jakie wymienia Ludwik Kubala w „Szkicach historycznych" to czerwone plamy występujące na ciele, gorączka, ból głowy, wymioty, ciężki oddech, ociężałość, brak snu lub nadmierna senność, wrzody, dymienice i guzy pod pachami. Pokrywają się one z symptomami, jakie wystąpiły u 11-letniej Krystyny. Dziewczynka zaraziła się od ochmistrzyni. Pojawiła się wysoka gorączka oraz „wrzód osobliwy pośrodku czoła, drugi znaczny pod gardłem"[32], a lekarze opiekujący się dzieckiem nie potrafili mu pomóc. Krystyna, poinformowana o zagrożeniu życia przez spowiednika jezuitę Starzyńskiego, przystąpiła do spowiedzi i komunii, ale też uczyniła kolejny ślub. Był 30 lipca, wigilia dnia św. Ignacego Loyoli, założyciela *Societatis Iesu*. Chora miała zobowiązać się dożywotnio pościć, spowiadać się i przyjmować komunię w dzień św. Ignacego, jeśli Bóg za jego pośrednictwem uleczy ją i uratuje jej życie. Krystyna pokonała chorobę, która jednak pozostawiła na jej twarzy szpecącą bliznę. Powrót do zdrowia utwierdził ją w przekonaniu o konieczności życia w głębokiej wierze i pokorze wobec Boga. Podobną wdzięczność za ocalenie poczuła, gdy jako nastoletnia dziewczyna cudem uniknęła stratowania przez konia podczas polowania opodal Sokala.

Co ciekawe, źródła podają, że młoda Krystyna wykazywała zamiłowanie do łowów, hodowała psy myśliwskie i preferowała męski, prosty strój. W kwestii ubioru przez całe życie pozostawała konserwatywna i nigdy nie podążała za obowiązującą aktualnie modą, a dekoltowane suknie komentowała słowami „[…] tym sposobem iatki Ścierwów na przedaż prezentuią"[33].

Konkretna data wstąpienia Krystyny, a raczej próby wstąpienia do zakonu karmelitanek nie jest znana, można jednak założyć, iż miało to miejsce niedługo przed ślubem. Decyzję o pozostaniu w lubelskim klasztorze Karmelitanek Bosych podjęła samodzielnie i w sekrecie, nie spodziewała się zgody ze strony rodziny. Klauzurowe zgromadzenie wybrała ze względu na jego kontemplacyjny charakter i obowiązujące surowe zasady – w myśl powziętego postanowienia cierpienia dla Boga. Planom przeszkodził ojciec Jerzy Sebastian

[32] W. Starzyński, dz. cyt.

[33] Tamże.

Lubomirski, który bądź nakazał wydanie córki matce przełożonej, bądź przekonał ją do tego hojną jałmużną. Dość, że Krystyna usłyszała, iż „nieiest wola Boska, żeby się została w klasztorze […]"[34] i zmuszona została do opuszczenia karmelitańskich murów. W późniejszych latach uzyskała jednak zgodę papieża Innocentego XI, mimo obowiązującej klauzury, na dwukrotne do roku pobyty w klasztorze. Krystyna do końca życia wspierała zakon jałmużnami, a gdy w Lublinie wybuchła epidemia dżumy, zabrała karmelitanki do Krasnegostawu i umieściła je na zamku (być może chodzi już o rok 1662, gdyż pod tą datą wzmiankowana jest ucieczka sióstr karmelitanek i bernardynek z miasta).

Potocka, zainspirowana słowami karmelitanki i mistyczki św. Teresy z Avili, mówiącymi, że ciało, które nie cierpi jest przeszkodą dla cnoty, postanowiła umartwiać się tak psychicznie, jak i fizycznie. Św. Teresa głosić też miała, że pragnie albo cierpieć, albo umrzeć na chwałę Bożą. Ślub taki złożyła również Krystyna. Pościła, odmawiała sobie snu i komfortu, przestrzegała ściśle określonej dyscypliny, narzucała sobie liczne rygorystyczne reguły, celowo się upokarzała i wykonywała czynności, które miały jej umniejszyć, jak na przykład czyszczenie trzewików swoich panien służebnych. W ramach aktu pokory, przed śmiercią spaliła wiele ze swoich zapisków i modlitw, by pozostawić po sobie jak najmniejszy ślad. Sama na siebie nakładała pokutę za rozmaite grzechy, jakie w swoim odczuciu popełniała. Przykładowo, za grzechy mowy miała „1. Język po ziemi włóczyć i ziemię lizać, 2. Kąsać się w język, 3. Szpilką kłóć, 4. Lizać cegłę, 5. Piołun, pieprz, Sol y co gorzkiego kłaść na ięzyk, 6. Parzyć się w ięzyk"[35].

Cierpienie za wiarę inspirowane było żywotami męczenników, które stanowiły jej lekturę od czasów dzieciństwa, jednak ból zadawała sobie również w intencji dusz przebywających w czyśćcu, by szybciej odpuszczone im zostały grzechy ciała. Jedną z łagodniejszych form umartwiania fizycznego było „Za dusze w Czyścu zostające rano czynić umartwienie, to iest Ciała Szczypanie"[36]. Krystyna zadawała sobie cierpienie, pozostając

[34] Tamże.

[35] Tamże.

[36] Tamże.

przez długi czas w jednej, niewygodnej pozycji, np. z uniesionymi rękoma. Nakładała na siebie szorstką włosiennicę drażniącą ciało przy każdym ruchu, opasywała się żelaznym pasem utrudniającym oddychanie. Okładała się pokrzywami i rózgami, a także tzw. „dyscyplinami" czyli biczami ze skręconego drutu, czasem dodatkowo wyposażonego w ostre blaszki, którymi biła się aż do krwi. Na nogach nosiła ciasne, żelazne manelki (rodzaj bransolet), wylewała na siebie gorący wosk, gasiła o skórę świece. Prosiła Boga o jak najszybszą śmierć. Do każdej spowiedzi przygotowywała się, tak jak gdyby miała być tą ostatnią. Układała modlitwy pokutne, a co roku spisywała nowy testament. Do podobnych aktów pokuty i pokory zachęcała również panny służebne, które, najczęściej pod nieobecność we dworze Feliksa, gromadzić się miały w pokojach wojewodziny i biczować, podczas gdy Potocka czytała na głos psalmy.

Wszystkie te zabiegi doprowadziły do znacznego pogorszenia się stanu zdrowia Krystyny. Gdy odkryto jak bardzo krzywdzi swoje ciało, zakazano jej dalszych umartwień, co przyjęła z ogromnym rozgoryczeniem. Nadal w tajemnicy używała „dyscypliny", a porwany i powiązany sznurkami bicz odnaleziono po jej śmierci. Przedmioty, którymi zadawała sobie ból po jej odejściu podzieliły między siebie jej dzieci – niczym relikwie.

Z uwagą czytała pisma franciszkanina Piotra z Alkantary, mistyka i ascety. Z nich czerpała inspirację do „życia ku śmierci". Święty w swoich „Rozważaniach" zalecał refleksję nad niestałością i kruchością życia, nad tym, jak jest zwodnicze. Wskazywał na konieczność pamiętania o śmierci i przygotowywania się do niej, gdyż mimo, iż ona sama jest pewna – jej godzina nie jest nikomu znana. Potocka inspirowała się też nauką chrześcijańskiej doskonałości głoszoną przez jezuitę Kaspra Drużbickiego. Zakonnik, podobnie jak Krystyna, doświadczył w dzieciństwie ocalenia od śmierci – jako mały chłopiec miał utonąć, a po wydobyciu z wody w cudowny sposób ożyć.

Drużbicki wskazywał, że w drodze do doskonałości człowiek może mieć tylko jeden cel, a jest nim Bóg. Spełnienie woli Bożej jest natomiast jedynym sposobem na osiągnięcie tego celu – tylko Stwórca powinien liczyć się w życiu człowieka, a każde poszukiwanie ziemskie poza Bogiem jest

niegodne istoty ludzkiej. Potocka każdym swoim kolejnym ślubem, postanowieniem i fundacją udowadniała, że to właśnie Bóg stanowi w jej życiu nadrzędną wartość.

Jezuita przywiązywał szczególną wagę do rozwoju misji. Również Krystyna darzyła misjonarzy szczególnym uznaniem. Sama o sobie mówiła „Gdybym była Meżczyzną, urodziła, nie inne by było życie moie, tylko grube Narody Pogańskie albo błędliwe Herezye nawracać, choćby tysiąc życia dla Wiary Ś. Postradać"[37]. Skoro jednak była wojewodziną krakowską, nie misjonarzem, robiła co mogła, by w zastanych warunkach spełniać to pragnienie. Nawracała jeńców wojennych, uczyła ich katechizmu i chrzciła. W roku 1695 spisała część postanowień związanych ze swoją „działalnością misyjną": "[…] 2. Natęż intencyę Więźnia wykupić z rąk Pogańskich; 3. Sama uczyć wiary S. Chłopca do S. Chrztu"[38], kolejne: „[…] 3. Wezwać Świętych którzy między Poganami pracowali na pomoc do nawracania, zwłaszcza S. Xawiera; 4. Przynaymniey iedney Duszy nawrócenie Sobie uprosić, y na to postanowić osobliwe modlitwy y dobre uczynki"[39].

Wraz z pannami dworskimi szyła dla jeńców i niewolników odzież, przekazywała posiłki do szpitali i domów zakonnych, brała pod opiekę dzieci swoich służących. Potwierdza to ksiądz Florian Jaroszewicz i wskazuje, że sam był jednym z takich wychowanków: „z ręku tej pobożnej pani lat kilka chleb jadłem, i odzież miałem, i za jej staraniem w piątym roku życia mego nauczyłem się już czytać i do mszy służyć; […]"[40]. Znana była z hojnej jałmużny. Dla zgromadzeń zakonnych i kościołów, które wspierała szyła i haftowała złotą i srebrną nicią ornaty. Rękopis „Życie Krystyny Potockiey" wskazuje, że wykonane przez siebie szaty darowała do kościołów w Krasnymstawie, Lwowie i Częstochowie.

[37] Tamże.

[38] Tamże.

[39] Tamże.

[40] F. Jaroszewicz, *Matka Świętych Polska albo Żywoty Świętych, Błogosławionych, Wielebnych, Świątobliwych, pobożnych Polaków i Polek, Część II, Poszyt IV*, Piekary Śląskie 1850, s. 222.

Jak głosi legenda, w lesie opodal wsi Surhów (dawne województwo ruskie, obecnie powiat krasnostawski) z końcem XVI wieku objawiły się postacie Matki Bożej i św. Łukasza. W miejscu tego zdarzenia, na jego pamiątkę, wybudowano leśną kaplicę. Już w 1677 roku małżeństwo Potockich ufundowało we wsi Surhów budowę drewnianego kościoła pod wezwaniem św. Łukasza (obecnie wieś Łukaszówka opodal Surhowa). Krystyna miała doznać w miejscu objawienia jakiejś szczególnej łaski, a po wybudowaniu kościoła pielgrzymowała do niego pieszo co roku w dzień św. Łukasza. W miejscu budowy odnaleziona została tablica fundacyjna z inskrypcją, która głosi „Bogu w Trójcy Jedynemu i Jego Najczcigodniejszej Żywicielce Maryi Pannie, Zwycięskiego Kościoła Współspadkobiercy, Świętemu Łukaszowi Ewangeliście, na chwałę i cześć […] w podhajcach Feliks Potocki, wojewoda sieradzki, starosta krasnostawski i ropczycki, oraz Krystyna Lubomirska, małżonkowie pomni [doznanych] tylu tak wielkich łask, siebie i swoje potomstwo z mocy ślubu na wieczność zawierzając, tego miejsca stróżowi i prawdziwemu jego opiekunowi ze wszech miar wyjątkowemu kościół ten od fundamentów na koszt własny wznieśli w pierwszym roku pontyfikatu najjaśniejszego pana Innocentego XI, gdy najdostojniejszym biskupem chełmskim był Stanisław Święcicki, który zaiste kamień węgielny położył, zaś przewielebny Konstanty Wojuczyński był tego biskupstwa administratorem. Wzniesiony w roku od zbawienia ludzkości 1677 w dniu 9 miesiąca czerwca”[41].

Krystyna wraz z małżonkiem około roku 1690 zostali również fundatorami murowanego kościoła pod wezwaniem św. Michała Archanioła zgromadzenia brygidek w Sokalu, wystawionego w miejsce dwóch poprzednich drewnianych budowli strawionych pożarami w latach około 1665 i 1671. Kościół stanął niezwykle szybko, bo już w trzy lata od rozpoczęcia budowy. Jak wskazują źródła, Potocka nie tylko darowała fundusze na zakup cegieł, ale też kupiła kilka działek z murowanymi budowlami, które rozebrano i wykorzystano jako budulec. Staraniem Krystyny w kościele

[41] W.J. Szewczuk, *Sanktuarium Matki Bożej i św. Łukasza Ewangelisty w Surhowie, Archidiecezja Lubelska*, Surhów 2007, ss. 11-12.

ułożono marmurowe posadzki, ściany ozdobiono sztukaterią, ufundowała też ołtarze, a w jednym z nich umieściła obraz św. Piotra z Alkantary, mistyka, którego szczególnie ceniła. Wyposażyła kościół w liczne aparaty liturgiczne i relikwie. Na krytym miedzią dachu wymalowany został, podobno wbrew woli pokornej fundatorki, herb Szreniawa. Krystyna planowała też ufundowanie w Sokalu domu misyjnego, ale śmierć pokrzyżowała te zamiary. Przy świątyni pod wezwaniem św. Michała Archanioła ufundowała i uposażyła również Bractwo Świętego Józefa. Kościół 19 lipca 1693 roku poświęcił biskup chełmski Stanisław Święcicki.

Za namową Święcickiego, Potocka została główną fundatorką jezuickiego kościoła pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie. 3 grudnia 1694 roku uczyniła sama przed sobą ślub do św. Franciszka Ksawerego, w którym zobowiązała się doprowadzić przedsięwzięcie do końca. Zapis w testamencie Krystyny, w którym prosi, by kościół w Krasnymstawie ukończony został według jej pierwotnych zamysłów sugeruje, że miała wpływ na projekt świątyni. Bryła założenia w swojej pierwotnej formie z kopułą osadzoną na skrzyżowaniu głównej nawy i transeptu inspirowana była rzymską bazyliką św. Piotra, fasada zaś znajdującym się w Rzymie macierzystym kościołem oo. Jezuitów – Il Gesu. Widoczne też są podobieństwa do budynku ufundowanej przez Albrychta Stanisława Radziwiłła kolegiaty św. Trójcy w Ołyce, a także do nieświeskiego jezuickiego kościoła Bożego Ciała wzniesionego z fundacji Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła – budowli, które Krystyna poznała w dzieciństwie. W 1694 roku, dzięki staraniom Krystyny, podczas wizyty Potockich w Żółkwi, król Jan III Sobieski wydał krasnostawskim jezuitom pozwolenie na dokupienie placu miejskiego pod budowę kolegium i kościoła zakonnego. Sama Potocka tego jednego roku przekazała na budowę 10 000 florenów, sześć koni roboczych, deski dębowe na podłogi oraz ołów i szkło do okien budującej się rezydencji jezuickiej. Prace nad budową kościoła rozpoczęto w 1695 roku, rok później Krystyna przekazała na budowę 900 imperiałów. W dniu św. Ignacego, 31 lipca 1698 roku poświęcono kamień węgielny pod budujący się kościół, a w uroczystościach brali udział Feliks i Krystyna Potoccy. Dzięki Potockiej wybudowano nową re-

zydencję, zakupiono place, postawiono cegielnię i piec, a budowę kościoła doprowadzono niemal do połowy. W ostatnim testamencie spisanym 6 grudnia 1698 roku Krystyna zapisała na rzecz krasnostawskich oo. jezuitów dodatkowe 30 000 złotych na ukończenie kościoła i zakup sreber do jego wyposażenia – cyborium, monstrancji i dwóch puszek. „Życie…" wspomina też o kielichach, ampułkach, obrusach, haftowanych przez nią ornatach, a także haftowanej kapie. Łącznie na jezuickie przedsięwzięcie przekazała około 150 000 florenów.

Tablica fundacyjna umieszczona nad portalem prowadzącym do wnętrza kościoła głosi, że budowla ta została wzniesiona na chwałę Boga i misjonarza Indii św. Franciszka Ksawerego od pierwszego kamienia aż do ukończenia prac w 1715 roku przez Feliksa Potockiego i Krystynę z Lubomirskich Potocką, jako przedsionek dla jej prochów i bramę do nieba[42].

Niezwykły pomnik swej pierwszej żonie wystawił Feliks Potocki. Na gruntach należących do wsi Nowy Dwór, w roku 1692 założył miasto, a na cześć Krystyny nazwał je Krystynopolem. W 1695 roku Potocki ufundował w nim drewniany kościół pod wezwaniem św. Ducha, a Krystyna przeznaczyła znaczne sumy na wyposażenie go w cenne aparaty kościelne. Zachowała się informacja o dwóch pochodzących z kościoła obrazach. Jednym z nich był wizerunek św. Antoniego Padewskiego, drugim obraz Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej, słynący łaskami, a oba namalować miał bernardyński malarz Kryspin, zwany „Italusem". Obrazy spłonęły w czasie pożaru nowego kościoła, do którego zostały przeniesione w 1852 roku. Również w 1695 roku Feliks Potocki ufundował w Krystynopolu klasztor oo. Bernardynów i darował na jego rzecz grunty, staw, nadał prawo łowienia ryb i przywilej korzystania z młynów i lasów wchodzących w skład dóbr krystynopolskich. W roku 1701 Potocki rozpoczął budowę nowego, murowanego kościoła. Po jego śmierci w 1702 budowę ukończyli potomkowie Feliksa i Krystyny.

Krystynopol, którego nazwę zapisywano również jako Krystianpol, Krystampol, Chrystynopol, Krystiampol oraz Krystynopil wchodził w skład dawnego województwa bełskiego. W 1951 roku władze ZSRR zmieniły jego nazwę na Czerwonograd. Od tego czasu też znajduje się w granicach Ukrainy, w obwodzie lwowskim, leży około 15 km od polskiej granicy. Część mieszkańców postuluje powrót do pierwotnej nazwy miejscowości.

Z fundacji Feliksa Kazimierza Potockiego, w 1695 roku odbudowano klasztor oo. Dominikanów w Hrubieszowie, zniszczony z końcem lat 40. XVII wieku przez Kozaków. Krystyna planowała dołożyć swoją cegiełkę do tej fundacji i wznieść w Hrubieszowie dominikański kościół, jednak śmierć pokrzyżowała te plany.

26 kwietnia 1699 roku Krystyna zapadła na tajemniczą chorobę. Tego dnia rano wzięła jeszcze udział w nabożeństwie w kościele w Sokalu. W drodze powrotnej zasłabła w karecie. Wystąpiła u niej wysoka gorączka, która trawiła ją przez 10 dni. Potocka czuła, że ta choroba jest już jej ostatnią. Co więcej, swojego spowiednika poinformowała, że takie też właśnie jest jej największe, serdeczne i szczere życzenie. „Pragnę, pragnę, pragnę umrzeć tego momentu, tym tchnieniem moim, żebym Śmiercią moią Wolę Boską wypełniła"[43]. 2 maja 1699 roku wieczorem odbyła spowiedź dożywotnią, kolejnego dnia rano miała wziąć udział we mszy i przyjąć komunię. Mimo swego ciężkiego stanu próbowała odszukać odebrany jej wcześniej pas żelazny, który zamierzała włożyć na czas nabożeństwa, by jeszcze bardziej umartwić chore ciało. Przyjęła sakramenty, pożegnała się z synami i córką oraz przybyłym w ostatnim momencie z Bełza mężem i do końca już pozostała w modlitwie.

Krystyna z Lubomirskich Potocka zmarła 6 maja 1699 roku o godzinie 3.00. W liście do Karola Stanisława Radziwiłła nadanym ze Lwowa 18 października 1699 roku Feliks Kazimierz Potocki informuje, że uroczystości pogrzebowe Krystyny

[42] *Maiori Dei Gloriae in augmentum. Thaumaturgo Indiarum Apostolo S. Francisco Xaverio in perennem titulum. Piis manibus cineribusq suis in depositum. In atrium et portam coeli sibi ipsi, Celessima e Lubomirsciis princeps D. Anna Christina Potocka, Illustrissimi Domini, D: Felicis Potocki Castellani Cracovi: Nec non Supremi exercituu Ducis Divinis ducis divinis sortibus consors fortunatissima, hoc templum primo lapideusq ad summum liberalissima pietate excitavit A.D. 1715.*

[43] W. Starzyński, dz. cyt.

odbędą się w Krasnymstawie 9 listopada tego roku w kościele pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego. Życzeniem Potockiej było spoczęcie właśnie w tej świątyni, którą nazywała swoją Córeczką. Całe świadome życie Krystyny Potockiej było przygotowaniem do „Śmierci Szczęśliwej”[44]. Mówiono, że zakończyła życie w sposób tak doskonały, iż nie powinna ona umierać w pałacu w Sokalu, a w Warszawie podczas sejmu, na oczach zgromadzonych, tak by dać przykład dobrej śmierci.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się w Sokalu. W pałacu, w izbie stołowej ustawiono kryty weneckim adamaszkiem katafalk. Na nim spoczęła trumna dębowa obita weneckim aksamitem, tkaniną ze srebrną nicią, zdobiona srebrnymi ćwiekami i złotymi galonami. Pokój oświetlony był dziesiątkami świec, ustawiono w nim też ołtarz zbudowany z obrazów, przy których wojewodzina modliła się za życia. Tam ciało pozostawało przez 6 miesięcy. Przez cały ten czas w kościołach w Sokalu odprawiano nabożeństwa i litanie loretańskie. Za zmarłą modliła się nieprzebrana ciżba ubogich, ciągnących do Sokala z całego województwa bełskiego, ruskiego i wołyńskiego, skuszona ofiarowanymi im posiłkami i hojną jałmużną. Po wyprowadzeniu ciała z pałacu, trafiło ono do sokalskiego kościoła Brygidek. W dniu procesji został wygłoszony pierwszy, jezuicki panegiryk ku pamięci zmarłej. Na miejscu, przed ułożeniem na katafalku, trumnę dębową umieszczono wewnątrz kolejnej trumny wykonanej w całości ze srebra. Brygidki prosiły o możliwość pozostawienia sobie „relikwii” w postaci palca dobrodziejki. Jeszcze za życia jednak Krystyna nie zgodziła się na eksenterowanie, czyli usunięcie wnętrzności i przygotowanie zwłok do zabalsamowania, skutkiem czego ciało znajdowało się już w zaawansowanym stadium rozkładu i pozyskanie jego fragmentu stało się niemożliwe. W kościele św. Michała Archanioła trumna pozostawała do 3 listopada, kiedy to procesja pogrzebowa ruszyła do Krasnegostawu, na miejsce ostatecznego pochówku. Trumnę z kościoła wynieśli czterej synowie. Procesja ruszyła do „[…] figury murowanej za rzekę Bug”[45], gdzie żałobnicy wysłuchali kolejnego panegiryku, tym razem wygłoszonego

[44] Tamże.

[45] Tamże.

przez franciszkańskiego kaznodzieję z Krystynopola. W ostatniej drodze towarzyszyło Potockiej tak wielu duchownych, że przy wystawianych podczas postojów ołtarzach codziennie odprawianych było kilkadziesiąt nabożeństw.

Kościół pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie benedyktowany został rano w dzień pogrzebu przez kustosza katedry krasnostawskiej Wojciecha Rostowskiego. W czasie, gdy w Krasnymstawie odbywały się uroczystości pogrzebowe, ściany kaplic były co prawda wybudowane do pełnej wysokości, jednak mury nawy nowo powstającego kościoła osiągnęły dopiero 17 łokci – około 11 metrów. Niedokończoną budowlę nakryto dachem, w prezbiterium przygotowano grobowiec, a w budynku ułożono tymczasową podłogę z desek. Dla licznych celebransów przygotowane zostały mniejsze ołtarze, a z katedry krasnostawskiej, kościoła Augustianów i nawet z cerkwi wypożyczono aparaty kościelne.

W świątyni stanął ołtarz główny, a w nim specjalnie na tę okoliczność malowany ogromny obraz (15 na 10 łokci – około 9 na 6 metrów) przedstawiający Matkę Boską, świętych Józefa, Ignacego, Antoniego Padewskiego, Kazimierza Jagiellończyka, Krystynę i Barbarę oraz Stanisława Kostkę, wówczas błogosławionego, dziś świętego. U dołu obrazu, po obu jego stronach, znaleźć się mieli św. Franciszek Ksawery unoszący model kościoła w Krasnymstawie oraz Archanioł Michał z szalą i modelem kościoła w Sokalu. Ściany i kaplice boczne ozdobiono złotogłowiem, aksamitem i płótnem z wymalowanymi symbolami. W katedrze lubelskiej znajduje się klęcznik ozdobiony dwoma fragmentami tkanin z haftowanymi złotą nicią herbami Pilawa. Fragmenty te pochodzą z wyposażenia pogrzebowego Krystyny, być może stanowiły okrycie filarów lub ścian kościoła podczas egzekwii.

Wnętrze kościoła rozświetlały setki świec i lamp. Katafalk o ośmiu stopniach nakryty był karmazynowym aksamitem. Na ostatnim stopniu umieszczono wizerunek śmierci rozkopującej rzekę Szreniawę opatrzony łacińskim napisem „Omnes sicut aquae dilabimur” – „Wszyscy odpływamy niczym woda”. Najpewniej chodziło o znane z emblematyki „Omnes enim morimur & sicut aquae dilabimur” – „Wszyscy umieramy i odpływa-

my niczym woda". Ponad katafalkiem unosiły się putta podtrzymujące herb Szreniawa opatrzony inskrypcją „Fluminis impetus laetificat alleluia civitatem Dei" – „Bystrość rzeki weseli miasto Boże" (Ps. 46:5).

W uroczystości, oprócz rodziny i bliskich, brało udział 9 rektorów kolegiów, 40 jezuitów, trzech hetmanów, biskup chełmiński Teodor Potocki oraz biskup chełmski Mikołaj Wyżycki i wielu senatorów. Trumnę do grobowca przenieśli synowie Potockiej oraz oo. jezuici.

21 maja 1849 roku, 150 lat po śmierci Krystyny, kopuła wieńcząca kościół pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego – w wyniku popełnionych pierwotnie błędów konstrukcyjnych i zaniedbań w późniejszych latach – zapadła się do wnętrza budynku. Na skutek katastrofy zarwały się sklepienia krypt, a nagromadzone w nich powietrze pod ciśnieniem rozerwało ich ściany. Komory grobowe fundatorów, dobrodziejów i duchownych kościoła, w tym grób Krystyny z Lubomirskich Potockiej, zostały nieodwracalnie uszkodzone i zasypane.

W Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie, jako depozyt parafii św. Franciszka Ksawerego, na stałej ekspozycji „Portret polski XVII-XX wieku" prezentowany jest półpostaciowy portret Krystyny Anny z Lubomirskich Potockiej. Malowany olejno konterfekt wykonany został z początkiem XVIII wieku przez anonimowego artystę jezuickiego. Krystyna przedstawiona jest na nim w ujęciu *en trois quarts*, zwrócona do widza lewym profilem, a jej wzrok skierowany jest wprost na patrzącego, portretowana delikatnie się uśmiecha. Włosy w prostym upięciu ozdobione zostały perłami. Sznur pereł widoczny jest też na szyi Potockiej, a kolczyk i broszę mieszczoną przy dekolcie zdobią perły barocco – o nieregularnym kształcie. Spod błękitnego płaszcza podbitego gronostajowym futrem z wpiętą na wysokości ramienia dekoracyjną zaponą widoczny jest prosty, bordowy stanik sukni z dekoltem obszytym białą koronką. Portret ujęty jest w malowaną, owalną, profilowaną ramę, poniżej której wymalowany został kartusz w akantowo-roccailowym obramieniu. Napis na kartuszu głosi „Krystyna córka Jerzego Sebastyana Lubomirskiego Mars: Wiel: i Het: Pol: Kor: i Konstancyi z Bobrka Ligęzianki Kaszte: Sandomiersk: Żona Felixa Kazimierza Potockiego Het: W: K: i Kasz: Kra: Fundatorka Bazyliki S Franciszka Xaw: w Krasnymstawie. Tamże pochowana 1699 roku".

Krystyna z Lubomirskich Potocka, olej na płótnie, XVIII wiek, Muzeum Regionalne w Krasnymstawie.

RTG portretu Potockiej ukazujące znajdujący się pod warstwą malarską poprzedni wizerunek.

Obraz najpewniej zamówiony został do kościoła jako wizerunek reprezentacyjny fundatorki świątyni i dobrodziejki krasnostawskich jezuitów. Źródła wskazują, iż jeszcze w roku 1859 wisiał po prawej stronie kościoła, licem zwrócony w stronę głównego ołtarza. Przed ostatnią renowacją dokonaną w latach 1993-1994 dwukrotnie poddawano go zabiegom konserwatorskim. Pierwszy raz w roku 1880, kiedy to wykonano retusze powierzchni malarskiej. Drugi raz w latach 20. XX wieku – z uwagi na liczne uszkodzenia płótna obraz zdublowano i przemalowano. Usunięcie tych retuszy i przemalowań podczas prac w latach 90. XX wieku ujawniło znajdującą się pod obecnym wizerunkiem powierzchnię malarską. Wykonane zostało zdjęcie rentgenowskie, które wykazało istnienie pierwotnego portretu zakrytego tym, który możemy oglądać dziś. Powtarza on w całości kompozycję, strój i biżuterię Krystyny z „nowego" wizerunku, jednak przedstawia ją jako znacznie starszą kobietę. Przypuszczać można, iż „młodsza" wersja wykonana została na podstawie portretu trumiennego Krystyny z Lubomirskich Potockiej. Mając na uwadze jej niezwykłą pobożność i przygotowania do śmierci, jakie czyniła, można założyć, iż zadbała o powstanie portretu trumiennego dość wcześnie, jeszcze jako młoda kobieta. Mawiała „Co macie czynić, czyńcie prędko, bo ci się Świeci, w krotce nad Spodziewanie zgaśnie". Portret – o ile nie został z kościoła skradziony – najpewniej spoczywa wraz z nią w kościelnej krypcie. To, że powstał jest pewne, wzmiankowany jest w opisie wystroju kościoła podczas pogrzebu Potockiej: „Sam katafalk miał wysokich ósm gradusów axamitem karmazynowym pokrytych, na którego wierzchu Trumna Srebrna z portretem Woiewodziny, […]"[46]. Być może istniał też jeszcze jeden wizerunek Krystyny przedstawiający ją jako starszą kobietę, na podstawie którego powstać mógł pierwotny portret reprezentacyjny przeznaczony do kościoła jej fundacji. Dziś znany jest tylko jeden portret Krystyny Anny z Lubomirskich Potockiej, eksponowany w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie. Kopię obrazu oglądać można też w Czerwonogradzie, gdzie prezentowana jest w kościele Zesłania Ducha Świętego.

Maja Toczona-Wal

[46] Tamże.

Bibliografia:

L. Bartnik, *Dokumentacja konserwatorska obrazu „Portret Krystyny Potockiej", właściciel Parafia pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie; Użytkownik Muzeum w Krasnymstawie*, październik 1993-listopad 1994.

A. Chomętowska-Borkowska, J. Śmigielska, *Obrazki z życia Świętobliwych i Bogobojnych Polaków i Polek ofiarowane młodemu wiekowi*, Warszawa 1859.

S. Czarniecki, *Opisanie Aktu Weselnego, który w Łańcucie Roku 1661 18 Septembris Jaśnie Oświeconego Xiążęcia JM Państwa Rzymskiego Jaśnie Wielmożny JM Pan Jerzy Sebastian Hrabia na Wiśniczu y Jarosławiu Lubomirski […] sprawował Córce Swoiey Jaśnie Wielmożney Konstancji, która JEymość była poślubiona Jaśnie Wielmożnego JM Pana Stanisława Potockiego Wojewody Krakowskiego hetmana Wielkiego Koronnego Synowi jaśnie Wielmożnemu JM Panu Felicianowi Potockiemu […] Potomnym wiekom do wiadomości podany 1651,* Polska 1661, rękopis w zbiorze Biblioteki Książąt Czartoryskich.

F. Jaroszewicz, *Matka Świętych Polska albo Żywoty Świętych, Błogosławionych, Wielebnych, Świątobliwych, pobożnych Polaków i Polek, Część II, Poszyt IV*, Piekary Śląskie 1850.

H. Kapica, *Kościół w Krasnymstawie*, tomy I i II, Krasnystaw 2022.

P. Kroll, *Listy hetmańskie rodu Potockich, tom II, Korespondencja Stanisława „Rewery" Potockiego, hetman polny koronny 1652-1654, hetman wielki koronny 1654-1667*, Warszawa 2019.

P. Kroll, *Listy hetmańskie rodu Potockich, tom III, Korespondencja Szczęsnego Kazimierza Potockiego, hetman polny koronny 1692-1702, hetman wielki koronny 1702*, Warszawa 2019.

L. Kubala, *Szkice historyczne. Serya druga*, Warszawa 1901.

J. Marczewski, *Dzieje chełmskiej Kapituły Katedralnej obrządku łacińskiego*, Lublin 2013.

D. Nestorow, *Kościół parafialny pw. Ducha Świętego i klasztor oo. Bernardynów w Krystynopolu*, [w:] „Kościoły i klasztory rzymskokatolickie na terenie dawnego województwa bełskiego", tom I, red. A. Betlej, A. Dworzak, Kraków 2021.

D. Nestorow, *Krystynopol. Wiadomości na temat miasta i jego zabytków*, [w:] „Kościoły i klasztory rzymskokatolickie na terenie dawnego województwa bełskiego", tom I, red. A. Betlej, A. Dworzak, Kraków 2021.

K. Niesiecki, *Herbarz polski Kaspra Niesieckiego S.J. powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopismów, dowodów urzędowych*, wyd. Bobrowicz Jan Nepomucen, tomy VI, VII, VIII i IX, Lipsk 1841.

J. Paszenda, *Budowle jezuickie w Polsce*, tom IV, Kraków 2010.

A. Radziwiłł, E. Raczyński, *Pamiętniki Albrychta Stanisława X. Radziwiłła Kanclerza W. Litewskiego, tom II*, Poznań 1839.

W. Starzyński, *Życie Krystyny Potockiey*, Polska 1695-1705, rękopis w zbiorach Biblioteki Narodowej.

K. Stołecki, *Krasnystaw. Rys historyczny*, Krasnystaw 2018.

W.J. Szewczuk, *Sanktuarium Matki Bożej i św. Łukasza Ewangelisty w Surhowie, Archidiecezja Lubelska*, Surhów 2007.

Viva virtutum imago illustrissima et celissima domina d. Christina […] Potocka […] ecclesiae Crasnostaviensis Soc. Iesu fundatrix caeli fortunae coloribus pulcherrime illustrata tandem inter parentales lacrymas summis ad imitationem panegyrice exhibita a dolentissimo, gratissimo. Collegio Crasnostaviensi Societatis IESU Anno Domini 1699, Lublin 1699, druk ulotny w zbiorze Biblioteki Narodowej.

M. Wagner, *Stanisław Jabłonowski (1634-1702). Polityk i dowódca*, tom II, Zabrze-Tarnowskie Góry 2020.

T. Zaucha, *Dawny kościół parafialny pw. Michała Archanioła w Sokalu*, [w:] „Kościoły i klasztory rzymskokatolickie na terenie dawnego województwa bełskiego", tom I, red. A. Betlej, A. Dworzak, Kraków 2021.

S. Żelazowski, *Applausus epithalamici ad fest nuptialia […] neosponsorum […] Felicis de Podhayce in Potock Potocki […] et […] Christinae comitissae in Wisnicz et Iarosław Lubomirsciae […],* Kraków 1661, druk ulotny w zbiorze Biblioteki Narodowej.

A. Mariani, *Duszpasterstwo jezuitów nieświeskich w XVII-XVIII wieku. Między ideałem potrydenckim a lokalnymi uwarunkowaniami*, „Rocznik Lituanistyczny" tom II, 2016.

Świątobliwe niewiasty. IX. Krystyna Potocka, „Czytelnia niedzielna" 1859, 23 sierpnia-2 września.

Ołyka: gniazdo Radziwiłłów, [w:] https://lwow.info/olyka-gniazdo-radziwillow/ [online].

Ołyka – kolegiata Świętej Trójcy zwana „Radziwiłłowską", [w:] https://dzieje.pl/node/63707 [online].

J. Mandziuk, o. K. Drużbicki SJ (1590-1662) i jego nauka o doskonałości chrześcijańskiej, „Saeculum Christianum" 2017.

Piotr z Alkantary, *Rozmyślania codzienne świętego Piotra z Alkantary, Zakonu Swiętego O. Franciszka Reformata z Hiszpańskiego na Łaciński, teraz na Polski język z przydatkiem zebranych Affektów W. Tomasza a Kempis Przez jednego z Zakonników Swiętego O. Franciszka reformata Kustodyi Ruskiej przetłumaczone: Za Pozwoleniem Zwierzchności Zakonney, Nakładem pewnej J. W. tegoż Zakonu Dobrodzieyki, ktora pobożnym zaleca się westchnieniom, do Druku podan*e, Zamość 1750.

Maja Toczona-Wal – urodzona w Krasnymstawie w 1990 roku. Ukończyła I Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie, absolwentka kierunku Historia Sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od 2014 roku adiunkt w Dziale Sztuki Dawnej i Sakralnej Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie. Jednocześnie, od 2021 roku, adiunkt w Dziale Sztuki Muzeum Ziemi Biłgorajskiej w Biłgoraju. Autorka i kuratorka wystaw organizowanych w oparciu zarówno o zbiory własne muzeum, jak i we współpracy z krajowymi i zagranicznymi instytucjami kultury. Zainteresowana przede wszystkim sztuką sepulkralną i funeralną, ale też groteską i okultyzmem w sztuce. Pracując w dwóch różnych muzeach, uwagę dzieli pomiędzy sztukę dawną i rzemiosło artystyczne a współczesne malarstwo i rzeźbę biłgorajskiego artysty Stefana Knappa.

Wiesław Krajewski

Oleszczyńscy i Kopernik

W poprzednim numerze „Nestora” zamieściłem artykuł opisujący powstanie pomnika Mikołaja Kopernika na Krakowskim Przedmieściu przed Pałacem Staszica w Warszawie[1]. To wybitne dzieło duńskiego rzeźbiarza Bertela Thorwaldsena stoi w tym miejscu już od prawie 200 lat. Uroczyste jego odsłonięcie nastąpiło w 1830 roku. Pomnik ten ma pewien związek z Krasnymstawem, do jego odlania użyto bowiem dzwonów pochodzących z naszego miasta.

Bertel Thorwaldsen, Wstępny model pomnika Mikołaja Kopernika z Krakowskiego Przedmieścia, 1821, gips, Thorwaldsens Museum (z wystawy „Kopernik i jego świat”, Zamek Królewski, Warszawa, fot. autora).

1 W. Krajewski, *Warszawski pomnik Kopernika z Krasnymstawem w tle*, Nestor 2(64) 2023, ss. 3-6.

Ale niejedyny to krasnostawski wątek związany z pomnikiem Kopernika. Dla upamiętnienia odsłonięcia monumentu zamówiono okolicznościowy medal u Władysława Oleszczyńskiego studiującego w Paryżu, brata urodzonego w Krasnymstawie Antoniego Oleszczyńskiego – znanego artysty grafika, zamieszkałego również w Paryżu. Była to pierwsza znacząca praca medalierska Władysława Oleszczyńskiego. Przywiązywał on wielką wagę do każdego szczegółu projektu. Dlatego medal wykonany został na wysokim poziomie artystycznym. Awers przedstawiał sylwetkę pomnika widzianego z boku, z napisem STA SOL („Stój Słońce”), na rewersie, w otoczeniu wieńca z liści dębu, umieszczono łaciński napis NICOLAO COPERNICO JAGELLONIDUM AEVI CIVI POLONO ALUMNO ACCAD: CRACOV: JMMORTALIS GLORIAE SOCIETATIS REGAE VARSAV: DECRETO MONUMENTUM NECDUM PERENNE MDCCCXXX (*Mikołaj Kopernik obywatel Polski czasów Jagiellonów, student Akademii Krakowskiej, nieśmiertelnej chwały. Postanowieniem Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego, ustanawia wieczny pomnik 1830.*

Medal Władysława Oleszczyńskiego – ilustracja z „Albumu Mikołaja Kopernika”, druk J.B. Langiego w Gnieźnie, 1873 (źródło: https://polona.pl/item-view/5be8dccd-be77-47fd-b1c3-caa313372d6a?page=44).

Niestety, w łacińskim tekście na rewersie znalazły się aż dwa błędy ortograficzne. W słowie „Acad[emia]” powtórzono litery „c”, a w słowie „immortalis” na początku postawiono literę „j”. Błędy może niezbyt wielkiej wagi, dziś chyba nie zostałyby nawet zauważone, ale w tamtych czasach były dyskredytujące. Wtedy znajomość łaciny w kręgach naukowych była powszechna, a wśród takich właśnie osób byli potencjalni nabywcy medalu. Skutkiem tego medal nie wszedł do obiegu,

a zamiast niego zamówiono u Józefa Meinerta inny medal, jednak poziom wykonania jego był znacznie niższy.

W twórczości samego Antoniego Oleszczyńskiego można znaleźć również epizod dotyczący Mikołaja Kopernika. Na pamiątkę 300. rocznicy zgonu Kopernika i publikacji jego dzieła, *pamiątkę tak wielce nas obchodzącej uroczystości, przedsięwziąłem uczcić narytowaniem szczegółów odnoszących się do życia, prac i rodowitości KOPERNIKA, na jednej karcie, aby tym sposobem stały się przystępne dla tych nawet, co czytać nie lubią lub nie umieją*[2]. Jeden z egzemplarzy ryciny podarował, jak pisze w dedykacji: *Pani Hrabini Augustowey Potockiey, opiekunce ninieyszego dzieła w pamięć czci i wdzięczności, ofiaruje autor – Antoni Oleszczyński, Paryż 1856*. Staloryt przedstawia umieszczone wokół centralnie usytuowanego portretu, szereg postaci, które w różny sposób były związane z Kopernikiem. Są tam więc:

Wojciech z Brudzewa – nauczyciel Kopernika w Akademii Krakowskiej,

papież Paweł III, któremu Kopernik zadedykował swe dzieło,

kardynał Schonberg, dzięki naleganiu, którego Kopernik zdecydował się na wydanie *De revolutionibus*,

Jadwiga i Władysław Jagiełło, według Oleszczyńskiego *założyciel Krakowskiej Akademii, w której się ukształcał Kopernik, i pierwszą myśl podjął o budowie świata słonecznego,*

Kazimierz Jagiellończyk, pod którego panowaniem urodził się Kopernik,

Stanisław Staszic trzymający w dłoni model pomnika, *który najwięcej się przyczynił do wzniesienia składkowym groszem, dzisiejszego pomnika Warszawskiego dla Kopernika* (podaje przy tym błędną datę 1829, zamiast 1830),

Capiferreus, *który klątwę w indeksie Rzymskim na dzieło Kopernika podpisał (1616), a którą później Benedykt XIV cofnął, 1754,*

Jan Śniadecki, *Rektor Wileńskiego Uniwersytetu i znakomity oceniacz prac Kopernika,*

a także Jan Heweliusz, Marcin Poczobut, Elżbieta Puzynina i wiele jeszcze innych postaci.

Antoni Oleszczyński, staloryt pamięci Mikołaja Kopernika, Paryż, Imp. F. Chardon 1843 źródło: https://polona.pl/item-view/7c10e475-8e5a-48d7-9ede-bfd44072702b?page=0).

Na dole rzędem są umieszczone celniejsze Varianty wizerunków Kopernika, któremi dzieła słynne, lub Pomniki europejskie są ozdobione i w śród nich medal bity w Paryżu... Są to znane kopie portretów Kopernika różnych autorów, m.in. z zegara strasburskiego, dzieł Gassendiego i Heweliusza, z muzeum w Greenwich. Jednak szczególnej uwagi wymaga centralnie umieszczony obraz podpisany jako Mikołaj Kopernik. Nie jest to jednak portret autora *De revolutionibus* (!). Przed-

[2] H. Widacka (red.), *Katalog portretów osobistości polskich i obcych w Polsce działających*, T 2 G-K, poz. 2415, Biblioteka Narodowa, Warszawa 1992.

Wizerunek Kopernika według Ghirlandajo z otoczeniem ze sztychu Antoniego Oleszczyńskiego, „Album Kopernika" (źródło: https://polona.pl/item-view/5be8dccd-be77-47fd-b1c3-caa313372d6a?page=22).

stawia on niemieckiego matematyka i astronoma Johannesa Stöfflera (1452-1531), profesora uniwersytetu w Tybindze. I jest to najzwyczajniejsza pomyłka. Antoni Oleszczyński był przekonany, że ma do czynienia z portretem Kopernika według Reyncholda. Pisał: *Variant Reyncholdowy dla tego we środku umieszczonym został, gdyż wystawiał starca, czyli ostatni rok życia Kopernika. [...] Nareszcie układ tego wizerunku, mimo podobieństwa biretu i togi, do Stofflerowskiej, dawał mnie większą jak inne zręczność do wydania tych rysów postaci Kopernika, jakie Nikodem Frichlinus wyraźnie opisał; był on dla mnie nietyle oryginałem, jak raczej tłem, na którem gromadzę to, co w innych portretach i pomnikach wspólnego napotykam, i dopełniam tem, co uważam za rzecz konieczną*[3]. W „Albumie Mikołaja Kopernika" zamieszczona jest nawet notatka, iż Oleszczyński *uparł się, że to jest najlepszy portret Kopernika i zamiast wizerunku Astronoma naszego dał nam w swym pięknym obrazie wizerunek Niemca Stöflera...* Oleszczyński nie był jedyną osobą, która dała się nabrać. Błąd ten był powielany przez wielu autorów – i wcześniej, i później. Wszyscy oni korzystali ze źródła, w którym przypadkowo lub być może nawet celowo podmieniono portret Kopernika na Stöfflera.

Dlatego w cytowanym już dziele „Album Mikołaja Kopernika", zamieszczono ilustrację nieco zmodyfikowaną. Wizerunek Jana Stöfflera, niefortunnie zamieszczony w pierwotnej wersji, zastąpiono portretem wykonanym według obrazu olejnego Rudolfa Curadi, zwanego Ghirlandajo, wykonanego rzekomo w 1505 r. w Rzymie.

Bracia Oleszczyńscy – Władysław i Antoni, nie mieli szczęścia do Kopernika. Chociaż ich prace były na wysokim poziomie artystycznym, drobne mankamenty i niedociągnięcia sprawiły, że nie osiągnęły one takiego znaczenia, na jakie zasługują.

Wiesław Krajewski

[3] Album wydane staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu w czterechsetną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, Fotodruk Beyera i Dutkiewicza, MDCCCLXXIII, Druk J.B. Langiego w Gnieźnie, https://polona.pl/item-view/5be8dccd-be77-47fd-b1c3-caa313372d6a?page=6.

Wiesław Krajewski (ur. 1956 w Żninie). Lekarz stomatolog, doktor nauk medycznych. Wykładowca, dziennikarz, fotograf, redaktor i autor książek. Prezes Stowarzyszenia Polski Klub Stomatologiczny. Wieloletni prezes (obecnie wiceprezes) Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Laureat m.in. krasnostawskiego wyróżnienia „Złote Karpie".

Jacek Kiszczak

Tajemnice archeologii. Część V

Józefów, gm. Krasnystaw

Na terenie miejscowości znajdują się najprawdopodobniej dwa dobrze zachowane kurhany (kopce) datowane w przybliżeniu na okres wczesnego średniowiecza (VI-X w.). Obiekty nie doczekały się badań wykopaliskowych. Badania powierzchniowe Archeologicznego Zdjęcia Polski (dalej: AZP) wykonane w 1984 roku nie przyniosły żadnych odkrytych w najbliższym ich otoczeniu artefaktów. Pochodzenie kopców możemy jedynie opierać na ogólnych spostrzeżeniach doraźnych zwiadów terenowych prowadzonych przez pracowników Wojewódzkiego Urzędu Konserwatorskiego w Lublinie Delegatura w Chełmie[1].

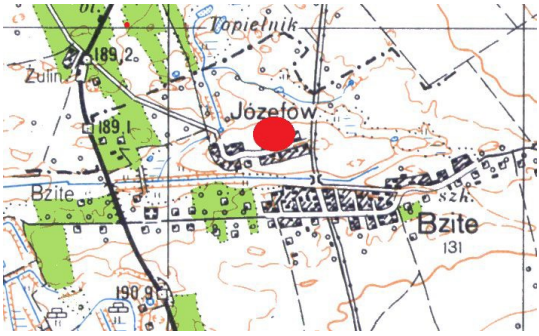

Józefów, gm. Krasnystaw, AZP: 82-87, stan. 5. Lokalizacja kurhanów w terenie. Skala 1:50 000 (podkł. mapa topograficzna, oprac. J. Kiszczak).

Domniemane cmentarzysko kurhanowe (AZP: 82-87, stan. 5) położone jest na wschodnim krańcu wsi, ok. 30 m od drogi, wśród zabudowań gospodarstwa wiejskiego i w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Cmentarzysko tworzą dwa wyróżniające się w terenie kurhany, oddalone od siebie ok. 15 m. Kopce posiadają przybliżone wymiary, zachowaną wysokość ok. 1,5 m, średnicę ok. 10 m. Jeden z obiektów jest porośnięty krzewami, natomiast drugi, usytuowany koło budynku mieszkalnego – trawą. Według krążącej lokalnej tradycji, są to mogiły szwedzkie lub starsze kurhany[2]. Istnieje potrzeba przeprowadzenia kompleksowych badań wykopaliskowych w celu ich lepszego rozpoznania, weryfikacji obecnych informacji, które by przynajmniej hipotetycznie pozwoliły odtworzyć dzieje przedlokacyjnej wsi, a także najbliższej okolicy.

Józefów, gm. Krasnystaw, stan. 5. Cmentarzysko kurhanowe, widok na jeden z kurhanów od strony zachodniej, stan obiektu w 2011 r. (fot. Ewa Prusicka) (źródło: https://zabytek.pl/pl/obiekty/zabytek?inspire_id=PL.1.9.ZIPOZ.NID_A_06_AR.1845&rejestr=rejestr-zabytkow [dostęp: 06.07.2023]).

Józefów, gm. Krasnystaw, stan. 5. Cmentarzysko kurhanowe, widok na jeden z kurhanów od strony południowej, stan obiektu w 2011 r. (fot. Ewa Prusicka) (źródło: https://zabytek.pl/pl/obiekty/zabytek?inspire_id=PL.1.9.ZIPOZ.NID_A_06_AR.1845&rejestr=rejestr-zabytkow [dostęp: 06.07.2023]).

[1] https://zabytek.pl/pl/obiekty/zabytek?inspire_id=PL.1.9.ZIPOZ.NID_A_06_AR.1845&rejestr=rejestr-zabytkow (dostęp: 06.07.2023).

[2] https://zabytek.pl/pl/obiekty/zabytek?inspire_id=PL.1.9.ZIPOZ.NID_A_06_AR.1845&rejestr=rejestr-zabytkow (dostęp: 06.07.2023).

Krasnystaw, gm. loco

W miejscowości, na stanowisku nr 8 (AZP: 83-87) w maju 1981 roku został odkryty grób kultury amfor kulistych (dalej: KAK). Na obiekt przypadkowo natknął się J. Klucha podczas prowadzonych prac ziemnych pod budowę budynku. Materiały archeologiczne zostały przekazane do Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie przez nauczyciela historii Gintera Tworuszkę. Stanowisko archeologiczne zweryfikowano pozytywnie podczas prowadzonych badań powierzchniowych w ramach AZP w 1982 r. przez Stanisława Gołuba[3].

Na ludność KAK składali się przeważnie pasterze, gdzie gospodarka oparta była głównie na hodowli bydła. Ludność tej społeczności występowała na obszarze całej Polski, dorzeczu Łaby, na Wołyniu, Podolu i Mołdawii. Rozwijała się w latach 3100-2600 przed Chr. Nazwa kultury wywodzi się od charakterystycznego dla niej typu naczyń ceramicznych o kolistym brzuścu.

Krasnystaw, gm. loco, AZP: 83-87, stan. 8. Lokalizacja stanowiska w terenie. Skala 1:50 000 (podkł. mapa topograficzna, oprac. J. Kiszczak).

Stanowisko zostało zlokalizowane na Wyniosłości Giełczewskiej na północnym stoku doliny Żółkiewki, będącej lewobrzeżnym dopływem Wieprza. Obiekt znajdował się na prywatnej posesji przy ul. Cegielnianej 7. Był to grobowiec jamowy, bez konstrukcji kamiennej, o głębokości 1,3-1,5 m (na tym poziomie odkryto szczątki kostne i wyposażenie grobowe). Nie udało się określić orientacji grobu, a wyróżniono niekompletne kości kobiety zmarłej w wieku *Adultus* (25-30 lat) i mężczyzny w wieku ok. 50 lat (późny *Maturus)*. W jamie grobowej wystąpiły także kości zwierzęce, zdecydowanej większości świń, owcy i kozy[4].

Krasnystaw, gm. loco, stan. 8. Wyposażenie grobu jamowego KAK. Bęben ceramiczny (fot. G. Zabłocki) (źródło: A. Bronicki, 2021, s. 53).

Wyposażenie grobu stanowiło siedem fragmentów naczyń ceramicznych i trzy bliżej nieokreślone odłupki krzemienne:

- amfora z niską, cylindryczną szyjką, o wysokości 22,2 cm, średnicy wylewu do 15,5 cm, średnicy dna 11,5 cm;
- amfora bez części wylewowej, o zachowanej wysokości ok. 23 cm, średnicy dna 13,4 cm;
- amfora zachowana tylko w części górnej, o krótkiej szyi, zachowana wysokość ok. 9 cm, średnica wylewu 8,8-9,1 cm;
- amfora bez górnej części, wysokość partii zachowanej 14,4 cm, średnica dna 7,8 cm;

[3] A. Bronicki, *Pierwsi pasterze III tysiąclecia przed Chr. Groby podgrupy wschodniolubelskiej kultury amfor kulistych. Obrządek pogrzebowy. Chronologia*, Chełm 2021, s. 48.

[4] S. Gołub, *Rewelacyjne wyniki badań zawartości grobu kultury amfor kulistych z Krasnegostawu, stan. 8*, „Zapiski Krasnostawskie. Z przeszłości Krasnegostawu i okolic", t. II, 1996, ss. 9-14.

- bęben ceramiczny w kształcie pucharu o obszernej „czaszy”, wysokość 18,1 cm, średnica górnej krawędzi 17-17,9 cm, średnica dolnej krawędzi 9,7 cm;
- garnek w kształcie niskiego, ściętego stożka, wysokość 20,3 cm, średnica wylewu 16,3-17 cm, średnica dna 8,4-8,7 cm;
- waza szerokootworowa, o szyjce bardzo krótkiej, wysokość 17,6-18,4 cm, średnica wylewu 21,9-22,5 cm, średnica dna 9,5-10 cm[5].

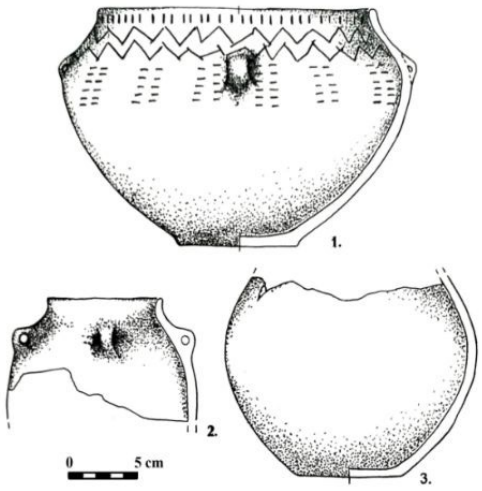

Krasnystaw, gm. loco, stan. 8. Wyposażenie grobu jamowego KAK. 1 – waza, 2-3 – amfora (rys. E. Hander, oprac. J. Kiszczak) (źródło: S. Gołub, 1996).

Krasnystaw, gm. loco, stan. 8. Wyposażenie grobu jamowego KAK. Waza z ornamentem rytym (fot. G. Zabłocki) (źródło: A. Bronicki, 2021, s. 53).

[5] A. Bronicki, dz. cyt., ss. 48-54.

Zagrody, gm. Rejowiec

W miejscowości znajduje się ziemne założenie obronne – *fortalicjum*, przez miejscowych zwane „Zamczyskiem”. Obiekt położony jest pomiędzy wsiami Żulin, Kolonia Żulin i Zagrody (w dawniejszej literaturze mylnie było lokalizowane w miejscowości Żulin), około 1 kilometra na północny wschód od zwartej zabudowy wsi Żulin. Teren jest mocno eksponowany, na wzgórzu o wysokości ok. 240 m. n.p.m., znajdują się tam liczne wychodnie kamienia wapiennego. U podnóża wzgórza, ok. 750 m od obiektu, rozciąga się dolina rzeki Białki z licznymi bagnami[6].

Zagrody, gm. Rejowiec, AZP: 81-87, stan. 1. Lokalizacja stanowiska w terenie. Skala 1:100 000 (podkł. mapa WIG-a, oprac. J. Kiszczak).

Fortalicjum posiada mało zadowalający stan rozpoznania archeologicznego. Pierwsze i jedyne badania sondażowe zostały przeprowadzone przez Jerzego Cichomskiego w 1980 r. Obiekt powstał na planie zbliżonym do kwadratu, o wymiarach ok. 33 x 35 m. Majdan posiada wymiary 13 x 16 m, który otaczał wał ziemny o zachowanej wysokości 1-1,5 m. Od strony północnej znajdowała się fosa o szerokości 2-3 m, głębokości 5-6 m[7]. W trakcie badań wykopaliskowych założono jeden wykop o wymiarach 16,5 m^2 we wschodniej części stanowiska i wykonano 9 odwiertów na osi WE. Efekty badań dostarczyły informacji o konstrukcji wału zbudowanego z kamieni wapiennych o przekroju trójkątnym. Zarejestrowano wkop, w którym

[6] https://zabytek.pl/pl/obiekty/zabytek?inspire_id=PL.1.9.ZIPOZ.NID_E_06_AR.2428892&rejestr=ewidencja-zabytkow (dostęp: 07.07.2023).

[7] Tamże.

odkryto skupisko około 6 szkieletów ludzkich, rozczłonkowanych i niekompletnych, najpewniej pochodzących z czasów I wojny światowej, o czym świadczą znaleziska żołnierskiego guzika i medalika z tego okresu. Odkryty został jedynie jeden fragment ceramiki datowany na średniowiecze[8].

Zagrody, gm. Rejowiec, stan. 1. Wał ziemny (pozostałość historycznych umocnień ziemnych), fragment wału i majdanu w części południowo-zachodniej założenia obronnego, stan w 2012 r., (fot. E. Prusicka) (źródło: https://zabytek.pl/pl/obiekty/zabytek?inspire_id=PL.1.9.ZIPOZ.NID_E_06_AR.2428892&rejestr=ewidencja-zabytkow [dostęp: 07.07.2023]).

Zagrody, gm. Rejowiec, stan. 1. Wał ziemny (pozostałość historycznych umocnień ziemnych), fragment wału i fosy przy narożniku zachodnim założenia obronnego, stan w 2012 r. (fot. E. Prusicka) (źródło: https://zabytek.pl/pl/obiekty/zabytek?inspire_id=PL.1.9.ZIPOZ.NID_E_06_AR.2428892&rejestr=ewidencja-zabytkow [dostęp: 07.07.2023]).

[8] Tamże.

Wzgórze, na którym znajduje się *fortalicjum* jest silnie eksploatowane rolniczo, jednak sam obiekt nie jest użytkowany i porastają go krzewy i tarniny. Na jego powierzchni zalega spora ilość drobnych kamieni wapiennych, natomiast w bezpośrednim sąsiedztwie występuje wiele zagłębień powstałych zapewne w czasie wybierania kamienia do celów budowlanych. Resztki wału ziemnego są najprawdopodobniej pozostałością średniowiecznego dworu obronnego, jednym z nielicznych tego typu obiektów zachowanych na Lubelszczyźnie, który stanowi cenne źródło do poznania założeń rezydencji obronnych.

Jacek Kiszczak

Jacek Kiszczak urodził się w Borowicy w 1991 r. Ukończył II LO im. Cypriana Kamila Norwida w Krasnymstawie i studia na Uniwersytecie Rzeszowskim. Tytuł magistra uzyskał w 2015 r., na podstawie rozprawy „Dzieje Krasnegostawu w średniowieczu i nowożytności w świetle źródeł historycznych i archeologicznych". Specjalizuje się w historii oraz archeologii średniowiecznej i nowożytnej historycznej ziemi chełmskiej i pogranicza polsko-ruskiego. Jest współautorem monografii o Borowicy i kilkudziesięciu artykułów naukowych o tematyce archeologicznej, historycznej i biograficznej. Uczestniczył czynnie w kilkunastu konferencjach naukowych w Krakowie, Lublinie i Rzeszowie, warsztatach archeologicznych we Wrocławiu i numizmatycznych w Toruniu. Obecnie pracuje w Podziemiach Kredowych w Chełmie.

Monika Nagowska

Refren

Dobór słówek ze słownika
na briefingach identyczny?
Co z przekazu dnia wynika,
głosi partii chór komiczny.

Ptasznica

Kiedy swe sidła odsłania,
to jakbyś bujał w obłokach,
przyzywa cię do kochania,
wpadasz i… już po ptokach.

Józef Adam Dąbek

Historia Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie

Szkołę Podstawową w Wierzchowinie wybudowano w latach 1911-1913. Działo się to w czasach poprzedzających wybuch I wojny światowej, na terenach zaboru rosyjskiego. Szkoła została rozwiązana jako placówka oświatowa w 2006 roku. Budynek szkolny, który później przeszedł w prywatne ręce, stoi nadal. Niestety, planowane w nim nowe inwestycje chyba okazały się nie do końca przemyślane. Szkoła zamknięta jest od kilkunastu lat na głucho. Stoi i powoli niszczeje. Jednak mimo swojego wieku, budynek nadal prezentuje się okazale i swoim wyglądem przypomina kilku pokoleniom ich lata dzieciństwa. Oddając się nostalgicznym wspomnieniom i dobrze „wytężając słuch", mogłoby się jeszcze komuś wydawać, że nadal tu słychać radosne głosy rówieśników i dźwięk szkolnego dzwonka kończącego przerwę i wzywającego na kolejną lekcję. Jadąc do mego rodzinnego Chłaniowa lub z Chłaniowa w stronę Żółkiewki, nie da się nie zauważyć tej szkoły, stojącej tuż przy ostrym zakręcie drogi. Ilekroć ja albo mój brat przejeżdżaliśmy tamtędy samochodem razem z naszą mamą, zawsze mówiła do nas, „moja szkoła staruszka". Mama uczyła się w niej przez siedem lat. Były to lata 1932-1939.

Budynek szkolny został postawiony z inicjatywy mieszkańców Wierzchowiny przy znaczącym finansowym wsparciu miejscowego dziedzica Kazimierza Chrościechowskiego. Pisałem o tym w 63. numerze „Nestora", w którym przedstawiłem historię rodziny Chrościechowskich, ostatnich dziedziców majątku Wierzchowina. We wspomnianym artykule przedstawione są historyczne zaszłości sięgające roku 1864, w którym po uwłaszczeniu chłopów doszło do wydzielenia działki przeznaczonej pod budowę szkoły wiejskiej. Wymiernym udziałem dziedzica w tym przedsięwzięciu, było przekazanie pod budowę szkoły kawałka swoich gruntów, ponieważ owa wyznaczona działka znajdowała się daleko od wiejskich zabudowań.

W wielu szkołach były i są prowadzone tak zwane kroniki szkolne. Taka kronika to niezwykle

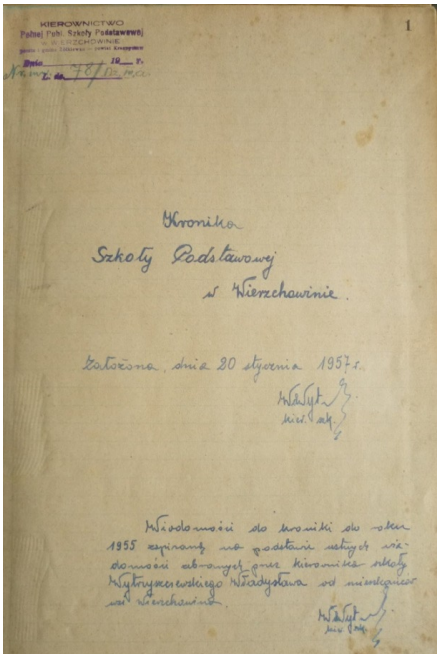

KIEROWNICTWO
Polskiej Pub. Szkoły Podstawowej
w WIERZCHOWINIE

1

Kronika
Szkoły Podstawowej
w Wierzchowinie.

Założona dnia 20 stycznia 1957 r.

Władysław Wytrzyszczewski
kier. szk.

Wiadomości do kroniki za okres 1955 zapisany na podstawie ustnych wiadomości zebranych przez kierownika szkoły Wytrzyszczewskiego Władysława od mieszkańców wsi Wierzchowina.

Władysław Wytrzyszczewski

Strona tytułowa kroniki szkolnej.

cenny dokument. Szkoła w Wierzchowinie miała to szczęście. Co prawda, jej kronika została założona dopiero na początku 1957 roku, ale też znalazły się w niej istotne informacje, mówiące o pierwszych latach jej funkcjonowania. Pierwszym kronikarzem szkoły i zapewne autorem tego pomysłu był ówczesny kierownik Władysław Wytrzyszczewski. Ze strony tytułowej kroniki wynika, że została ona założona 20 stycznia 1957 roku. Natomiast, wiadomości tyczące historii szkoły do roku 1955, które skrupulatnie włączono do kroniki, zostały przez niego zebrane od mieszkańców wsi Wierzchowina.

Władysław Wytrzyszczewski, autor pierwszych wpisów.

Z pierwszych zdań zapisanych w kronice dowiadujemy się, jak powoli, ale skutecznie działały na wsi pewne mechanizmy gospodarczo-społecznych przemian. Okazuje się, że do podjęcia przez mieszkańców Wierzchowiny decyzji o budowie szkoły, w pośredni sposób przyczyniła się liberalna polityka rolna cara Aleksandra II wywodzącego się z dynastii Romanowów. Jak wiemy z historii czasu zaborów, na mocy carskiego ukazu wydanego 2 III 1864 r., chłopi zaboru rosyjskiego otrzymywali na własność działki uprawianej przez nich ziemi. Kiedy kierownik Wytrzyszczewski zbierał od tutejszych mieszkańców informacje o historii szkoły, niektórzy z nich mogli jeszcze dobrze pamiętać czasy dziedzica Chrościechowskiego, jak też pierwsze lata funkcjonowania szkoły. Zapisuje on w kronice następujące zdania: *Z powodu, że kilku gospodarzy zrzekło się tzw. „przymiarków", co łącznie stanowiło powierzchnię 6 morgów ziemi, oficer carski pełniący obowiązki inżyniera-geodety wydzielającego działki, postanowił wyżej wymieniony areał przeznaczyć na cele szkolne. Stało się tak mimo tego, że w najbliższej okolicy nie było żadnej szkoły. Ta ziemia przez wiele lat aż do roku 1911 była wydzierżawiana mieszkańcom Wierzchowiny. Uzyskano stąd czynsz dzierżawny w wysokości 6000 rubli. Mieszkańcy gromady Wierzchowina, na zebraniu gminnym w Żółkiewce w 1911 roku podjęli uchwałę, by za zaoszczędzone z czynszu dzierżawnego pieniądze wybudować budynek szkolny. Na co też otrzymali od władz gminnych zezwolenie*.

Dalej czytamy, że na kolejnym zebraniu mieszkańców Wierzchowiny, na które został też zaproszony dziedzic Chrościechowski, ustalono „by wszelkimi siłami przystąpić do budowy szkoły". Wtedy to dziedzic podarował pod budowę kawałek swojej leżącej przy drodze ziemi, ponieważ owe uzbierane z chłopskich przymiarków 6 morgów „szkolnej" ziemi były zbyt oddalone od wioski. Budowę murowanej z cegły szkoły, którą od początku nadzorował dziedzic Chrościechowski, rozpoczęto w roku 1911. Zatwierdzony przez gminę kosztorys budowy opiewał na sumę 12 tysięcy rubli. Zatem, do zaoszczędzonych przez wieś pieniędzy, dziedzic pobrał kolejne 6000 rubli z budżetu gminnego w Żółkiewce. Budowę szkoły ukończono w 1913 roku. W tym samym też roku rozpoczęto naukę. W nowo pobudowanej szkole uczyła się dziatwa pochodząca z kilku wiosek. Jak podano w kronice, były to dzieci z Wierzchowiny, Chłaniowa, Chłaniówka, Kolonii Chłaniów oraz z Majdanu Wierzchowińskiego.

Pierwszym kierownikiem tej nowej, początkowo jednoklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej w Wierzchowinie, należącej do Krasnostawskiego Okręgu Szkolnego w guberni lubelskiej, był Jan Laudygis. Był on nauczycielem pochodzenia litewskiego i pracował tu tylko przez jeden rok szkolny. W następnym roku szkolnym 1914/1915, został przydzielony na stanowisko kierownika szkoły Bolesław Kibisz. Drugą siłę dydaktyczną, jak zapisano na kartach kroniki, stanowiła nauczycielka Helena Żelażewska. Pracowała tu tylko przez jeden rok szkolny. Jak dalej zapisano w kronice, od roku szkolnego 1915/1916 aż do roku szkolnego 1918/1919, uczył w szkole jako sam jeden kierownik Bolesław Kibisz, ponieważ podczas prowadzonych wówczas działań wojennych, nie miał przydzielonych do pomocy innych nauczycieli. Przypomnieć tu należy, że rozpoczęta 28 lipca 1914 roku I wojna światowa trwała nieprzerwanie przez ponad cztery lata, a jej zakończenie 11 listopada 1918, ściśle złączyło się z początkiem Drugiej Rzeczypospolitej. W tym dniu, po 123 latach czasu pod zaborami, przyszła tak bardzo oczekiwana niepodległość.

Organizacja nauczania w początkowym okresie pracy szkoły, wymagała od kierownictwa i od nauczycieli wiele wysiłku i odpowiednich umiejętności. Była to, można powiedzieć, przysłowiowa „orka na ugorze". Pamiętajmy, że w czasie, gdy budowano zręby tej szkolnej społeczności, trwała wojna, a front działań wojennych przetaczał się przez te tereny kilkakrotnie. Świadczą o tym małe powojenne cmentarze, gęsto rozsiane na terenach całej Lubelszczyzny. Pierwszy rok szkolny 1913/1914 rozpoczął się i zakończył przed wybuchem I wojny światowej. W połowie wakacji wybuchła wojna. Nauka kolejnych szkolnych roczników odbywała się w niepewnych i niebezpiecznych czasach. Wpływało to bez wątpienia na nabór dzieci do szkoły, na ich frekwencję, jak też uzyskiwane wyniki nauczania. Mimo tych trudności, systematycznie rosła liczba zgłaszanych do szkoły dzieci. Już na samym początku zostały ustalone jednolite i opty-

malne programy nauczania. Można powiedzieć, że ówczesne władze oświatowe stanęły na wysokości zadania. Dla przykładu chciałbym tu podać pięciostopniowe skale ocen, jakie w pierwszych latach pracy takich szkół wykorzystywano do klasyfikacji wyników nauczania. Ocenie podlegało zachowanie się ucznia (inaczej sprawowanie), jego pilność, postęp w zdobywaniu wiedzy oraz tzw. porządek zewnętrzny ćwiczeń piśmiennych. Skala ocen z zachowania była następująca: chwalebne, zadowalające, odpowiednie, mniej odpowiednie oraz nieodpowiednie. Pilność, rozumiana tu jako osobiste zaangażowanie ucznia w nauce, mogła być: wytrwała, zadowalająca, dostateczna, niejednostajna i mała. Ocena postępu w nauczaniu odnosiła się do poszczególnych, nauczanych w szkole tzw. przedmiotów i wynikała wprost ze zdolności ucznia w danym zakresie wiedzy i umiejętności. Oceniano więc postępy ucznia: w nauce religii, w czytaniu, pisaniu, języku polskim, języku ruskim, niemieckim, rachunkach w połączeniu z nauką o formach geometrycznych, wiadomościach z dziejów i przyrody, rysunkach, śpiewie, robotach ręcznych i w gimnastyce. Skalę postępu w nauczaniu stanowiły następujące oceny: bardzo dobry, dobry, dostateczny, mierny i niedostateczny. Liczba ocenianych przedmiotów, podobnie jak dzieje się i teraz, zależała od etapu nauki oraz od specjalności zatrudnionych w szkole nauczycieli. Dzieci pochodzenia żydowskiego, a więc wyznania mojżeszowego, z nauki religii nie były oceniane. W ocenianiu porządku zewnętrznego ćwiczeń piśmiennych, czyli po prostu zdolności do kaligrafii, skala ocen była następująca: bardzo staranny, staranny, mniej staranny, niestaranny i niedbały. Trzeba tu przyznać, że taka opisowa skala ocen, w porównaniu do skali opartej tylko na suchych cyfrach: 1, 2, 3, 4, 5, 6, jest bardziej adekwatna i bardziej zrozumiała. Na przykład, łatwo możemy sobie wyobrazić zalety charakteru ucznia, który uzyskuje chwalebną ocenę z zachowania. I równie łatwo możemy porównywać pismo uczniów, których ćwiczenia pisemne, czyli kaligrafia, oceniane są jako bardzo staranne, mniej staranne lub niedbałe. Ten ostatni stopień oceny pisma można by skwitować znanym powiedzeniem, że ktoś „bazgrze jak kura pazurem”.

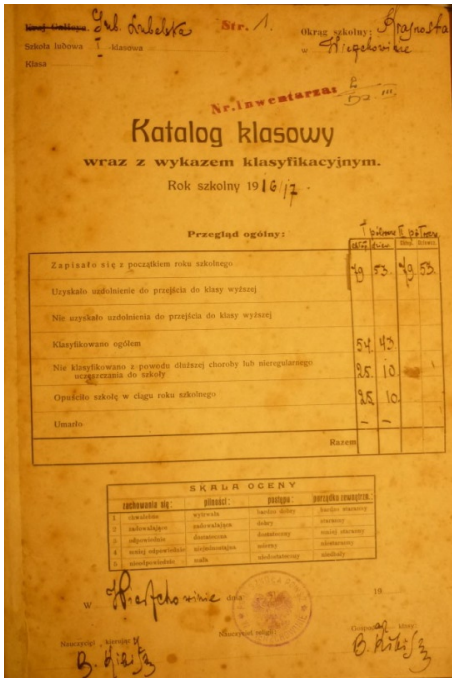
Str. 1.

Okrąg szkolny:

Szkoła ludowa I klasowa

Klasa

Nr. inwentarza:

Katalog klasowy

wraz z wykazem klasyfikacyjnym.

Rok szkolny 1916/17.

Przegląd ogólny:

	I półrocze		II półrocze	
	chłop.	dziew.	chłop.	dziew.
Zapisało się z początkiem roku szkolnego	79	53	79	53
Uzyskało uzdolnienie do przejścia do klasy wyższej				
Nie uzyskało uzdolnienia do przejścia do klasy wyższej				
Klasyfikowano ogółem	54	43		
Nie klasyfikowano z powodu dłuższej choroby lub nieregularnego uczęszczania do szkoły	25	10		
Opuściło szkołę w ciągu roku szkolnego	25	10		
Umarło	–	–		
Razem				

SKALA OCENY

	zachowania się:	pilności:	postępu:	porządku zewnętrzn.:
1	chwalebne	wytrwała	bardzo dobry	bardzo staranny
2	zadowalające	zadowalająca	dobry	staranny
3	odpowiednie	dostateczna	dostateczny	mniej staranny
4	mniej odpowiednie	niejednostajna	mierny	niestaranny
5	nieodpowiednie	mała	niedostateczny	niedbały

W Wierzchowinie dnia 19

Nauczyciel religii

Nauczyciel kierujący

Gospodarz klasy

Strona tytułowa dziennika szkolnego z roku 1916/17.

Po zakończeniu działań wojennych, na kierownika szkoły został przydzielony Bolesław Hartwig, a jego żona Antonina oraz dwie nowe nauczycielki Maria Zdobylakówna i Helena Horbelówna uzupełniały szkolne grono pedagogiczne. Był to początek nowej polskiej państwowości. W środowisku szkolnym zapewne panowała ogromna radość z odzyskanej wolności, a praca w oświacie dawała więcej satysfakcji i nowe nadzieje na przyszłość. Jak lakonicznie zapisano w kronice – „od 1919 roku nauka w tutejszej szkole odbywała się normalnie”. Po sześciu latach zarządzania szkołą przez Bolesława Hartwiga, w roku 1925 na jego miejsce został przydzielony nowy kierownik Jan Bednowski. Pracował tu krótko, bo tylko jeden rok. Należy przypuszczać, że każda zmiana na etacie kierownika szkoły odbywała się w odpowiednim do tego czasie, czyli przed początkiem nowego roku szkolnego. Kierownik Jan Bednowski w czasie swojego urzędowania postawił przy szkole budynek gospodarczy. Plac pod jego budowę szkoła ponownie otrzymała od dziedzica Chrościechowskiego w drodze darowizny. Zatrudniona w szkole kadra pedagogiczna nie zmieniła się od czasów poprzedniego kierownika Hartwiga.

W roku 1926 nastąpiła kolejna zmiana personalna. Na stanowisko kierownika szkoły został powołany Michał Łabędkowski. Przybył tu razem z żoną Stanisławą, która pracowała jako nauczycielka. Łabędkowski był kierownikiem szkoły w Wierzchowinie przez długi okres dziewiętnastu lat. Przetrwał na tym stanowisku przez lata największego rozkwitu Polski międzywojennej, przetrwał czas okupacji oraz jeden rok nowej władzy, aż do końca roku szkolnego 1944/1945. Analizując kolejne zmiany kadrowe w szkole w latach późniejszych, widzimy, że Michał Łabędkowski był

ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA
SZKOŁY POWSZECHNEJ

Bednarz Anna
urodzon a dnia 23 lipca 1925 r. w Władysławowie
powiatu Krasnystaw religii (wyznania) rzym. kat.
ukończył a w roku szkolnym 1938/39 szkołę powszechną stopnia trzeciego

Publiczna Szkoła Powszechna stopnia trzeciego
Nr ... im. ...
w Wierzchowinie (powiat Krasnystaw)
dnia 21 czerwca 1939 r.

Nr 3

Łabędkowski Michał
Opiekun klas

Łabędkowski Michał
Kierownik szkoły

Sześcio klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
w Wierzchowinie (powiat: Krasnystaw)
Nr. 7
Rok szkolny 1932/33

ŚWIADECTWO SZKOLNE
Bednarz Anna
urodzon a dnia 23 lipca 1925 r. w Kolonii Władysławów
(powiat: Krasnystaw), religii (wyznania) rzym.-kat.
uczeń/uczennica oddziału pierwszego otrzymuje za rok szkolny 1932/33
stopnie następujące:

ze sprawowania się ... bardzo dobry
z nauki religii ... bardzo dobry
„ „ języka polskiego ... bardzo dobry
„ „ języka ...
„ „ języka ...
„ „ rachunków z geometrią ... dobry
„ przyrody, z przyrody żywej ...
a mianowicie: z fizyki i chemii ...
z higieny ...
„ „ geografii i nauki o Polsce współczesnej ...
„ „ historii ... dobry
„ „ rysunków ... dobry
„ „ robót ręcznych ... bardzo dobry
„ „ śpiewu ... bardzo dobry
„ „ ćwiczeń cielesnych ...
„ „ robót kobiecych ...

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 8, z czego nie usprawiedliwiono ...
Liczba spóźnień ..., z czego nie usprawiedliwiono ...

Wynik ogólny bardzo dobry

w Wierzchownie dnia 14 czerwca 1933 r.

Józefa Baszowiecka
Opiekunka oddziału

Łabędkowski Michał
Kierownik szkoły

Świadectwo szkolne naszej mamy Anny Bednarz.

kierownikiem o najdłuższym stażu pracy na tym stanowisku. Dlatego, wyszczególniona w kronice lista personalna nauczycieli przychodzących i odchodzących za jego kadencji, jest wyjątkowo długa. Z szacunku dla tej kroniki, jak też dla nauczycieli tam pracujących, należałoby wszystkich wymienić. Trudno teraz ustalić, czy wypisana w kronice lista nazwisk w porządku niealfabetycznym jest kompletna i czy podana tu kolejność pedagogów odzwierciedla chronologię ich zatrudnienia w szkole. Według oryginalnego zapisu, kadrę pedagogiczną w latach 1926-1945 stanowili: *Olejarczuk Tomasz, Jurkowski Stefan, Michno Piotr, Sioma Eugeniusz, Kurkowska Emilia, Maryzyków-na(?) Lucyna, Krajewska Małgorzata, Szczygieł Władysław, Kozdrzeń(?), Karaś Franciszek wraz z żoną Katarzyną, Kostrzewski, Mazur Władysław, Stasiak Stanisława, Jarocki Franciszek, Jarocka Stefania, Szybrowska Maria*. Należy jeszcze dodać do tej listy nauczycieli Stanisławę Łabędkowską, żonę kierownika szkoły oraz Kazimierę Kustrową i Józefę Baszowiecką. Postawiony przy dwóch nazwiskach znak zapytania oznacza brak pewności ich poprawnego odczytania.

Wracając do wspomnień naszej mamy, jej nauka w tej szkole przypadła na siedem ostatnich lat przed wybuchem wojny. Naukę w sześcioklasowej Publicznej Szkole Podstawowej, w odległej od Chłaniowa o dwa kilometry Wierzchowinie zaczęła we wrześniu w roku 1932. Kilku lat później szkoła uzyskała status siedmioklasowej szkoły powszechnej stopnia trzeciego. Aż trudno uwierzyć, że świadectwa ukończenia przez mamę wszystkich siedmiu klas, lub jak się też wtedy mówiło siedmiu oddziałów, zachowały się w rodzinnym archiwum w doskonałym stanie aż do tej pory. Ilustrują to

załączone fotografie dwóch świadectw – jedno z ukończenia oddziału pierwszego w roku szkolnym 1932/33 oraz drugie ukończenia klasy siódmej i zarazem szkoły powszechnej stopnia trzeciego. Ostatnia szkolna cenzurka była wystawiona 21 czerwca 1939 roku. Pierwsze świadectwo zostało wypisane bardzo starannie pismem kaligraficznym przez opiekunkę pierwszego oddziału Józefę Baszowiecką. Na każdym świadectwie złożył też swój podpis kierownik Michał Łabędkowski. Na dole tych dokumentów widnieje pieczęć szkoły z godłem Polski, gdzie orzeł w koronie dumnie rozpościera swoje skrzydła. Jak wiemy, po wojnie, na wiele lat orzeł stracił swoją koronę. Zmienił się też kształt polskich granic. Tu chciałbym też wspomnieć jedną, może trochę zabawną ciekawostkę zasłyszaną od mamy. Otóż, dla niej i pewnie dla innych dzieci, kształt granic II RP, jakie zapamiętała z lat szkolnych, kojarzył się z… „kogucikiem".

Dobrze jest mieszkać blisko szkoły. Dla uczniów z Chłaniowa droga do szkoły wynosiła dwa kilometry i więcej. Stanowiło to dla najmłodszych nie lada wyzwanie. Najczęściej chodziło się do szkoły na piechotę. Wiosenne roztopy lub jesienne słoty często zamieniały wiejską, nieutwardzoną drogę w błotne grzęzawisko. Zimą do podwożenia dzieci korzystano z sań. Jak wspominała mama, kiedy w okresie zimowym zdarzały się dni szczególnie mroźne, wtedy przez pewien czas zamieszkiwała w Wierzchowinie blisko szkoły, w domu Gajewskich. Mieszkała tam jej ciocia Zosia. Na jednym z załączonych zdjęć widzimy dwunastoletnią Anusię (w białej bluzce) i jej starszą kuzynkę Czesię Gajewską.

Przeglądając szkolne świadectwa, można dowiedzieć się o uzyskiwanych przez małą Anusię ocenach, o liczbie opuszczonych godzin szkolnych, o spóźnieniach. Znajdujemy tam też nazwiska wychowawców. Zagłębiając się w historię, można przenieść się wyobraźnią w tamte czasy. Były to lata, kiedy po wyniszczającej całą Europę I wojnie światowej odradzały się podstawy polskiej państwowości. Wspominała mama urządzane przy różnych okazjach dawne szkolne akademie. Na przykład, kiedy na obchodach święta 3 Maja uroczyście śpiewano „Witaj majowa jutrzenko...". Melodia ta wprawiała dzieci w szczególnie podniosły nastrój. Czuło się wtedy dumę z historii własnego narodu. Tu trzeba przyznać, że większość pedagogów z tamtego pokolenia potrafiło przekazać dzieciom na czym polega patriotyzm. Dla nich polskość to była normalność. Normalność, jakiej wyglądało przez wiele lat kilka pokoleń Polaków. Pozostał też w jej pamięci jeden smutny dzień, kiedy w szkole i przy parafialnym kościele celebrowano pamięć po zmarłym w 1936 roku Józefie Piłsudskim. Duże wrażenie na zgromadzonych dzieciach robiło, przerywane płaczem przemówienie, jakie wygłaszała stojąca na balkoniku starej plebanii, jedna ze szkolnych nauczycielek.

W okresie okupacji na ziemiach włączonych do Rzeszy, polskie szkolnictwo na każdym poziomie, od szkół wyższych do szkół powszechnych, zostało przez Niemców zlikwidowane. Jedynie na terenach Generalnego Gubernatorstwa szkolnictwo na poziomie podstawowym i zawodowym zostało potraktowane łagodniej. Została tu zachowana większa część szkół powszechnych oraz starano się rozwijać sieć szkolnictwa zawodowego. Program nauczania w tych szkołach został jednak znacząco ograniczony, na przykład zakazano nauki przedmiotów humanistycznych oraz gimnastyki, a szkoły zawodowe miały przygotowywać polską młodzież do zatrudniania ich jako przymusowej siły roboczej w przemyśle lub rolnictwie. Szkoła Powszechna w Wierzchowinie, przetrwała ten trudny okres. Pod kierownictwem Michała Łabędkowskiego i przy pomocy garstki nauczycieli, szkoła kontynuowała naukę tych dzieci, które ją rozpoczęły przed wojną, jak też co roku przyjmowała kolejne roczniki uczniów. Szkoła pracowała w tym czasie nieprzerwanie od roku

szkolnego 1939/1940, który rozpoczął się 3 września, aż do roku szkolnego 1943/1944, zakończonego 30 czerwca. W tym czasie na tych terenach trwała jeszcze niemiecka okupacja. Rok szkolny 1944/1945 rozpoczął się już w wolnej Polsce z początkiem września 1944 i został zakończony 28 czerwca roku następnego. Był to też ostatni rok pracy Michała Łabędkowskiego jako kierownika.

W roku szkolnym 1945/1946 na stanowisko kierownika została przydzielona Katarzyna Felaur. Kadrę nauczycielską zasilił też jej mąż Franciszek, a z dawnego szkolnego personelu uczyły nadal Stefania Jarocka i Maria Szybrowska. Po trzydziestu latach swej działalności, szkoła nadal nie posiadała szkolnego boiska. Jak zapisano w kronice, dzięki wprowadzanej wtedy w życie reformie rolnej, szkoła otrzymała przydział 1,5 hektara ziemi. Tak więc za czasów kierownictwa Katarzyny Felaur, szkoła uzyskała tak potrzebne dla funkcjonowania duże, szkolne boisko.

W roku szkolnym 1947/1948 na stanowisku kierownika nastąpiła kolejna zmiana. Na to miejsce przybył Ludwik Surma, pozostając kierownikiem szkoły przez kolejne osiem lat. Wraz z nim do pracy została przyjęta jego żona Michalina oraz Stanisława Krzysztoń. Za czasów kierownika Surmy do szkoły zaczęły napływać coraz liczniejsze nabory uczniów. Być może to było przyczyną zwiększenia tak zwanej „płynności" kadr wśród zatrudnianych nauczycieli. W kronice zostało zapisanych wiele nazwisk nauczycieli przychodzących w tych latach do szkoły i z niej ubywających. Byli to: Lucyna Sobczak, Henryk Bijata, Marian Raczkowski, Władysław Pakuła (jako nauczyciel śpiewu), Stanisław Garbal, Ryszard Wytrzyszczewski, Kazimierz Domański, Lucyna Wrzyszcz, Maria Brodzińska, Katarzyna Pastuszak, Krystyna Kędra i Janina Woźnica (jako przewodnik drużyny harcerskiej).

O kierowniku szkoły Ludwiku Surmie, tak w czasie jego urzędowania, jak i później, krążyły opinie, że wyjątkowo dobrze sobie radził z utrzymywaniem odpowiedniego poziomu dyscypliny. Już samo jego nazwisko mogło budzić szacunek u nauczycieli i postrach wśród uczniów. Dobrze pamiętamy, że w latach powojennych, jak też w czasie edukacji późniejszych roczników, w szkołach na porządku dziennym było stosowanie tak zwanych kar cielesnych. Teraz takie metody wydają się nie do pomyślenia. Oczywiście, w wykonywaniu tych kar najbardziej „gorliwi" byli tylko niektórzy nauczyciele. Panie nauczycielki, nie mogąc sobie poradzić z jakimś uporczywym rozrabiaką, kierowały sprawę ukarania ucznia do kierownika szkoły. Wtedy do łagodnych kar należało „kręcenie za uszy", po którym ukarany delikwent chodził ze spuchniętym lub co najmniej zaczerwienionym uchem. Innym sposobem pacyfikowania winowajcy było ciągnięcie za włosy, często za tak zwane „pejsy". Ale najczęściej stosowaną karą i przy tym spektakularną dla całej klasy były tzw. „łapy". Do bicia po wewnętrznej stronie dłoni egzekutorowi zwykle służył drewniany piórnik (słowo dawno już wykreślone ze szkolnego słownika) albo linijka. Większa i cięższa linia drewniana, a czasami – o zgrozo – i cyrkiel, których normalnym zastosowaniem w klasie było rysowanie na tablicy figur geometrycznych, też służyły do celów penitencjarnych. Po takim, zazwyczaj publicznym wymierzeniu kary, ucznia zwykle bolała część ciała służąca mu do siedzenia. Zdarzały się też sporadyczne przypadki pozostawiania podpadniętych uczniów po lekcjach w tak zwanej „kozie". Opisując dość szczegółowo te stosowane kiedyś w szkołach środki dyscyplinarne, mam jedynie na celu ukazanie pełniejszego obrazu szkolnych realiów. Daleki jestem od pochwalania takich metod wychowawczych. Ale trzeba też przyznać, że takie metody karania nie robiły na uczniach większego wrażenia. Było jakby wpisane w zasady funkcjonowania szkoły. Do tego solidarność uczniowska sprawiała, że tacy rozrabiający uczniowie często stawali się ulubieńcami całej klasy. A pretensje do nauczycieli ze strony rodziców za karanie ich dzieci, zdarzały się niezmiernie rzadko.

Po roku szkolnym 1954/1955, na miejsce ustępującego Ludwika Surmy został powołany Władysław Wytrzyszczewski, który wcześniej kierował szkołą we wsi Guzówka. Na nowy rok szkolny 1955/1956 do pracy pozostało kilka nauczycielek z lat poprzednich (K. Pastuszak, L. Wrzyszcz i K. Kędra) oraz – jak zapisano – „przybył jako nowa siła nauczycielska Józef Mróz". Zmiana na stanowisku kierownika szkoły, jak napisał o sobie Władysław Wytrzyszczewski, była powodem dość dużej frekwencji rodziców na uroczystym rozpoczęciu roku szkolnego. Jednak praca w szkole, jak

wie o tym każdy nauczyciel, nie jest łatwa. Już na początku roku szkolnego, nowy kierownik napotkał na duże trudności w związku z wyszukiwaniem mieszkań dla nauczycieli. Te kłopoty lokalowe były powodem zgłoszenia przez niego pomysłu na budowę domu mieszkalnego dla nauczycieli, w którym mieściłaby się również sala gimnastyczna. Było to, jak na tamte czasy, przedsięwzięcie całkiem nowatorskie i jak najbardziej godne społecznego poparcia. Na posiedzeniu Komitetu Rodzicielskiego takie poparcie zostało udzielone, jak też zaplanowane zostały różne imprezy dochodowe w celu gromadzenia funduszy na budowę. Ale, jak to często w środowisku wiejskim bywa, ludzie bojąc się zmian, nawet zmian na lepsze, starają się w tych zmianach przeszkadzać. Wystarczy, że znajdzie się chociaż jedna osoba, która ma do takich destrukcyjnych działań swoje powody i „odpowiednie" cechy charakteru. Jak zapisano w kronice szkolnej: *W gromadzeniu funduszy kierownik szkoły i Komitet Rodzicielski, spotkał się ze złośliwą intrygą wichrzycieli tutejszej gromady, a w szczególności Dzieciucha Antoniego, który wszelkimi siłami starał się zniechęcić kierownika szkoły i Komitet Rodzicielski, uniemożliwiając osiągnięcie tak szczytnego celu. Na podstawie złośliwych intryg docierających do Wydziału Oświaty w Krasnymstawie, po tej linii zostało przeprowadzone dochodzenie. W toku dochodzenia uznano niesłuszność zarzutów kierowanych w stosunku do kierownika szkoły Wytrzyszczewskiego Władysława, lecz to chwilowo zniechęciło go do dalszych działań w tym kierunku i gromadzenie funduszy na budowę domu utknęło w martwym punkcie*.

W konsekwencji zaniechania tego projektu, przez kolejne lata szkolne panie nauczycielki wierzchowińskiej szkoły zamieszkiwały na mniej lub bardziej wygodnych jednopokojowych stancjach, wynajmowanych u wierzchowińskich gospodarzy. Tylko rodziny kierowników szkoły korzystały ze służbowych pomieszczeń usytuowanych we wschodnim skrzydle budynku. Tam też mieściła się szkolna kancelaria.

Właśnie za czasów kierownika Wytrzyszczewskiego rozpocząłem w tej szkole swoją siedmioletnią edukację. Uczniowie klas pierwszych, czyli tak zwane pierwszaki nie orientowali się zbytnio w tym, kto jest kierownikiem lub który

Uczeń klasy pierwszej, rok szkolny 1955/56.

nauczyciel uczy danego przedmiotu. Dla nich najważniejszą osobą w szkole była pani wychowawczyni. A była nią niezapomniana do dzisiaj, pochodząca z pobliskiego Czernięcina Krystyna Kędra. Zapamiętałem też nazwiska wychowawców przydzielanych dla mojego rocznika w kolejnych latach nauki. Kontynuując od klasy drugiej, byli to: Józef Mróz, Tadeusz Krzos, Maria Pietrzniak i Maria Popielnicka. Ta sama pani Popielnicka była naszą wychowawczynią też w klasie szóstej, lecz po zamążpójściu jako Maria Mróz. Wychowawcą klasy siódmej, kończącej naszą edukację na poziomie podstawowym, był ówczesny kierownik szkoły Stanisław Pieczonka.

Wspominając lata podstawówki, można automatycznie zamknąć siedem lat życia tylko w dwóch datach. Dla ludzi w starszym już wieku jest to w pewien sposób uzasadnione. Kiedy jednak z pamięcią nie jest jeszcze tak źle, możemy wracać wspomnieniami do kolejnych lat szkolnej edukacji, a nawet do zapamiętanych z jakiegoś powodu pojedynczych dni. Ja też zapamiętałem sobie taki jeden jesienny dzień, kiedy zamówiony przez szkołę fotograf robił uczniom na boisku okolicznościowe zdjęcia. Na załączonej w tekście fotografii widzimy ucznia klasy pierwszej, w uczniowskiej czapce z daszkiem na głowie, trzymającego pod pachą jakieś wetknięte mu książki, aby bardziej „naukowo"

wyglądał. Kiedy przed pstryknięciem zdjęcia chciałem sobie ten kaszkiecik poprawić, kilku starszych stojących tam uczniów zażartowało, „ooo, widzisz jaki cwaniak, salutuje". W kronice szkolnej zachowało się jeszcze jedno zdjęcie z tego roku szkolnego 1955/1956. Jak zapisano w kronice: *Pod koniec roku szkolnego przybył do tutejszej szkoły fotograf, który wykonał zdjęcia grupowe klas, oraz uczniów całej szkoły wspólnie z gronem nauczycielskim*. Widzimy na tej fotografii, jak na tle szkolnego budynku, głowa przy głowie, mieszczą się w kadrze uczniowie chyba wszystkich klas, otaczając pięcioro nauczycieli siedzących pośrodku. Wiele twarzy koleżanek i kolegów jeszcze udaje mi się rozpoznać. W środku grupy pedagogów widzimy kierownika szkoły Władysława Wytrzyszczewskiego, po jego prawej stronie siedzi ówczesna wychowawczyni pierwszaków Krystyna Kędra. Ostatnim nauczycielem siedzącym na lewo od kierownika szkoły jest „nowa siła nauczycielska", czyli Józef Mróz.

Chciałbym jeszcze, korzystając z własnych zbiorów, włączyć do tych wspomnień dwa zdjęcia grupowe. Na pierwszej fotografii, na tle szkolnej ściany usadowiła się moja klasa czwarta. Okazją do zrobienia tej fotografii było zakończenie roku szkolnego. W środku grupy swoich uczniów siedzi nasza wychowawczyni, pani Maria Pietrzniak. Ten uczeń stojący z boku, wyglądający jakby znalazł się tam przypadkiem, to ja. Jak pamiętam, nigdy nie czułem potrzeby znajdowania na pierwszoplanowej pozycji i jak mi się wydaje, takie przekonanie pozostało mi do dziś. Oglądając to zdjęcie w domu, mama nie kryła swojego niezadowolenia z powodu mojego „gapiostwa". Druga fotografia przedstawia moją klasę siódmą „a" na wycieczce szkolnej w 1962 roku, której celem było zwiedzania Gdańska, Oliwy i Malborka. Tradycyjnym miejscem do robienia pamiątkowych zdjęć w Gdańsku, jest stojący na Długim Targu posąg Neptuna. Osoby dorosłe na tym zdjęciu to żona kierownika szkoły, pani Mieczysława Pieczonka, pani Teresa Starcówna – nauczycielka biologii, oraz lokalny przewodnik. W grupie wycieczkowej były też koleżanki i koledzy z klas młodszych. Mieszkaliśmy w pobliżu plaży w Jelitkowie. Wielu z nas po raz pierwszy jechało pociągiem, po raz pierwszy zobaczyło jak naprawdę wygląda morze.

Uczniowie i grono nauczycielskie Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie, rok szkolny 1955/56.

Klasa IV, koniec roku szkolnego 1958/59.

Klasa VII a, pamiątka z wycieczki, rok szkolny 1961/62.

W czasie tych siedmiu lat nauki, razem z postępem w zdobywaniem wiedzy o świecie, zmieniał się też nasz wiejski świat. Zostało to odnotowane w szkolnej kronice: *Ważnym wydarzeniem w życiu szkoły była elektryfikacja. W miesiącu październiku 1958 roku, po raz pierwszy zabłysło światło elektryczne w izbach lekcyjnych*. Czytamy też dalej: *Należy dodać, że w miesiącu*

kwietniu 1958 roku, do tut. miejscowości [czyt. Wierzchowiny]*, zaczął systematycznie kursować samochód osobowy* [czyt. autobus]*, co stało się wielkim udogodnieniem dla miejscowej ludności i nauczycielstwa*. Budowana od Żółkiewki szosa w kierunku Wierzchowiny i Chłaniowa, początkowo kończyła swój bieg przed szkołą, przy rozbudowywanej w tym czasie cegielni. Tam też znajdował się końcowy przystanek dla autobusów PKS. Po pewnym czasie szosa poszła dalej. Na stronach kroniki odnoszących się do roku szkolnego 1958/1959, zostało zapisane: *Pod koniec września 1959 r. do tut. szkoły została doprowadzona szosa, która przyniosła wielkie straty dla gospodarki szkolnej, dlatego, iż na przestrzeni ok. 170 m zostało rozebrane ogrodzenie i wycięty żywopłot, a rów odwadniający znalazł się tuż przy murze szkolnym. W związku z tym zebranie rodzicielskie w dn. 15 XI 1959 r. wystąpiło z interwencją do Redakcji „Sztandaru Ludu". Jednak sprawa pozostała bez echa. Ze swej strony muszę dodać* [tj. osoba pisząca kronikę]*, że szkoła została mocno przez to pokrzywdzona, gdyż za poniesione szkody nie otrzymała żadnego odszkodowania*. Teraz możemy to tylko tak skonstatować – takie były czasy.

A były to czasy, kiedy różne domeny życia społecznego, w tym szkolnictwo, zależne były od tzw. polityki albo dokładniej – od szerzonej ideologii. Co roku wielkim wydarzeniem w życiu szkoły była organizacja pierwszomajowego pochodu. Co roku też było to skrupulatnie opisywane w kronice szkolnej. Kilka dni zajmowało dekorowanie szkoły. Były wtedy naklejane na oknach gołąbki pokoju oraz chorągiewki wykonywanie z karbowanej bibułki. A dawniej – jak dobrze pamiętam – do sklejania bibuły dobrze służył prosty „klej" robiony z mąki i wody. Na pochodzie były śpiewane marszowe pieśni. Dla postronnego, trzeźwo myślącego obserwatora, wyśpiewywane przez dzieci słowa: „Na barykady ludu roboczy…" albo „miotnie stal czerwoną iskrę w dal…", mogły się wtedy, jak i teraz wydawać zupełnie irracjonalne. Jednak, aby zapewnić właściwą oprawę tych pochodów, jak też akademii z okazji Święta Pracy, musiały ze sobą współpracować lokalna administracja i władze szkolne. Zaś dzieci z podstawówki były daleko od politycznych haseł. Dla nas była to tylko zwykła manifestacja świątecznego nastroju, naturalne przeżywanie takiej dziecinnej radości ze wszystkiego, z dnia wolnego od szkoły, z majowej słonecznej pogody. Chociaż pamiętam też, że maszerowało się i w deszczu, a raz lub dwa w deszczu ze śniegiem. Bywały i takie początki maja.

Cała kronika szkolna, uzupełniana przez kolejne osoby i zapisana różnym charakterem pisma, liczy sobie ponad 40 stron. Na poszczególnych stronach znajdują się zapisy dotyczące kolejnego roku szkolnego. Nie sposób w tym artykule zamieścić wszystkich informacji istotnych dla pracy szkoły. Warto jeszcze dodać, że w roku szkolnym 1963/1964, 3 września odbyła się uroczystość rozpoczęcia nowego roku szkolnego, połączona z obchodami pięćdziesięciolecia istnienia szkoły. W tym dojrzałym już wieku szkoły, jej zdolności edukacyjne wyglądały całkiem dobrze. W pierwszej połowie lat 60., liczba corocznie przyjmowanych dzieci oscylowała w granicach od 290 do 320. Pierwszego listopada 1963 roku została przy szkole utworzona Szkoła Przysposobienia Rolniczego. Nauka w niej trwała dwa lata.

Istotne zmiany dla szkoły w Wierzchowinie przyniósł rok 1965. W tym roku zakończono budowę nowej szkoły, Szkoły Podstawowej w Chłaniowie. Wyrosła młoda konkurentka. Wybudowana w ramach nośnego społecznie hasła edukacyjnego „Tysiąc szkół na tysiąclecie", szkoła chłaniowska spowodowała podział rejonu szkolnego na dwie części. W roku szkolnym 1965/1966 do nowej szkoły w Chłaniowie odeszło, jak zapisano w kronice, 76 uczniów. Do Chłaniowa została też przeniesiona Szkoła Przysposobienia Rolniczego. Zmiany te spowodowały redukcję nauczycielskich etatów. Kolejny rok szkolny był pierwszym rokiem nauki w ośmioletnim systemie nauczania podstawowego. Trwało to do roku szkolnego 1974/1975. Zmiany w podziale administracyjnym, likwidacja powiatów, tworzenie nowych województw oraz kolejne eksperymenty edukacyjne, nie służyły dobrze takim placówkom oświatowym jak szkoły podstawowe. Przyszły też lata kryzysu demograficznego. Od roku 1975 Szkoła Podstawowa w Wierzchowinie funkcjonowała już jako punkt filialny, który najpierw podlegał Szkole Gminnej w Żółkiewce, a potem Szkole Podstawowej w Chłaniowie. Stopień organizacyjny szkół filialnych został obniżony do nauczania w zakresie trzy- lub czteroklasowym.

Likwidacja szkoły w Wierzchowinie, jak było to już zapisane, nastąpiła w 2006 roku. Trochę szkoda. A może nawet bardzo. Tylko siedmiu lat zabrakło tej wtedy 93-letniej „staruszce", do świętowania jubileuszu stu lat. Po likwidacji szkoły, jeszcze przez dwa lata funkcjonowała w budynku filia gminnej biblioteki.

Widok szkoły od strony południowej, rok 2022.

Podanie nazwisk wszystkich osób uczących w tej szkole, bo oni przecież te szkołę tworzyli przez tyle lat, jest jak najbardziej zasadne i możliwe do zrobienia, ale jednak w oddzielnym opracowaniu. Chciałbym tylko uzupełnić do końca, listę kierowników i dyrektorów szkoły. Władysław Wytrzyszczewski kierował szkołą do roku 1957. W następnych latach funkcję kierownika lub dyrektora sprawowali: Władysław Piotrowski (1958-1960), Stanisław Pieczonka (1960-1962), Tadeusz Krzos (1962-1970), Bohdan Kiełbasa (1970-1973), Alina Żuławska (1973-1981), Maria Garbacz (1981-1999) i Agnieszka Bartosik (1999-2006). Późniejszy naczelnik gminy Żółkiewka Bohdan Kiełbasa, rozpoczął pracę w szkole jako jej kierownik, a po wejściu w życie nowych przepisów, zakończył pracę jako dyrektor.

Kronika Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie została założona 66 lat temu Zapisane przez kilku autorów strony tej kroniki, stały się dla mnie bezcennym źródłem informacji. Obejmują one praktycznie cały okres edukacyjnej działalności, sięgając od jej początków, aż do czasu wygaszenia nauki w szkole. Dobrze, że znalazł się ktoś, kto doceniając wartość takich dokumentów, przechował tę kronikę do naszych czasów. Chciałbym w tym miejscu bardzo gorąco podziękować Pani Dyrektor Marcie Magier za to, że pełniąc przez wiele lat funkcję dyrektora Szkoły Podstawowej w Chłaniowie, znalazła miejsce dla tej „bezdomnej" kroniki w archiwum swojej szkoły. Dziękuję też za to, że była uprzejma mi tę kronikę udostępnić.

Nie sposób uciec od sentymentalnej nuty, kiedy osoba w wieku emerytalnym wspomina lata swojego dzieciństwa. Dlatego na zakończenie tej historii chciałbym jeszcze dodać trochę osobistych wspomnień, tych, które utkwiły mi w pamięci i – jak mi się wydaje – wiernie oddają klimat minionych szkolnych lat. Te wspomnienia tworzą mozaikę obrazów różnych zdarzeń. Jako uczeń pierwszej i drugiej klasy, odrabiałem prace domowe przy lampie naftowej. Do dziś pamiętam dźwięk przecieranego gazetą szklanego klosza lampy. Pisanie atramentem przy użyciu zwykłego pióra umocowanego w tzw. obsadce nie było łatwe. W zeszytach zdarzały się kleksy. Ważną częścią szkolnych ławek był otwór na kałamarz z atramentem. Kto z młodych wie teraz, co to jest kałamarz? W pierwszym dniu klasy pierwszej przydarzył mi się taki wypadek, że niechcący stłukłem pusty kałamarz. Może to było na szczęście? Następnego dnia szedłem do szkoły bez entuzjazmu, niosąc w kieszeni 2 lub 5 złotych, jako odszkodowanie za wyrządzone szkole straty materialne. Podłogi w klasach i na korytarzu mocno pachniały jakimś środkiem na bazie nafty konserwującym drewno. Korytarz szkolny służył jako sala gimnastyczna, a także jako miejsce do szkolnych apeli i sala do zabaw choinkowych. Na tych zabawach połączonych z wizytą Dziadka Mroza, często śpiewana była piosenka „Nowy Roku, ty urodzaj naszym polom, łąkom daj…". Zimą dobrze było się przytulić do gorącego kaflowego pieca. Był taki piec

w każdej klasie. Dojście pieszo do szkoły zajmowało około 20 minut. Ale – jak pamiętam – droga ze szkoły do domu w jakiś dziwny sposób wydłużała się. Powrót do domu, zwłaszcza chłopakom, zajmował nieraz ponad godzinę. Obowiązkowo, co roku przed rozdaniem świadectw, cała szkoła wychodziła na wycieczkę do lasu. Po świadectwo do szkoły szło się jak w niedzielę do kościoła, w odświętnym ubraniu. Po bokach drogi rozciągały się pola „malowane zbożem rozmaitem". Brzegi pól i przydrożne rowy zawsze były pełne czerwonych maków i niebieskich bławatków. Wiadomo – koniec czerwca. Na zakończenie roku szkolnego, po blisko dziesięciu miesiącach mozolnej nauki (a nie było wtedy wolnych sobót) śpiewało się radośnie – niech żyją wakacje, niech żyje pole, las i woda, i słońce w pogodny, wolny czas… A każde wakacje dziwnie szybko mijały. Podejrzewam – z wakacjami jest tak samo i teraz.

dr Józef Adam Dąbek

Materiały źródłowe:

„Kronika Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie", praca zbiorowa.

Józef Adam Dąbek urodzony w 1948 roku, dzieciństwo spędził w wielopokoleniowej rodzinie w Chłaniowie. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie, a następnie Liceum Ogólnokształcącego w Wysokiem, studiował fizykę na UMCS w Lublinie. Pracę zawodową związał z uniwersyteckim Instytutem Fizyki. Jeszcze jako student V roku, w ramach szeroko pojętej współpracy nauki z przemysłem, został na kilka lat zatrudniony na etacie WSK Świdnik. Po powrocie na uczelnię uzyskał stopień doktora nauk fizycznych. Jako adiunkt zajmował się głównie dydaktyką i fizyką doświadczalną. Specjalizował się w dziedzinie spektrometrii mas i badaniach izotopowych. Od czasu podjęcia studiów mieszka w Lublinie. Po przejściu na emeryturę ponownie stał się „studentem" i bierze udział w zajęciach Lubelskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Hobbystycznie interesuje się numizmatyką i historią regionu, którą od kilku lat przedstawia w periodykach „Nestor" oraz „Dominik Turobiński".

Waldemar Seroka

Uwolnić warszawianki!

Był kwiecień 1945 roku. Zbliżał się nieuchronnie kres mającej trwać tysiąc lat III Rzeszy. W Polsce już od pół roku trwało nachalne – na sowiecką modłę – wdrażanie „nowego ładu". Obrońców „starego", by rozładować przepełnione więzienia, upychano w bydlęcych wagonach i syberyjskim szlakiem wieziono na białe niedźwiedzie.

W styczniu 1945 roku do więzienia w Janowie Lubelskim trafiła grupa kobiet. Były to dziewczyny z powstania warszawskiego: łączniczki, kurierki i sanitariuszki, którym we wrześniu 1944 roku udało się przedostać na prawy brzeg Wisły. Tutaj wpadły w ręce NKWD, a stąd prosto do „polskiego" sądu. Z wyrokami od 3 do 13 lat więzienia zostały tu przywiezione z Otwocka. Lecz to nie sam pobyt w więzieniu był ich głównym utrapieniem, lecz nieustanny lęk przed zsyłką na Sybir.

W tym samym czasie odbywała też swoją karę Władysława Nalewajko z Janowa, skazana na pół roku więzienia za nielegalny handel słoniną. Odwiedzała ją młodsza siostra Leokadia, która dzięki pobłażliwości strażników miała z nią (podczas prac w przywięziennym ogródku) dość swobodny kontakt. W tym zwietrzyły swoją szansę młode więźniarki. Najstarsza z nich Leonora Węgrowska wyłuszczyła siostrom w czym rzecz i poszło w Polskę wołanie: Uwolnić warszawianki![1].

Na czele poakowskich struktur w Janowie stał w tym czasie kapitan „Rymsza" (Bronisław Rębacz)). Miał on do dyspozycji zaledwie jeden oddział leśny w sile plutonu. Było to trochę za mało na tak ryzykowną robotę jak rozbicie więzienia. O wiele lepiej przedstawiała się pod tym względem sytuacja w Zamojskiem. Tutaj dowódcą dywersji był porucznik Tadeusz Kuncewicz – legendarny „Podkowa", o którym znowu zrobiło się głośno w terenie. Podlegało mu siedem leśnych oddziałów, po jednym w każdym rejonie konspiracyjnym[2].

[1] Relacja Władysławy Krzak i Leokadii Kasprzak (sióstr z d. Nalewajko), z 20.05.1994 r.

[2] Rejon konspiracyjny AK tworzyły z reguły 2-3 placówki (gminy) – rejony zaś tworzyły obwód (powiat).

Dawało to łącznie około 300 ludzi będących w stałej gotowości, bez mobilizowania placówek.

O możliwościach do prowadzenia wzmożonej dywersji przez zamojską partyzantkę wiedziało zapewne janowskie dowództwo – wszak to pod jego bokiem, w ciągu jednej nocy (10 kwietnia) oddziały podległe „Podkowie" zlikwidowały posterunki MO we Frampolu i w Kocudzy. To po tym zdarzeniu przybył do Hoszni Ordynackiej wspomniany wcześniej oddział janowski. Jego dowódca ppor. „Mściciel" (Antoni Sanetra) szukał usilnie kontaktu z „Podkową". Pomógł mu Tadeusz Borkowski „Mat", przedwojenny starszy marynarz morskiego baonu, później rusznikarz IV Rejonu AK (Radecznica-Sułów) – teraz dowódca bojówki tegoż rejonu. Przedstawił on, najszybciej jak mógł, sytuację uwięzionych dziewcząt samemu „Podkowie".

Tadeusz Borkowski „Mat" jako starszy marynarz, rok 1935.

Już następnego dnia wyruszyło z Mokregolipia w kierunku Janowa zgrupowanie oddziałów „Mata", „Mściciela" i „Mafa"[3]. W czasie trwania marszu „Mat" rozbił posterunki MO w Wysokiem i Zakrzewie, a w Tarnawie zarekwirował towar z miejscowej spółdzielni[4]. 27 kwietnia nad ranem zgrupowanie dotarło do miejsca koncentracji we Flisach. Tutaj dołączyła grupa partyzantów z okolicznych placówek AK i NSZ, zwiększając stan zgrupowania do stu kilkudziesięciu ludzi[5].

Z informacji uzyskanych „na mieście" wynikało, że stacjonujący tu od dwóch tygodni oddział bezpieczeństwa z Lublina opuścił Janów. Pozostał garnizon NKWD (tzw. komenda miasta), który wraz z załogą posterunku MO-UB oraz strażą więzienną stanowił, pod względem liczbowym, siłę zbliżoną do sił partyzantów. „Podkowa" jeszcze za dnia „rozpisał role", a przed zmrokiem zarządził pogotowie marszowe.

Oddziały przegrupowały się do Szklarni. Stąd już tylko 6 kilometrów do celu wyprawy. Ubezpieczenia ledwo zdążyły zająć wyznaczone rubieże, gdy miastem wstrząsnęły dwie detonacje. To minerzy odpalili ładunki wybuchowe pod więziennymi bramami. Reagujących nerwowo sowietów uspokoił „Maf", blokując ich ruchy ogniem broni maszynowej.

Tymczasem „Mat" nadspodziewanie gładko uporał się z załogą posterunku: *Atak nastąpił od ulicy Zamojskiej. Aby uniemożliwić im ucieczkę, trzeba było zająć stanowiska po drugiej stronie budynku. Gdy to uczyniliśmy, ubowcy – chcąc się ratować ucieczką, zaczęli zeskakiwać z balkonu na podwórze, ale serie z naszych automatów uniemożliwiły im ten zamiar; jeden z nich został trafiony*[6]. Po krótkiej wymianie ognia milicjanci złożyli broń; droga do urzędu skarbowego stała otworem. Po „obrobieniu" kasy, „Mat" kazał jeszcze „wyczyścić" spółdzielcze magazyny, a sam podążył do więzienia, gdzie trwał chwilowy impas.

Większość strażników była już rozbrojona, ale niektórzy tak się pochowali, że trzeba było ich szukać i wyciągać z kryjówek. Klucze do zamków były już w rękach partyzantów, lecz cele wciąż były zamknięte, bo zginęły klucze do kłódek przy ry-

[3] „Maf" – Marian Mijalski, absolwent leśnej podchorążówki w Płonce (krasnostawski obwód AK). Od wiosny 1944 r. w oddziale „Podkowy". Dowódca plutonu dywersyjnego V Rejonu AK (Zwierzyniec-Szczebrzeszyn-Tereszpol). Zginął w lipcu 1945 r. podczas wyprawy „Podkowy" do Amerykanów na terenie Czechosłowacji.

[4] T. Borkowski „Mat", relacja z 28.08.1990 r. Kopia w posiadaniu autora.

[5] A. Miś „Niedźwiedź", *Uwolnienie powstańców warszawskich z więzienia w Janowie Lubelskim.* Kopia maszynopisu w posiadaniu autora.

[6] H. Kaźmierczak „Zwinny", *Opanowanie Janowa Lubelskiego*, maszynopis. Kopia w posiadaniu autora.

Więzienie w Janowie Lubelskim, 1994.

glach. Dopiero gdy „Mat" porozbijał je z karabinu – zostały otwarte. Jeden z minerów – „Jastrząb", który wpadł tam jako pierwszy, zauważył, że kobiety: *Niektóre leżały na podłodze, inne, klęcząc modliły się w oczekiwaniu na wysadzenie więzienia. Gdy po chwili zszedłem niżej widziałem jak naczelnik więzienia wydawał akta, z których „Podkowa" wyczytywał nazwiska uwięzionych.*

Uwolniono 15 kobiet: 14 warszawianek i Władysławę Nalewajko z Janowa. Volksdeutschów i pospolitych przestępców zamknięto z powrotem w celach. Groźnego bandytę działającego pod płaszczykiem AK rozpoznali janowiacy i od razu „rąbnęli" go na spacerniaku. Główne zadanie zostało wykonane, lecz komplikowała się sytuacja przy komendzie miasta. Zabarykadowani w murowanym budynku Sowieci nie chcieli się poddać, ale i tu osiągnięto niespodziewany sukces.

Leonora Węgrowska, uwolniona z więzienia w Janowie Lubelskim.

Aleksandra Wiśniewska „Dzikuska" ze Świdra pod Warszawą, uwolniona z więzienia. W latach 1945-1947 w oddziale „Zapory".

(Fotografie ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Janowie)

Na placu przed komendą stały 4 samochody: 2 sztudebakery i 2 zisy ze śpiącymi w szoferkach kierowcami. Takiej gratki „Mat" nie przepuścił i po chwili Sowieci grzali silniki. Trofiejny towar, co tylko się dało, upychano na samochodach. Po załadowaniu kobiet, jak zeznał strażnik więzienny, banda ze śpiewem odjechała na Krzemień.

Ciemną i głuchą nocą, kiedy gwiazdy idą spać,
nawet księżyc pogrążył się w cień.
Na kwaterach wesoło śpiewa partyzancka brać,
wczoraj resort wycięliśmy w pień...

Tej spektakularnej akcji na reżymowe więzienie towarzyszyła rzadko spotykana w tym czasie rekwizycja, w której zdobyto:

– w komendzie miasta 4 samochody ciężarowe i 600 litrów paliwa,

– w kasie urzędu skarbowego 421 500 złotych i 68 704 ruble,

– w spółdzielni rolniczo-handlowej artykuły o wartości 357 153 złote, w tym między innymi:

3 konie o wartości	60 000 zł
1 wóz ciężarowy (konny)	15 000 zł
1 uprząż parokonna	5 000 zł
1 waga uchylna	20 000 zł
1 waga dziesiętna	5 000 zł
9 szt. świń	90 000 zł

oraz kilkanaście metrów cukru, broń, amu-

nicję i mundury[7]. Podczas ataku na posterunek MO zginął funkcjonariusz UB, a w starciu z Sowietami ranny został ich żołnierz.

W czasie postoju we Flisach uwolnione kobiety otrzymały po dwa tysiące złotych zapomogi. Opieką otoczyła ich miejscowa placówka AK, skąd – zgodnie z wytycznymi „Podkowy" – zostały przewiezione do klasztoru oo. Bernardynów w Radecznicy. Tutaj oczekiwały na „lewe" kennkarty z komórki legalizacyjnej obwodu: *Zjawiła się u nas grupa więźniów uwolnionych przez „Podkowę" z więzienia w Janowie. Były to młode niewiasty, aresztowane za udział w powstaniu warszawskim i do Lubelszczyzny wywiezione. Po tym wypadku inne grupy partyzanckie, poza „Zaporą", sporadycznie przewijają się przez „Górkę"* [klasztor]. *Przyczyną tego było to, że na zapleczu frontu UB i NKWD ożywiły swoją działalność, co wywołało reakcję AK – wzmagał się tzw. „dziki zachód"*[8].

Tymczasem „Podkowa" odskoczył w głąb Lasów Janowskich, by po chwili wytchnienia w Szewcach, wyruszyć w Biłgorajskie. Mając do dyspozycji 4 samochody wojska, rozpędził w biały dzień (29 kwietnia) trzy posterunki MO: w Biszczy, Tarnogrodzie i Łukowej. Milicjanci nie stawiali oporu. W Tarnogrodzie na sam widok podejrzanych samochodów załoga rozpierzchła się w popłochu, w Łukowej – dopiero po karze chłosty. Pod Tereszpolem zwolniono Ruskich. Dostali zisa, beczkę z paliwem i... błogosławieństwo na drogę. Drugi samochód dostał „Wir" (por. Konrad Bartoszewski), trzeci „nawalił", więc został spalony, a czwartym wrócił „Podkowa" do Szperówki. Nastał czas porządkowania terenu...

Wiosną 1945 roku krasnostawska bezpieka nasiliła terror wobec ludności wspierającej „las". Odczuli to szczególnie mieszkańcy terenów leżących na styku trzech powiatów: biłgorajskiego, krasnostawskiego i zamojskiego. Podczas pacyfikacji gminy Turobin zginęło 13 osób. *Do ludzi strzelano jak do kaczek; zginęły 3 osoby z Turobina, 2 z Rokitowa, 2 z Żurawia, 2 z Czernięcina i 4 z Wólki Czernięcińskiej. Akcja ta dosięgła i naszej wsi – Hoszni Ordynackiej, która została spalona od północnego zachodu – 10 zabudowań*[9].

Na początku maja, udało się „Matowi" nakłonić „Podkowę" do wypadu na Krasnystaw. *Podczas naszego spotkania zaproponowałem uderzyć na bezpiekę i więzienie, w odwet za wymordowanie w gminie Turobin 17 jej mieszkańców i spalenie 13 gospodarstw w Hoszni, a w drodze powrotnej porozbijać i porozpędzać posterunki milicji. Po podciągnięciu pod Krasnystaw dołączyło do nas kilkudziesięciu żołnierzy z miejscowych placówek AK, tak że nasze siły wzrosły do około 300* [?] *ludzi. Zatrzymaliśmy się na dzień we wsi Widniówka, około 7 kilometrów od Krasnegostawu. Stąd wyruszyły patrole pod dowództwem „Podkowy", ponieważ wywiad dał nam wiadomość, że do miasta przybyło 700 żołnierzy NKWD, a my nie mieliśmy rozpoznania, gdzie stacjonują. Wobec tego postanowiliśmy się wycofać. W drodze powrotnej rozbiliśmy* (12 maja) *posterunek milicji w Żółkiewce*[10].

Zdobyto pepeszę, 4 karabiny, rower i maszynę do pisania. Zginął sekretarz gminny PPR i funkcjonariusz UB. Po tej akcji „Mat" wrócił na swój teren – „Maf" pomaszerował na Wirkowice. W planach „Podkowy" była teraz kolejna „robota". Tym razem w Izbicy i w Tarnogórze. Jej opis przedstawia 4(58) numer „Nestora".

Ostatnią akcją naszego oddziału było starcie z UB we wsi Czysta Dębina koło Gorzkowa. Na nasze kwatery w Kolonii Borów zgłosił się z miejscowej placówki AK jej członek z informacją, że UB z Krasnegostawu aresztuje ludzi. Wraz z „Mafem", którego byłem zastępcą, podjęliśmy decyzję o uderzeniu na bezpiekę. Przeciwnik po utracie 5 ludzi, poszedł w rozsypkę. Przy jednym z zabitych znaleziono kennkartę z literą „U" – Ukrainiec. Powrócili tu 2 dni później, 25 maja, kiedy to ubezpieczani przez NKWD podpalili wieś, mordując kilku jej mieszkańców. Wiadomość o tym dotarła do nas podczas postoju w Mościskach[11].

---

[7] Patrz akta sprawy *Tadeusz Kuncewicz i inni*. Archiwum Sądu Rejonowego w Lublinie SR 1519/47 (obecnie archiwum IPN Lublin).

[8] O. Wacław Płonka „Czarny", *Klasztor w Radecznicy*. Rękopis, ss. 80-81, Archiwum Prowincji oo. Bernardynów w Krakowie. Kopia w posiadaniu autora.

[9] D. Flis „Brzóska", *Wygrzebane z mroków pamięci*, rękopis.

[10] T. Borkowski „Mat", relacja... tamże. Patrz też: A. Kwieciński *Wspomnienie o Władysławie Kwiecińskim, dowódcy III Rejonu AK Obwodu Krasnystaw, pseudonim „Lubicz"* [w:] „Nestor" 4(62) 2022.

[11] F. Orzechowski „Orlicz", *Oddział por. „Podkowy"*, maszynopis. Kopia w posiadaniu autora.

Inny uczestnik tej potyczki – „Jurand", zawarł w swej relacji trochę więcej szczegółów: *Pod koniec maja 1945 roku, po likwidacji posterunków MO w Żółkiewce i Izbicy, kwaterowaliśmy w Kolonii Borów. Około południa zjawił się u nas mieszkaniec sąsiedniej wioski, członek AK, z wiadomością, że do Czystej Dębiny przyjechali furmankami ubowcy z zamiarem dokonania aresztowań. Podchorąży „Maf" zarządził alarm. Prowadzeni przez miejscowych, podeszliśmy do zabudowań, w których się zatrzymali. Nagle z domu wychodzi umundurowany ubowiec (…), aby wyjrzeć na drogę. Krzyknąłem „ręce do góry", ale on zaczął uciekać. „Maf" strzelił, raniąc go śmiertelnie, a z zabudowań padają strzały. Wpadamy tam, ale ubowcy pouciekali lub pochowali się. Na podwórzu jest tylko gospodarz, a w domu wystraszone kobiety i stół zastawiony obiadem. Nasi chłopcy rozbiegli się i przeszukują wszystkie zakamarki, ale po ubowcach ani śladu. Naraz z poddasza obory padają strzały: to kilku z nich ukryło się na strychu i przez szpary w facjacie chcą nas wystrzelać. Po kilku seriach z naszej broni, „Maf" wezwał ich do poddania się, ale odpowiedzią były dalsze strzały. Na rozkaz „Mafa" wrzucono granat do obory, a po chwili, z jej wnętrza, następny – na strych, gdzie była słoma. Za chwilę bucha płomień, a z obory wychodzi czterech ludzi z rękami do góry. Obora paliła się coraz mocniej, ale już z niej nie strzelano. Rozległy się natomiast serie z erkaemów na skraju wioski. Z opowiadań kolegów wynika, że ubowcy puścili dwie puste furmanki, a gdy one przejechały swobodnie – następnymi chcieli uciekać, ale nasi nie dali się na to nabrać. Przyprowadzili ze sobą dwóch ujętych, kolejnych dwóch przyprowadził „Orlicz". Zatrzymał ich w lesie, gdy po akcji odprowadzał siostrę do sąsiedniej wsi. Udawali, że są z 27 Wołyńskiej Dywizji i szukają kontaktu z partyzantami. Jednak w kieszeni jednego z nich znaleziono bilet do kina w Krasnymstawie, a konfrontacja całej czwórki rozwiała wszelkie wątpliwości. Ich los był przesądzony. W nocy opuściliśmy kwatery, udając się w okolice Bzowca*[12].

Niektórzy publicyści, pisząc o tragedii w Kolonii Czysta Dębina, zarzucają „Podkowie" (którego tam nie było!) popełnienie „tragicznej omyłki", „politycznego błędu", a nawet „sprowokowanie odwetu UB". Zaniżają przy tym ich straty do dwóch zabitych funkcjonariuszy, którzy w sile plutonu mieli jakoby „zatrzymać się w Starej Dębinie, by coś zjeść"[13]. W swych osądach powołują się przeważnie na opinię Pawła Czuby ps. „Burza", byłego komendanta krasnostawskiego obwodu BCh, który będąc w tym czasie urzędnikiem resortu rolnictwa i reform rolnych, przebywał w Warszawie. Rzeczywistym gospodarzem terenu był por. Kazimierz Kapłon „Kalina", komendant krasnostawskiego obwodu AK. To jego raport jest informacją z pierwszej ręki i wiarygodnym dokumentem w tej bolesnej sprawie. Oto jego treść:

633[14].
24.V.45.

Por. Podkowa

W dn. 23.V. 45. w godzinach popołudniowych, przez połączone siły oddziałów pchor. Mafa i oficera dywersji bojowej obwodu 633 ob. Witka, został rozbity oddział Bezpieczeństwa z Krasnegostawu, w liczbie około 25 ludzi, dokonywujący aresztowań w m. Dębina, gm. Gorzków.

Należy podnieść z całym uznaniem szybkość decyzji, powziętej przez pchor. Mafa i jego brawurową akcję, w wyniku czego nieprzyjaciel stracił około 13 zabitych. Liczby rannych nie ustalono.

W imieniu Komendy Obwodu 633 składam żołnierskie podziękowanie pchor. Mafowi za jego pełen poświęcenia zryw i proszę o udzielenie mu z tego tytułu pochwały[15].

p.o. Komendanta Obwodu
Kalina – Kruszewski

Przesłuchiwany na tę okoliczność „Podkowa" potwierdził główne tezy raportu „Kaliny", określając liczbę zabitych ubowców na 10-11 ludzi. Kropkę nad „i" w tej sprawie stawia inny uczestnik

[12] H. Marczewski „Jurand" *Potyczka z ubowcami we wsi Czysta Dębina,* maszynopis. Kopia w posiadaniu autora.

[13] W. Danielak, *Spalić i wystrzelać wszystkich żywych.* „Prawo i Życie" nr 31/1990. Patrz też: K. Czubara, *Czarny dzień Czystej Dębiny.* „Tygodnik Zamojski" nr 37 i 38/1994, oraz *W obronie „Podkowy",* „Tygodnik Zamojski" nr 6/1995.

[14] Kryptonim Obwodu AK Krasnystaw.

[15] Akta sprawy *Tadeusz Kuncewicz*... tamże. Kopia raportu w posiadaniu autora.

tego zdarzenia, odnotowanego przez doktora Klukowskiego pod datą 26 maja 1945 roku: *Był u mnie chłopak z oddziału „Podkowy" – „Żelazny". Jego pluton składa się z około 40 ludzi. Wszyscy dostali urlop do 1 czerwca. Przez ostatnie trzy tygodnie byli na robocie w Krasnostawskiem. W jednej wsi mieli większe starcie ze szturmówką z Krasnegostawu. Zabili 13 szturmowców – Ukraińców, reszta uciekła. Sami nie mieli żadnych strat. Z uwielbieniem mówił o „Podkowie", jego odwadze i jak dba o swoich żołnierzy. Ma wrażenie, że szykuje się jakaś poważniejsza akcja, bo „Podkowa" ściąga podobno więcej grup likwidacyjnych*[16].

Tą poważniejszą akcją miało być rozbicie więzienia w Chełmie. Tam, tak jak w Janowie więziono akowców, głównie z Hrubieszowskiego. Były komendant tego obwodu, teraz szef inspektoratu – kapitan „Irka" (Marian Gołębiewski) zlecił to zadanie „Podkowie". Na koncentrację w Pańskiej Dolinie stawiły się plutony „Mafa" i „Urszuli" (Roman Szczur). Po drodze miał dołączyć „Pingwin" (Bolesław Sobieszczański), ale marsz został wstrzymany już koło Grabowca. Powodem była gigantyczna operacja sił bezpieczeństwa, wojska i NKWD przeciwko oddziałom NSZ „Szarego" (kpt. Mieczysław Pazderski), który 6 czerwca 1945 roku spacyfikował ukraińską wieś Wierzchowiny koło Siennicy Różanej. Na pograniczu trzech powiatów trwała pożoga...

Wydarzenia ostatnich dni uzmysłowiły „leśnym" ich tragiczną sytuację. Więzienia pękały w szwach, a bezpieka sporządzała coraz to nowe listy proskrypcyjne. Każda próba oporu przeciwko „nowej władzy" kończyła się krwawym odwetem na bezbronnej ludności. *Obserwując rozwój wypadków w Polsce* – mówił w śledztwie „Podkowa" – *nie byłem z tego zadowolony. Postanowiłem więc przedostać się do kół polskich na Zachodzie, aby przedstawić im całą sprawę*. Po paru dniach grzebania w silniku „Żbik" (Tadeusz Jankowski) odpalił sztudebakera[17].

Waldemar Seroka

[16] Z. Klukowski, *Zamojszczyzna 1944-1959, tom II.* Wyd. Karta 2007, s. 187.

[17] Tadeusz Jankowski „Żbik" – żołnierz „Podkowy". Po złożeniu broni w lipcu 1944 roku wyjechał do Lublina. W znanej firmie transportowej Zamellego był (po ukończeniu kursu) instruktorem nauki jazdy na sztudebakerach.

Waldemar Seroka – urodzony w 1949 roku, emerytowany oficer Wojska Polskiego, syn żołnierza AK i zesłańca Sybiru, regionalista i pasjonat historii Armii Krajowej. Autor publikacji na temat żołnierzy Armii Krajowej z Zamojszczyzny.

Andrzej David Misiura

Ofiary II wojny światowej. Teren gminy Siennica Różana

Polegli w czasie działań wojennych, rozstrzelani, zamordowani w obozach koncentracyjnych z terenu lub na terenie gminy Siennica Różana (dawniej Siennica Nadolna, później Rudka). Wśród nich znajdują się także deportowani, którzy nigdy nie powrócili do domu. I jedno jest pewne – oni również byli ofiarami wojny. Większość z listy poległych, bez względu na narodowość, przynależy do ówczesnej gminy, zgodnie ze stanem administracyjnym na czas popełnianych zbrodni. Nieznaczny procent stanowią ludzie, którzy z różnych powodów znaleźli się na ziemi siennickiej i tutaj stracili życie. Jakimś cudem przetrwały w pamięci same nazwiska. Należało zadać sobie sporo trudu, aby dotrzeć do krewnych lub źródeł i uzupełnić np. niektóre imiona. Na trudność sporządzenia tej listy miały wpływ niejednokrotnie w pewnym stopniu przeczące sobie przekazy. Stąd pojawiają się np. znaki zapytania, czy podwójne daty.

Lista powstała z zamiarem umieszczenia nazwisk na publicznej tablicy na wieczną rzeczy pamiątkę, o co do swoich ostatnich dni zabiegał lokalny działacz społeczny **Władysław Sobieszczuk** z Siennicy Królewskiej Dużej, któremu składam serdecznie podziękowania za zainicjowanie tego przedsięwzięcia. Podziękowania kieruję również pod adresem Wiesława Zadrąga z Rudki, Mariana Mroza z Siennicy Różanej oraz wszystkich, którzy wspierali mnie przy tworzeniu tej listy. Wdzięczny jestem prof. Edwardowi Wierzchosiowi z Krakowa. Profesor niestrudzenie konsultuje i uzupełnia listę w obrębie rodzinnych stron obejmujących Żdżanne, Wierzchowiny i Zagrodę.

Oto miejscowości przedwojennej gminy Siennica Różana: Bzite, Czarnoziem (Krupe Nowe, Zosinek, Stójło), Krupe (Zastawek i Wola, Krupe Popówka), Krupiec (Wincentów, Oleśnica, Stawisko), Krynica, Maciejów (Złośnica, Boruń), Ostrów Krupski, Siennica Różana, Siennica Królewska Duża (Baraki, Browarówka), Siennica Królewska Mała (Królewskie Leśnictwo, Berkowiec, Baranówka Kol.), Siennica Nadolna (Kasjan, Rudka, Elżbiecin), Wola Siennicka (Komarówka Kol., Wesołówka Kol.), Wierzchowiny (Wesołówka, Zwierzyniec), Zagroda (Kostunin, Kozieniec, Granica), Żdżanne (Toruń).

Andrzej David Misiura

1. Aleksiejuk Franciszek (ur. 1917), ps. „Grom", + 22.04.1943, w walce, Kasjan
2. Andrzejewski Stanisław, Maciejów, + 1939 (?), na wojnie
3. Antoniak Jan (ur. 1904), Siennica Królewska Mała, + 16.04.1942, Siennica Mała
4. Antoniak Józef (ur. 1912), Siennica Królewska Mała, areszt. sierpień 1941, + KL Majdanek
5. Banach Franciszek, Siennica Duża, + 20.09.1939, Kol. Baraki
6. Baran Marian, Siennica Duża (BCh Stójło), + 1944, więzienie w Chełmie
7. Bereza (…), Kol. Góry lub Tarnogóra, + 20.09.1939, Kol. Baraki

8-9. Bitman Zajka z synkiem, zimą 1942/43

10. Błat Srul, + lipiec 1942, Zagroda
11. Boczanówna/Bocian Regina, Siennica Różana, + 1943
12. Bobiejczuk Bogdan, + 29.04.1944, w walce okol. Białej Podlaskiej
13. Bojarczuk Antoni (ur. 1924), + 20.06.1942 Krupe
14. Bojarczuk Lucyna (ur. 1926), + 20.06. 1942 Krupe
15. Bojarczuk Tadeusz (ur. 1927), + 20.06. 1942 Krupe
16. Chodun Aleksander (Chodon) (ur. 25.03.1903) Krupe, + 17.02.1942, KL Majdanek
17. Chodun Józef, Siennica Duża, s. Jana, + 1944, na morzu ORP
18. Chodun Kazimierz (ur. 1916), Siennica Królewska Duża (Browarówka), s. Antoniego, + 26.07.1942
19. Chodun Wacław (ur. 22.06.1914), Siennica Królewska Duża, s. Jana, + 8.09.1939, w walce pod Pabianicami
20. Chojnacki Edmund (ur. 1917), Zagroda, s. Stanisława, areszt. 06.1941, + obóz w Dębicy
21. Ciechan Aniela, Siennica Różana, ż. Władysława, + 1942 (?)
22. Ciechan Jan (ur. 1892), Czarnoziem, + 12.11.1942
23. Ciechan Józefa, Siennica Różana, ż. Władysława, + 31.10.1942, Siennica Różana
24. Ciechan Kazimierz, Siennica Królewska Duża, s. Antoniego,
25. Ciechan Michał (ur. 14.09.1902), Siennica Różana, + 04-05.1945
26. Ciechan Władysław (ur. 21.05.1905), Siennica Różana, s. Jana, + 1.04.1942
27. Cuker Dawid, + 1942, Siennica Różana
28. Cybulska Katarzyna, Zagroda, + 19.06.1942, Siennica Różana
29. Czwórnóg Maria (ur. 1912), Stójło, + 09.1942, Stójło
30. Czwórnóg Marian (ur. 1941), Stójło, + 09.1942, Stójło
31. Czwórnóg/Wyrośląk Marysia (lat 2), c. Wacława, + 27.11.1942, Stójło
32. Czwórnóg Tomasz (ur. 1901 lub 1909), Stójło, + 09.1942, Czarnoziem
33. Czwórnóg Irena (lat 9), Stójło, + 27.11.1942, Czarnoziem
34. Czwórnóg Zofia (ur. 1907), + 27.11.1942, Czarnoziem
35. Ćwikła Franciszek (ur. 1906), Żdżanne, + 3.05.1942 Żdżanne
36. Ćwikła Franciszka (?), Żdżanne, + 27.06.1942 Żdżanne
37. Demczuk Jan (ur. 1908), Wierzchowiny, + październik 1942, Wierzchowiny
38. Demczuk Maria (ur. 1911), Wierzchowiny, + październik 1942, Wierzchowiny
39. Derewicka Zofia, Zagroda, + 1942, Siennica Różana
40. Derewicka Maria, Zagroda, + 1942, Siennica Różana
41. Derkacz Stanisław, Siennica, + ok. 12.11.1942, Borek k. Krasnegostawu
42. Dobrzański Kazimierz (ur. 1910), Zagroda, zaginiony
43. Dobosz Jan (ur. 1911), Krynica, s. Franciszka i Katarzyny z Osobów, + 1940, Charków
44. Dobosz Kazimierz (ur. 18.09.1912), Bzite, + 17.12.1942, KL Majdanek

45. Dodor Józef, Żdżanne, + 4.11.1942 rozstrzelany, Żdżanne
46. Dodor Mikołaj, Żdżanne, + 4.11.1942 rozstrzelany, Żdżanne
47. Domański Michał (ur. 1919), + 1943 Ostrów Krupski, + 1943
48. Drygiel Maria (ur. 17.08.1920) Żdżanne, + 15.04.1943, KL Auschwitz
49. Dubaj Stanisław (ur. 6.05.1907 lub 1906), Wola Siennicka, s. Wojciecha, areszt. 08.1942, + KL Majdanek
50. Dudziak Dymitr (ur. 1908), Wierzchowiny, + 15.08.1943, + lipiec 1943
51. Dufcio Dawid (pochodz. żydowskiego), buchalter w majątku Niemca Martensa
52. Dzik Józef (ur. 17.03.1905), Siennica Różana, areszt. 12.09.42, + KL Majdanek
53. Franczak Maria, Wierzchowiny, + 3.07.1943, Wierzchowiny
54. Frank Abram, + lipiec 1942, Zagroda
55. Frank Motyl/Motl, + lipiec 1942, Zagroda
56. ks. Galewski Stanisław (ur. 30.03.1914), Krasnystaw, + 13.07.1942, plebania Siennica Różana
57. Gąsiorowski Leon (ur. 1903), Siennica Nadolna, + 1942 Izbica
58. Głowacki Jan, Zagroda, żołnierz 1939, + obóz w Niemczech
59. Grobelny Franciszek (ur. 1893), Siennica Nadolna, s. Michała i Katarzyny z Karaudów, + 1940 Kalinin (Twer)
60. Gułaś Józef (lat 16), Rudka, + 20.09.1939, Baraki
61. Haratym Czesław (lat 22), s. Janiny, + 27.11.1942 Czarnoziem
62. Haratym Irena (ur. 1940), + 27.11.1942, Czarnoziem – dziecko
63. Haratym Janina z Morawieckich (ur. 1921), Czarnoziem, + 27.11.1942, Czarnoziem
64. Haratym Krystyna (lat 3), c. Janiny i Czesława, + 27.11.1942, Stójło
65. Humin Aniela (ur. 1912 lub 1917), Siennica Królewska Duża (Browarówka), c. Józefa, + 12.08.1942
66. Humin Aniela, Siennica Duża, ż. Władysława, + 1944, las Lipina
67. Humin Bronisława (ur. 1908), Siennica Różana, ż. Władysława, + 8.05.1942, Siennica Różana
68. Humin Józef (ur. 25.03.1901), Siennica Różana, s. Tomasza, + 2.12.1942, KL Majdanek
69. Humin Katarzyna, Siennica Królewska Duża (Browarówka)
70. Humin Rozalia (ur. 1894), Siennica Różana, ż. Stanisława, + 8.05.1942, Siennica Różana
71. Humin Władysław, Siennica Królewska Duża, s. Józefa, + 12.08.1942
72. Humin Władysław (ur. 1916), Siennica Różana, s. Tomasza, + 8.05.42, las Lipina
73. Iżak Józef (ur. 1912), Siennica Królewska Mała, + lipiec 1942
74. Iżak Zofia, Siennica Królewska Mała, ż. Józefa, + 1942, Siennica Różana
75. Jakubiak Wincenty, Baraki, + 20.09.1939, Baraki
76. Jakubiec Franciszek, Siennica Nadolna, + 20.09.1939, Baraki
77. Jakubiec Michał, Baraki, + 1942, KL Majdanek
78. Jandzyk Jan, (ur. 1904), Krupe, + 20.09.1943, Krupe
79. Jaworski Jan (ur. 1912), Zagroda, + 25.08.1942, Zagroda
80. Jaworski Józef, Żdżanne, + 4.11.1942
81. Jaśkiewicz Paweł (ur. 1920), + 22.09.1942, Wincentów
82. Jędruszczak Mieczysław (ur. 13.11.1913), Siennica Różana, ppor. WP, + 1940, Charków
83. Kalisiewicz Paweł (ur. 1894), + 21.09.1943, Wincentów
84. Kałużny Jan (ur. 1900), Wierzchowiny, + lipiec 1943, Wierzchowiny
85. Kamiński Jan, Siennica Różana, + 7.09.1939, na froncie
86. Kargul Aleksander (ur. 1914), Maciejów, ps. „Kordian”, dow. plut., + 20.07.1944 Maciejów
87. Kargul Jan (ur. 1915 lub 1917), Wola Siennicka lub Żdżanne, s. Jana, + 1942, KL Dębica
88. Kniażuk Mikołaj (ur. 1908), Zagroda, areszt. + czerwiec 1942, KL Majdanek
89. Korkosz Łukasz, Krupe, + 1942, las Borek k. Chełma
90. Karwat Józef (ur. 8.01.1896), Siennica Różana, areszt. 22.09.1942, + KL Majdanek
91. Kloc Kazimierz, Siennica Królewska Mała, + 20.09.1939, Siennica Różana
92. Kociowski Andrzej, Siennica Różana, + 1943, Siennica Różana
93. Komar Stanisław (ur. 1919 lub 1921), Zagroda, s. Edwarda, areszt. 06.1941, + KL Dębica
94. Kornfeld Dyna, (Fajgenbaum Dyna – c. Szmula K.), + 1943 Siennica Różana

95. Kornfeld Szmul, + 1943, Siennica Różana
96. Korzeniowski Paweł, Małochwiej, + jesień 1942 Siennica Różana
97. Kostrzanowska Maria (ur. 1901 lub 1900), Stójło, + 5.05.1942, Stójło
98. Kostrzanowski Michał (ur. 1927 lub 1918), Stójło, s. Marii, + 5.05.1942, Stójło
99. Kostrzanowski Stanisław (ur. 1919), Stójło, s. Marii, + 5.05.1942 (spłonął), Stójło
100. Kot Franciszek, Siennica Duża, + 1939
101. Kowalski Stanisław (ur. 1912), + 20.06.1942 Krupe
102. Kowalski Tomasz, Baraki, + 1942, KL Majdanek
103. Kozioł Antoni (?) (ur. 1910), Zagroda, + 1942, Zagroda
104. Kozioł Ignacy (ur. 1906 lub 1912), Zagroda, + 25.08.1942, Zagroda
105. Kozioł Marian (ur. 1913), + 25.08.1942, Zagroda
106. Kozioł Onufry (ur. 1884), Zagroda, areszt. maj 1941, + KL Dachau
107. Kozłowski Andrzej (ur. 1898), Siennica Różana, + kwiecień 1942, Siennica Różana
108. Krawiec Franciszek (ur. 25.09.1902), Siennica Różana, areszt. 12.09.1942, + 2.10.1942, KL Dębica
109. Krawiec Wiera, Zagroda, deportowana w 1940, + 1942 obóz niemiecki
110. Krzywicka Wanda (ur. 1890), Kolonia Boruń, służąca u Watsona, areszt. 20.02.1941, + w więzieniu
111. Książek Stanisław (ur. 3.04.1914), Wola Siennicka, + 1945, obóz niemiecki
112. Kubina Wiktoria (ur. 1900), Stójło, + 05.11.1942, Stójło
113. Kubina Mieczysław (ur. 1921, 1916?), Zagroda, areszt. 06.1941, + KL Dębica
114. Kuchnowska Zofia (ur. 1910), Siennica Różana, + 1943
115. Kurzajak Lucjan, Kozieniec, + 1942 (?), KL Dębica
116. Kuś Franciszek (ur. 11.11.1890), Wola Siennicka, areszt. sierpień 1942, + KL Majdanek
117. Lachmian Antoni (ur. 1919), Kolonia Boruń, areszt. 20.02.1941, + w więzieniu
118. Lachmian, Kolonia Boruń, ż. Antoniego, areszt. 20.02.1941, + w więzieniu
119. Ledelman Jankiel, + lipiec 1942, Zagroda
120. Ledelman Sprync, + lipiec 1942, Zagroda
121. Ledelman Srul, + lipiec 1942, Zagroda
122. Litwin Adam (ur. 1908 lub 1910), Siennica Nadolna – Rudka, + 03.1943
123. Litwin Antoni (ur. 1910), Zagroda, + 25.08.1942 Zagroda
124. Łoza Danuta (ur. 1933), Żdżanne, + 4.11.1942 (06.1943?), Żdżanne
125. Łoza Ryszarda (ur. 1935), Żdżanne, + 4.11.1942 (06.1943), Żdżanne
126. Łoza Stanisław (ur. 1904), Żdżanne, + 4.11.1942 (06.1943), Żdżanne
127. Łoza Teofila (ur. 1908), ż. Stanisława, + 4.11.1942 (06.1943), Żdżanne
128. Łoza Zofia (ur. 1938), Żdżanne, + 4.11.1942, Żdżanne
129. Łukowiec Jan (lat 23), Boruń, + 1939, na froncie
130. Manachiewicz Franciszek (ur. 16.11.1908), Siennica Nadolna, st. poster., + 1940, Kijów (Bykownia)
131. Mantelmach Wuhra, + lipiec 1942, Zagroda
132. Marczuk Aksenty (ur. 1902), Wierzchowiny, + lipiec 1943, Wierzchowiny
133. Margola/Margol Stefan (lat 20), Siennica Różana, + 1942
134. Mazur Aniela (lat 27), Rudka, + 1942
135. Mazurek Czesław (ur. 1903), Zagroda, + czerwiec 1942, KL Majdanek
136. Messer Szymon (Srul), + 1942, Siennica Różana
137. Mielnicki Franciszek (?), + rozstrzelany
138. Mielniczuk Dymitr, Wierzchowiny, + 1942
139. Mielniczuk Władysław, Siennica Duża, + 1939(1944?), na froncie
140. Mielniczuk Władysław (ur. 25.03.1903), Krupe, + 20.12.1942, KL Majdanek
141. Mironiuk Afanazy (Afanaza, a może Maria?), Wierzchowiny, + 1943
142. Miszczak Stanisław (ur. 1905), Siennica Różana, areszt. 10.05.1943, + 20.05.1943, Żulin, gm. Rejowiec
143. Młynarczyk Jan (ur. 1909), Siennica Różana, ppor. rez., + 1940, Katyń
144. Mochniej Antoni (ur. 1905), Maciejów, + 20.07.1944, Maciejów
145. Mochniej Kazimierz, Wola Siennicka, + 1942, KL Dębica-Pustków
146. Mochniej Piotr (lat 22), Wola Siennica, zabrany jako furman, + 1942, na Wileńszczyźnie
147. Montelmach Wikra/Wuhra, + lipiec 1942, Zagroda
148. Morawiecki Edward (ur. 1926), s. Karoliny, + 27.11.1942, Czarnoziem (Stójło)
149. Morawiecka Janina z d. Frańczak (ur. 1923), ż. Tadeusza, + 27.11.1942, Czarnoziem

150. Morawiecka Karolina (lat 47), + 27.11.1942 Czarnoziem
151. Morawiecki Tadeusz (ur. 1924), s. Karoliny, + 27.11.1942, Czarnoziem
152. Morawiecka Maria (dziecko 3 mies.), c. Wacława, + 27.11.1942, Czarnoziem
153. Mróz Franciszek (ur. 8.09.1904), Siennica Różana, areszt. 31.08.1942, + 1944 (?), KL Majdanek
154. Mróz Jan, Siennica Różana, zabrany jako furman + 1942, na Wileńszczyźnie
155. Mróz Janina (ur. 1912), Stójło?, + wrzesień 1942, Siennica Różana
156. Mróz Karol (ur. 1890), Stójło?, + wrzesień 1942, Siennica Różana
157. Mróz Wiktoria Tekla (ur. 1897,1894?), Stójło, + 4.11.1942, Stójło
158. Muda Józef (ur. 27.10.1925), Maciejów, żołnierz AK, + 1944, obóz niemiecki
159. Nowicki Władysław (ur. 18.05.1907), Siennica Różana, areszt. 31.08.1942, + KL Majdanek
160. Ogrodniczuk Grzegorz (ur. 1908), Żdżanne, +3.05.1942, + 27.06.1942, Żdżanne
161. Ogrodniczuk Franciszek (ur. 1921), Żdżanne, + Auschwitz (1944), + KL Oświęcim
162. Oleszczuk Jan (ur. 1921), Żdżanne, 11.1942 deportowany jako robotnik, + 1944
163. Orłowski Stanisław (ur. 1904), Żdżanne, + 3.05.1942 lub 27.06.1942, Żdżanne
164. Orzechowski Józef (ur. 1913), Siennica Królewska Mała, + 16.04.1942, Siennica Królewska Mała
165. Orzechowski Władysław (ur. 1903), Siennica Mała, areszt. 08.1941, + obóz Ravensbrück
166. Ostański Antoni (ur. 1893), Siennica Królewska, ppor. rez. PP, + 1940, ZSRR Katyń
167. Pająk Marian (ur. 31.10.1895), Kopki, st. post. w Siennicy Królewskiej Dużej, + 1940, Kalinin (Twer)
168. Pacholczuk Władysław, Zagroda, + 19.06.1942, Zagroda
169. Pacholczuk Antoni (ur. 1910), Zagroda, + 25.08.1942, Zagroda
170. Palczewski Bronisław (ur. 1903), + 25.08.1942, ślusarz, Zagroda
171. Palonka Piotr (ur. 1896), Siennica Królewska Mała, poseł na sejm, + 3.10.1942, Siennica Królewska Mała
172. Pasik (…), młoda kobieta, Wierzchowiny, + 1944
173. Pasik (…), mężczyzna, Wierzchowiny, + 1944
174. Patyra Franciszek (ur. 3.12.1896), Siennica Nadolna, adwokat, + 24.02.1942, KL Auschwitz
175. Piekaruś Jan (ur. 1894), Stójło, + 3.10.42, Stójło
176. Pilipczuk Antoni (ur. 1.04.1909), Wierzchowiny, + KL Majdanek, (USC + 1943)
177. Pilipczuk Michał (ur. 1898), Wierzchowiny, + KL Majdanek (nr 13918.0) + (USC + 1943)
178. Pilipczuk Piotr (ur. 6.02.1927), Wierzchowiny, + KL Majdanek, (USC + 1943)
179. Pilipczuk Stefan (ur. 1.04.1925), Wierzchowiny, + KL Majdanek, (USC + 1943)
180. Piotrowski Andrzej (ur. 17.08.1922), Siennica Różana, ślusarz, + 14.01.1943, KL Auschwitz
181. Pluszyński Bronisław (?), + Żdżanne
182. Płachecki Czesław (ur. 22.03.1920), Baraki, + 9.11.1942, KL Majdanek
183. Płachecki Piotr (?), + Baraki
184. Podczaski Mieczysław (ur. 1901), Siennica Różana, por. int. rez., + 1940, Charków
185. Proskura Franciszek (ur. 17.08.1887), Siennica Różana, stolarz, areszt. 30.07.1941, + KL Auschwitz
186. Proskura Józef (ur. 1900), Siennica Różana, + 20.05.43, Żulin lub Hruszów, gm. Rejowiec
187. Proskura Kazimierz (ur. 1921), + 26.07.1942, Siennica Królewska Duża, (rozstrzelany z Chodun Kazimierz)
188. Proskura Michał (ur. 1918), Kozieniec, areszt. czerwiec 1942, + 1942, KL Majdanek
189. Proskura Tomasz (ur. 1891), Czarnoziem, areszt. 14.11.1942, + 17.11.42, Borek k. Krasnegostawu
190. Prus Stanisław Maximilian (ur. 18.02.1905, Siennica Różana), mjr, + 1.01.1945, Lublin
191. Romaniuk Semono (ur. 5.05.1896), Wierzchowiny, areszt. 31.08.42, + KL Majdanek
192. Rybczyński Tadeusz (ur. 1919), Wola Siennicka, pilot dyw. 308 RAF, + 1945, Wielka Brytania
193. Sadlak Paweł (ur. 1909), Krupe, s. Franciszka i Marianny z Turowskich, + 1940, Charków
194. Saj Anastazja (ur. 1909), + 20.09.1943, Krupe
195. Sobieszczuk Czesław, Siennica Królewska Mała, + 1944/45 (?)
196. Sobieszczuk Jan (ur. 28.06.1906), Siennica Królewska Mała, ppor. art., + 1940, Charków
197. Soczyńska Bronisława (ur. 1908), Siennica Różana, + 8.05.1942, Siennica Różana

198. Soczyński Józef (ur. 1901), + 25.08.1942, Zagroda
199. Stefańczyk Jan Antoni (ur. 16.06.1910), Siennica Królewska Mała, + 1944, Katyń
200. Stefańczyk Stanisław, Siennica Królewska Duża
201. Stelmach Jan (ur. 1894), Żdżanne, +3.05.1942 (27.06.42), Żdżanne
202. Stelmach Łukasz (ur. 1906), Żdżanne, areszt. czerwiec 1942, + 1942, KL Dębica
203. Suseł Józef (lat ok. 50), Bańkowszczyzna, + 12.11.1942
204. Szaron Stanisław, Baraki, łapanka, + 2.12.1942, KL Dębica
205. Szewczyk Piotr, Tarnogóra, + 20.09.1939, Baraki
206. Szuryga (…), kobieta z Małochwieja, + 1942 Siennica Królewska Mała
207. Szyja Jan, (pochodz. żydowskiego), + 10.1942, KL Dębica-Pustków
208. Szymański (…), Warszawa?, + 1942 Siennica Królewska, Brykowiec?
209. Ślepecki Franciszek (ur. 1911), Siennica Królewska Mała, + 16.04.1942
210. Terebus Piotr, Wołkowyje (obecnie Wilków), + 13.07.1942, plebania Siennica Różana
211. Tokarz Marcin (ur. 1908), Wola Siennicka, + wrzesień 1942, Wola Siennicka
212. Tokarz Stanisław (ur. 1912), Wola Siennicka, + sierpień 1942
213. Tracichleb Antoni (ur. 12.05.1911), Krupe, urzędnik, + 17.01.1943, KL Auschwitz
214. Tryksza Władysław, s. Jana, + 20.09.1939, Wola Siennicka
215. Tywoniuk Jan, Zagroda, + obóz w Niemczech
216. Tywoniuk Piotr, Żdżanne, + 1942, więzienie w Chełmie
217. Waligóra Józef (ur. 1908), Siennica Królewska Mała, areszt. 16.04.1942, + 16.06.1943
218. Waśkiewicz Paweł (ur. 1920), + 22.09.1942, Wincentów
219. Watson Tomasz (ur. 18.07.1901, Husynne), Boruń, por. dow. rejonu ZWZ i AK, + 8.09.1942, KL Auschwitz
220. Wawryn Maria, Wierzchowiny, + 3.07.1942, Wierzchowiny
221. Wepa Jan (ur. 1915), Zagroda, + 25.08.1942, Zagroda
222. Wierzchoś Emilia (ur. 1908), Żdżanne, + 4.11.1942 (1943?), Żdżanne
223. Wierzchoś Jan, Zagroda, + 1943, KL Dębica
224. Wierzchoś Józef (ur. 1910), Wola Siennicka, areszt. 12.09.42, + KL Majdanek
225. Wierzchoś Józef (ur. 5.10.1908), Żdżanne, areszt. 31.08.42, + KL Majdanek
226. Wierzchoś Michał (ur. 1912), Żdżanne, + 1943, KL Dębica
227. Wierzchoś Wacław (ur. 1911), Wierzchowiny, + lipiec 1943, Wierzchowiny
228. Wilk Sergiej, Wierzchowiny, + 1942, Wierzchowiny
229. Wiórko Stanisław (ur. 1919), Krynica, + 2.06.1943, Krynica
230. Wolski Józef (ur. 1900), Siennica Królewska Duża, + 12.08.1942, Siennica Różana
231. Zadrąg Stanisław (ur. 11.01.1898), Baraki, wójt gm. Siennica Różana, + 20.09.1939, Baraki
232. Zając Kazimierz, Siennica Różana, s. Tomasza, + 7.05.1942, Siennica Królewska Duża
233. Zakrzewska Agata, Siennica Królewska Duża, + jesień 1942, Siennica Królewska Duża
234. Zakrzewski Antoni (ur. 1898), Siennica Królewska Duża (Browarówka), + 12.08.1942
235. Zakrzewska Katarzyna (ur. 1882), Siennica Królewska Duża, + 12.08.1942
236. Zawadzki Czesław, Siennica Królewska Mała, + na froncie
237. Zaprawa (mąż), Depułtycze, + rozstrzelanie 1942, Wierzchowiny
238. Zaprawa (żona), Depułtycze, + rozstrzelanie, Wierzchowiny
239. Zaprawa (dziecko), Depułtycze, + rozstrzelanie, Wierzchowiny
240. Zaprawa (dziecko), Depułtycze, + rozstrzelanie, Wierzchowiny
241. Zelman Hela, + lipiec 1942, Krupe (6-osobowa rodzina żydowska)
242. Zelman Mojsze, + lipiec 1942, Krupe
243. Zelman (…), + lipiec 1942, Krupe
244. Zelman (…), + lipiec 1942, Krupe
245. Zelman (…), + lipiec 1942, Krupe
246. Zelman (…), + lipiec 1942, Krupe
247. Żebrowski Stanisław (ur. 1901), Siennica Królewska Mała, + 16.04.1942 lub 16.06.43, Siennica Królewska Mała
248. Żołnierz NN, + 17-19.09.1939, wskutek ran, Kol. Wola Siennicka
249. Żołnierz NN, + Żdżanne, podejrzany o dezercję
250. Żołnierz NN, + wrzesień 1939, Wierzchowiny, mogiła w lesie

251. Żołnierz NN, + wrzesień 1939, Wierzchowiny, mogiła w lesie
252. NN (kobieta), żebraczka, + jesień 1942, Siennica Królewska Duża
253. NN (kobieta poch. żydowskiego), + 1942, Siennica Różana, przyszła po przepustkę
254. NN (mężczyzna poch. polskiego), + 14.08.1943, Krupe (żandarmi z Zamościa)
255. NN (mężczyzna poch. polskiego), + 14.08.1943, Krupe (ciężko raniony)
256. NN (mężczyzna poch. polskiego), + 24.06.1943, Wierzchowiny
257. NN (mężczyzna poch. żydowskiego), + 24.06.1943, Wierzchowiny

258-267. NN (osoby pochodzenia żydowskiego), + 1942, Zagroda – (10 NN spośród 17 rozstrzelanych)

268-300. NN (pozostałe 33 osoby pochodzenia żydowskiego stracono w izbickim getcie).

Z wyroku podziemia, m.in.:

301. Hetmański Ryszard (lat 38), Siennica Nadolna
302. Kramer Jerzy, Siennica Nadolna, + 1943, Rybczewice
303. Ostrowski (…), Ukrainiec, pracownik urzędu
304. Wepa Józef, + młyn Kasjan.
305. Żołnierz Iwan (…), + pochowany w Woli Siennickiej

W dawnych dokumentach można natknąć się również na wzmianki o wymordowaniu całych rodzin: Proskurów z Kol. Czarnoziem, Karpiów z Kol. Toruń, Majewskich z Niedziałowic, Stachniuków z Wierzchowin (10 osób) oraz m.in. 11 osób ze Żdżannego w roku 1942. Lista ofiar wojny wydłuża się o śmierć umyślnie zarażonych tyfusem, jak m.in.: Dudzik, Klim, Mielniczuk, Tacikowski ze Żdżannego.

Trudno powiedzieć, czy kobieta o nazwisku Szuryga pochodząca z Małochwieja nie jest osobą wymienioną w punkcie 252. Nie wiadomo, czy wśród bezimiennych wyznania mojżeszowego (pp. 258-300) znajduje się małżeństwo Hoffmanów (handel drewnem) z synem o imieniu Motl oraz córkami o imionach m.in. Ester i Frida. Nie wiadomo, czy ujęta jest również rodzina sklepikarza Szulima i Dworki Boimów z córką i synem, których imion nikt nie pamięta.

Listę opracował ówczesny dyrektor Centrum Kultury w Siennicy Różanej Andrzej David Misiura.

Powyższy wykaz nie obejmuje ofiar masakry wierzchowińskiej, która wydarzyła się 6 czerwca 1945 roku. Co ciekawe, w tamtym przypadku sporządzono listę poległych 196 osób pochodzenia ukraińskiego. Na niniejszą listę musieliśmy czekać przeszło 80 lat.

Źródła:

„Rejestr miejsc i faktów zbrodni popełnionych przez okupantów hitlerowskich na ziemiach polskich w latach 1939-1945, województwo chełmskie", Warszawa 1986 – broszura IPN.

K. Stołecki, „Krasnystaw. Rys Historyczny".

Dane z księgi meldunkowej USC w Siennicy Różanej (dotyczące rodziny Pilipczuków).

Zeznania świadków zbrodni wojennych na terenie gm. Siennica Różana sporządzone w latach 1946/47 przez IPN.

Karty informacyjne IPN Lu 501/32.

Dane z akt niemieckich obozów koncentracyjnych.

Kronika Szkoły Podstawowej w Siennicy Różanej.

„Ziarno" – Czasopismo społeczno-kulturalne wydawane przez Centrum Kultury w Siennicy Różanej.

Lista (116 osób) sporządzona w latach siedemdziesiątych XX wieku przez Jana Choduna z Siennicy Królewskiej Dużej i Władysława Mazurka ze Stójła.

Informacje: Władysław Sobieszczuk (1933-2021) – Siennica Królewska Duża, Wiesław Zadrąg – Rudka, Marian Mróz – Siennica Różana, prof. Edward Wierzchoś – Kraków, Elżbieta Kmieć – Izbica, Maria Jeleń, Halina Smerdel – Siennica Różana, Maria Chodun, dr Leszek Janeczek – Krasnystaw i inni.

Mirosław Iwańczyk

KL Auschwitz

Osaczeni drutem pod napięciem,
stłoczeni w barakach jak zwierzęta,
zredukowani do numerów,
stoją na apelu w mroźną noc.
Wygłodzeni,
wykańczani niewolniczą pracą.
Ich twarze zapadnięte w ciszę,
celebrują w smutku
własny strach.
Każda komórka w trzewiach
śpiewa hymn z Auschwitz,
apogeum bólu
krzyczy trzustką w gardle.
Proces rozpadu DNA
przechodzi fazy zagłady,
głód rośnie w wątrobie.
Rozpacz w mózgu szaleje.
Ciała nabrzmiałe żylakami męki
przed wniebowstąpieniem,
wirują w tangu ostatecznym.
SS-mani pałkami dobijają
tych co sił nie mają.
Wielogodzinne apele
i codzienna selekcja
i łaźnia z cyklonem B.
Krematoria produkują
popiół z ciał
Jakiś więzień
próbuje się wyrwać
z objęć męki.
Seria z automatu
ścina go z nóg.
Zwyrodniali Niemcy
jak demony śmierci
każą więźniom tańczyć
dance macabre.
Kręcą się ludzkie masy
w straceńczym korowodzie.
Jak żywe trupy,
jak ofiarne baranki
kroczą z rezygnacją
na plac kaźni.
Więzienna orkiestra
gra kwartet Schuberta.
I nagle w tym piekle
heros polski się zjawia,
najdzielniejszy z dzielnych,

Poezja – Mirosław Iwańczyk

rotmistrz Witold Pilecki.
Dał się Niemcom złapać,
by Żydom
w Auschwitz pomagać.
Konspiruje i więźniów
swą odwagą wspiera,
zrozpaczonym
w serce nadzieję wlewa.
Rozwija w mózgu logikę działania
i stawia sobie pytania,
jak zniszczyć machinę zła.
Każdego dnia
wpisuje w pamięć niemieckie zbrodnie.
Tak raport tworzy i w myślach ukrywa
niebawem ucieka z obozu.
Raport do Anglii wysyła
o kaźni milionów istnień,
by wstrząsnąć sumienia,
by prawdą powstrzymać przemysł śmierci.

Powstanie w warszawskim getcie

Z rozpaczy narodził się
bunt umęczonych
synów Dawida, uzbroił ich
w bohaterstwo ducha i ciała.
I wyruszyli na bitwę
z germańskim oprawcą,
jak Machabeusze.
Gniew wzniósł ich
na szczyt męstwa.
W piekle zbrodni Nibelungów,
w cieniu śmierci, w dolinie łez,
zachowali człowieczeństwo.
Wyszli naprzeciw złu,
uzbrojonemu po zęby.
I zapłonęło warszawskie getto,
niczym Masada, walką
o godność, o śmierć na własnych
warunkach.
Mordechaj Anielewicz, jak Eleazar
w szale męstwa, poprowadził
synów Izraela do boju.
Pośród płonących ulic:
Zamenhofa. Miłej, Gęsiej,
zmagali się z teutońską dywizją
nie czując trwogi.
Ich niewyobrażalna odwaga
zdumiewała nazistów.

Marek Edelman niczym Bar-Kochba,
siał spustoszenie wśród wrogów.
Icchak Cukierman skąpany w ogniu,
niby bicz Boży gromił SS-manów.
Paweł Frankel, jak Juda Makabi
dał dłonią znak i rzucili się wszyscy
na rzesze Niemców wśród kul gradu.
Czerpali siłę z mocy żarliwych Zelotów,
z ich bohaterstwa.
Ginęli z honorem za wolność,
za pamięć o germańskim bestialstwie,
co zniewoliło ludzkość.

Sprawiedliwi wśród narodów świata

Ideolodzy barbarzyńskiej etyki,
Nibelungowie teutońskich zbrodni,
rozpoczęli zabawę
w krwawe igrzyska,
w zagładę ludzi
spod gwiazdy Dawida.
Otoczyli ich kołem, osaczyli
i zamknęli w getcie.
Poddali eksploracji zła,
pozbawili chleba,
pozbawili ludzkich praw.
Bezbronni pełzają
z głodu po ulicach,
przemienionych w ludzką rzeźnię,
przeczuwają całopalną hekatombę.
Pałki esesmanów,
rozbijają ich amfory ciał.
Nie ma wytchnienia,
nie ma miłosierdzia,
na dziecięcych twarzach
kulminuje strach.
Wtem zjawia się ona,
heroiczna Polka
Irena Sendlerowa,
odważnie patrzy w oczy śmierci.
Jak piastunka, jak Maryja
tuli przerażone dzieci,
potajemnie wykrada
z niemieckiego piekła,
tysiące ratuje.
Jan Karski jej pomaga,
patrzy ze łzami
na żydowski tragizm,
rejestruje raport zbrodni

Poezja – Mirosław Iwańczyk

w swej pamięci.
Dociera do Ameryki,
objawia światu,
niemiecki tygiel śmierci.

Lew Lechistanu
(Jan III Sobieski)

W kresowym zamku, o wczesnym poranku,
podczas grzmotów i gradu
narodził się Lew Lechistanu,
przyszły pogromca islamu,
elekcyjny król Polski,
mąż świętej cnoty,
obrońca chrześcijańskiej Europy.
Wychowany w patriotycznej postawie,
w pradziada Żółkiewskiego sławie,
pod Beresteczkiem poraniony,
kozackim berdyszem w pierś ugodzony,
przeszedł krwawy chrzest bojowy.
Dzielnie walczył ze Szwedami pod Warszawą,
nagrodzony za męstwo hetmańską buławą.
W bitwie pod Podhajcami
starł się z Kozakami,
wspieranymi tatarskimi ordami.
Znacznie liczniejsze były oddziały wroga,
lecz plan bitwy lepszy był polskiego wodza.
Hetman rozstawił swe wojsko
w trzech grupach tak umiejętnie,
że okrążył przeciwnika i zniósł go doszczętnie.
Wkrótce Kozacy znów się sprzymierzyli,
z Tatarami krymskimi, na Podole uderzyli.
Sobieski komunikiem jazdy szybko ruszył,
trzy chorągwie do walki w pędzie rzucił.
Wbił się klinem w czambuł wrogi,
wyciął go co do nogi.
Lecz kolejne czambuły się pojawiły,
ziemie kresowe gnębiły,
ludzi brały w jasyry.
Sobieski ledwie zebrał trzy tysiące jazdy,
wobec dwudziestotysięcznej armii.
W czasie walk ucieczki pozorował,
w jarach i wąwozach swe oddziały chował.
Potem szyk formował, z nagła atakował,
klęski Tatarom w bitwach gotował.
Tym sposobem hetman ordyńców pobił,
ich czambuły w puch rozgromił.
Wtem na kraj potęga turecka runęła.
Podole z Kamieńcem w boju zagarnęła.
Oddziały tureckie twierdzę Chocim zajęły,

polskie chorągwie w szyku bojowym stanęły.
Pułki piechoty na wały się wdarły,
przygotowały grunt pod atak jazdy.
Sobieski z dragonami ruszył z nagła
za nim husaria do obozu wpadła.
Turcy przez jazdę pikami spychani,
tłumami ku Dniestrowi uciekali.
Wraz z końmi zwalili się w jary,
w dół spadając karki połamali.
Spahisi w rozpaczy walkę ostatnią podjęli,
jagatanami dragonów okrutnie cięli,
przez husarię kopiami zostali zmiażdżeni.
Rotmistrz Ruszczyc kindżał Turka odbił szablą
i koncerzem przebił mu gardło.
Janczarowie jeszcze raz szyk sformowali,
kłując berdyszami ku mostowi się cofali.
Nagle most pod ich ciężarem się załamał,
tak hetman potęgę osmańską złamał.
Sobieskiego nazwano ojczyzny zbawcą,
wkrótce stał się Rzeczypospolitej władcą.
Ledwie na króla Polski został wybrany,
znów zastępy Turków zaatakowały.
Armia Ibrahima Szyszmana,
przez Tatarów krymskich wspierana,
w kierunku Lwowa maszerowała.
Sobieski wywarł presję na przeciwniku,
osaczył go na wąskiej równinie styku.
Nie pozwolił mu rozwinąć bojowego szyku.
Wtem nadjechała jazda krymskiego chana,
muszkietów celna kanonada,
jego ordę powstrzymała.
Jeden z ordyńców swój masłak wyjął,
nim ostrzem błysnął od kuli zginął.
Ottomańska armia pod Lwów nie dotarła.
Turcy na małej przestrzeni stłoczeni,
przez dragonów oskrzydleni, przerażeni się cofnęli.
Król szarżę husarii poprowadził wtedy.
Tak Porta turecka została pokonana
przez szczupły oddział króla, byłego hetmana.
Ledwie rok mija, armia paszy Ibrahima
przez Dniestr się przeprawiła, na Pokucie uderzyła.
Znów Sobieski ojczyzny musiał bronić,
chrześcijaństwo przed islamem chronić.
W Żórawnie odnowił fortyfikacje,
wzniósł bastiony, reduty i szańce,
by powstrzymać Turków groźne akcje.
Ze swym wojskiem zamknął się w obozie,
z dział, muszkietów ział na wrogów ogień.
Celne strzały polskiej artylerii,
pustoszyły szeregi niewiernych.

Poezja – Mirosław Iwańczyk

Teraz swe chorągwie Sobieski
prowadził na zbrojne wycieczki.
Poza szańce je wystawiał,
z pohańcami się rozprawiał.
Sipah szablą go zaatakował,
król jego cięcie zgrabnie sparował,
nagły sztych wykonał,
śmierć pałaszem mu zgotował.
Polska jazda wsparta przez armaty,
zadawała Turkom duże straty.
Wkrótce Turcy spod Żórawna odstąpili
i za Dniestr się zawrócili.
Sobieski zwyciężył dzięki strategii,
koordynacji jazdy i artylerii.
Gdy armia turecka Wiedeń oblegała,
trochę przybladła Sobieskiego sława
Austriacy z trudem szturmy Turków odpierali,
od polskiego króla pomocy oczekiwali.
Więc wyruszył na czele husarii,
na odsiecz cesarskiej armii.
Posiłki niemieckie również przybyły,
siły sprzymierzonych się zjednoczyły.
W trakcie wojennej narady
król wodzem został obrany.
Podczas rozmyślań doszedł do wniosku Sobieski,
że sukces zapewni szturm przez Las Wiedeński.
Żeby można było tego dokonać,
należało wzgórza wiedeńskie opanować.
Przemarsz wojska przez las był bardzo uciążliwy,
polscy piechurzy armaty rękami przenosili.
Przeciągnęli przez leśne pagórki wszystkie działa,
za nimi konnica Sieniawskiego się wspinała.
Na rozkaz króla sprzymierzeni natarli,
ze wzgórz Turków szybko szturmem wyparli.
Szczyt Kahlenberg król artylerią obsadził,
stamtąd silnym ogniem w przeciwnika raził.
Piechota polska drogę jeździe torowała,
rozproszonym szykiem falangę wroga złamała.
Dragonia wyszła na linię wzgórz,
szarżą rozbiła janczarów pułk.
Król podjął decyzję frontalnego uderzenia,
osmańskiej armii rozgromienia.
Na jego rozkaz jazda sprzymierzonych
stanęła na pozycjach wyjściowych,
do natarcia już gotowych.
Sobieski z buławą na czele kawalerii,
poprowadził husarię na bój śmiertelny.
Ze wzgórz ruszyła ściana skrzydlatej jazdy,
z galopu w cwał przeszła w szaleńczej szarży.
Dwadzieścia tysięcy sprzymierzonych,

zmiotło szyki Turków przerażonych.
Kruszonych kopii trzask,
przeszedł w bitewny wrzask,
brzęk szabel, jagatanów i koncerzy,
mieszał się z krzykiem walczących rycerzy.
Piechurzy z samopałów celnie wystrzelili,
rajtarzy rapierami w tłum Turków się wbili.
Kirasjer z bandoletu wypalił,
murza z konia gwałtownie się zwalił.
Derwisz spisą dragona ugodził,
przed pałaszem kałkanem się zasłonił
Sejmen cisnął dzirytem w Rajtara,
husarz przebił go piką zaraz.
Sipah jagatanem ze wszystkich sił ciął,
aż dragon koncerzem ostrym go pchnął.
Polska pancerna drużyna
dotarła do obozu wezyra.
Gwardia Kary Mustafy dzielnie się broniła,
lecz przed gradem kartaczy się rozproszyła
Husejn pasza poderwał swych sejmenów do walki,
chorągiew Jabłonowskiego zgniotła ich w kontrakcji.
Wezyr uciekając, ruszył konno przed siebie,
wraz z nim w popłochu jego pobici żołnierze.
Potęga osmańska została w proch starta,
armia ottomańska spod Wiednia wyparta.
Wielkie łupy z obozu zwyciężonych,
dostały się w ręce wojsk sprzymierzonych.
Król wszedł do namiotu wielkiego wezyra,
chwilę w nim rozmyślał, trochę wypoczywał.
Mieszkańcy Wiednia jak zbawcę go powitali,
generałowie przybyli z gratulacjami.
Jego geniusz wojenny bardzo doceniali,
dziękując, byli mu wszyscy radzi,
że do zwycięstwa ich doprowadził.
Życie upływało mu na koniu,
pod namiotem, na bitewnym polu,
miał szacunek nawet u wrogów.
Znakomity wojownik, chrześcijaństwa orędownik,
zawsze gromił islamskiego wroga,
przed bitwami modlił się do Boga.
Bohaterską legendę po sobie zostawił,
oręż polski na cały świat rozsławił.
Wizjoner neojagielloński,
obrońca chrześcijańskiej Polski.
Wielki mąż stanu, Lew Lechistanu.

Mirosław Leszek Iwańczyk (1959), krasnostawianin, nauczyciel polonista, poeta i pisarz, autor kilkunastu tomików poetyckich, członek Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Elżbieta Kmieć

Zaśpiewaj nam, Aniu

Po II wojnie światowej pierwsze wakacyjne kolonie letnie w Polsce zorganizowano już w roku 1946. Uczestniczyło w nich w całym kraju prawie pół miliona dzieci. Korzystali z nich mali mieszkańcy miast i miasteczek, a także wsi. Miały one na celu głównie poprawę stanu zdrowia młodego pokolenia, kondycji fizycznej i psychicznej po przeżyciach z czasu niemieckiej okupacji, lub po prostu dożywienia młodego pokolenia w trudnym powojennym okresie. Środki żywnościowe na ten cel pochodziły głównie z darów UNRRA. W powiecie krasnostawskim taki tygodniowy lub dłuższy turnus kolonijny dla dzieci wiejskich odbył się na początku lata 1946 roku, między innymi w Kraśniczynie. Na siedzibę wyznaczono budynek szkoły. W jednej z sal, najprawdopodobniej na przełomie czerwca i lipca, zgromadzono ponad dwadzieścia osób z bliższych i dalszych wsi.

W tym samym czasie działa się wielka historia. Po konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku i ustaleniu ostatecznych granic Polski, rozpoczął się dalszy exodus ludności polskiej ze wschodu na zachód. Od marca 1946 roku, ponad 220 tysięcy osób wjechało do Polski z terenu Związku Radzieckiego w ramach repatriacji. Przesiedlenia setek tysięcy Polaków ze Wschodu trwały już na dobre od grudnia 1944 roku. Poprzednia akcja obejmowała przymusowym wysiedleniem mieszkańców terenów znajdujących się w granicach państwa polskiego przed wojną. Pociągi w głąb kraju, zarówno z przesiedleńcami, jak i repatriantami z terenów, które po wojnie przypadły republice litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej, a także z głębi ZSRR kierowane były równoleżnikowo. Początkowo, z uwagi na działania wojenne na zachód od Wisły, przesiedleńcy zatrzymywali się na dłużej lub krócej w kilku powiatach województwa lubelskiego. Także w powiecie krasnostawskim, między innymi w Kraśniczynie. W jednym z transportów, jakie od kwietnia do sierpnia 1946 roku licznie przekraczały granicę, prawdopodobnie na początku maja do Polski przyjechała Anna German wraz ze swoją matką i babcią.

Jakiś czas temu, w związku z emisją biograficznego serialu o Annie German, na pewien czas zrobiło się znowu o niej głośno. Przypominano piosenki i jej niezwykły głos. A także życiorys pełen przeżyć traumatycznych, tajemniczych wątków i białych plam. We wszystkich dostępnych źródłach biograficznych, pierwsza wzmianka na temat pobytu jej rodziny w naszym kraju dotyczy krótkiego postoju w Szczecinie. Następnie, po 10 lipca rodzina przeniosła się do Nowej Rudy, gdzie mieszkała kolejne trzy lata, by ostatecznie w 1949 roku przenieść się do Wrocławia. O Lubelszczyźnie, a tym bardziej o Kraśniczynie, nie ma ani słowa. Od najmłodszych lat, kiedy w radiu lub w telewizji nadawano piosenki Anny German, słyszałam od mamy, że w dzieciństwie na koloniach letnich w Kraśniczynie miała okazję ją poznać, a nawet dostała od niej na pamiątkę obrazek. Początkowo nie widziałam w tym nic szczególnego. Z czasem, kiedy zrozumiałam, jak wybitną pieśniarką była jej koleżanka z wakacji, chciałam wiedzieć więcej. A mama zawsze chętnie opowiadała. Przez kilkadziesiąt lat, niezmiennie tę samą historię. Oto ona:

W czerwcu 1946 roku skończyłam 10 lat i zdałam do czwartej klasy. Już przed wakacjami cieszyłyśmy się obie z Wiesią, moją cioteczną siostrą, z wyjazdu do Kraśniczyna na kolonie. To miał być mój pierwszy w życiu pobyt poza domem, bez rodziców. W nieznane miejsce na szczęście jechałyśmy we dwie, więc się nie bałam. Z domu w Piaskach Szlacheckich do celu, najkrótszą drogą było około 25 km. Odwoził nas furmanką mój tato i nasze mamy, bo tato Wiesi nie wrócił po wojnie do Polski. Na wóz rodzice załadowali, oprócz ubrań i potrzebnych drobiazgów, dwa komplety pościeli i dwa materace. Jechałyśmy w dobrych nastrojach, tym bardziej, że byli z nami najbliżsi. No i ciekawe byłyśmy, co nas na tych koloniach czeka. Na miejscu okazało się, że spać będziemy na podłodze w dużej sali szkolnej, na przywiezionych materacach lub siennikach, zależy co kto miał. Już na początku wyszło, że nie wszystkie dzieci przyjechały ze swoją pościelą. Opiekunki sprawę rozwiązały w ten prosty sposób, że kto miał więcej miejsca do spania, musiał się nim podzielić z dzieckiem, które swojego materaca nie miało. Nie przypominam sobie żadnych chłopaków, więc chyba ten turnus był tylko dla dziewczynek. Były w różnym wieku – i zupełnie małe dzieci, i starsze dziewczyny. Jak się wkrótce okazało, niektóre z nich miały wszy. I po jakimś czasie, przez to wspólne spanie i zabawy wszystkie byłyśmy zawszone. A że obie z Wiesią miałyśmy warkocze, to oczywiście przywiozłyśmy we włosach te wszy do naszych domów. Tu już nasze mamy zabrały się do roboty i sobie z problemem jakoś poradziły.

Atrakcje? Te kolonie, były tak krótko po wojnie i nie miały chyba żadnych atrakcji. Bo jedynie pamiętam, że kierownik tej szkoły, w której byłyśmy zakwaterowane – i który chyba też nadzorował te kolonie – zatrudniał kilka dziewczynek do pomocy w swoim gospodarstwie. Akurat mnie i Wiesię na przykład wybrał sobie do drylowania owoców, chyba wiśni. Pamiętam, że traktowałam to jako wyróżnienie, bo nie każde z dzieci było proszone do pomocy. Najbardziej z pobytu na tych koloniach zapamiętałam Annę German. Oczywiście nie mogłam mieć pojęcia, kim ona jest ani tym bardziej, kim będzie w przyszłości. Poznałyśmy się przez przypadek, bo posadzono nas obok siebie przy stole w stołówce. Kolonie te były zresztą głównie po to zorganizowane, żeby dożywić dzieci dotknięte biedą i różnymi trudnościami czasu wojny. Teraz wiem, że Ania miała wtedy dziesięć lat, tyle samo, co ja. Była jednak sporo wyższa od większości dzieci i ode mnie też. Zapamiętałam ją jako dziewczynkę cichą, trochę zamkniętą w sobie, która nie zadawała się z nikim. Była inna niż wszystkie dzieci, taka... delikatna. Po polsku mówiła według mnie zwyczajnie. Może miała trochę inny akcent, ale jako dziecko nie umiałam tego dostrzec, ani się nad tym nie zastanawiałam. Polubiła mnie bardziej niż inne dzieci. I ja ją także. Ania nie była na koloniach cały czas, tylko przychodziła do stołówki w czasie posiłków. W tej sali, gdzie jadłyśmy nie było stolików, tylko jeden bardzo długi stół, przy którym mieściło się dużo dzieci. Jednego razu była zupa mleczna i Ania nie chciała jej jeść. Mówiła, że takiej zupy nie lubi. Panie kucharki na to zaproponowały:

– Zaśpiewaj nam, Aniu, to przygotujemy ci coś dobrego.

I Ania zaśpiewała. Nie wiem co, ale pamiętam, że zaśpiewała pięknie. Bardzo pięknie. Widocznie kucharki wiedziały, że Ania ma niezwykły

głos i chciały posłuchać jej śpiewu. Któregoś razu, pod koniec mojego pobytu na tym turnusie, a może to był koniec jej pobytu w Kraśniczynie, Ania powiedziała, że chciałaby mi coś dać na pamiątkę naszej znajomości, bo już się może więcej nie spotkamy. I zaprowadziła mnie do domu, w którym mieszkała. Pamiętam, że szłyśmy wąską uliczką w kierunku rzeczki, chyba po północnej stronie głównej ulicy w centrum Kraśniczyna. Idąc, Ania powiedziała mi, że teraz akurat nie ma nikogo w domu, bo mama nie pozwala jej przyprowadzać obcych na kwaterę. Kiedy weszłyśmy do niewielkiego domu, zaczęła szukać po szufladach i szafkach czegoś, co mogłaby mi dać na pamiątkę. Z jednej z szuflad wyjęła mały obrazek, chyba z Matką Boską. Wzięła coś do pisania i u dołu napisała tylko: Anna German. Z wakacji wróciłam zadowolona, że miałam okazję poznać dziewczynkę, która tak pięknie potrafi śpiewać, a do tego mam od niej pamiątkę. Obrazek rzeczywiście długo mi ją przypominał, choć dopiero po latach dotarło do mnie, jak wyjątkową osobę poznałam. I że Anna German właśnie mnie obdarzyła dziecięcą przyjaźnią. Ten obrazek został w moim rodzinnym domu, w którejś ze schowanych na strychu książek lub zeszytów z lat szkolnych. Kiedy już umiałam docenić jego wartość, niestety, nie mogłam go odnaleźć.

W żadnej z książek lub not biograficznych o Annie German nie ma jednego choćby słowa związanego z pobytem jej rodziny w Kraśniczynie. Według informacji, które powtarzają się najczęściej, Anna German z matką Irmą Berner i babcią Anną Martens do Polski przyjechały około 10 maja 1946 roku. W lipcu na krótko zamieszkały w Szczecinie. Jeszcze tego samego miesiąca wyjechały do Nowej Rudy, gdzie mieszkały przez około trzy lata. Następnie, w 1949 roku osiedliły się we Wrocławiu przy ul. Trzebnickiej. Z tym miastem związały się na stałe. W historii najbliższych Anny German do dziś jest trochę białych plam, pomijanych w książkach biograficznych, a także w serialu filmowym. Ciekawy jest choćby wątek losów jej ojczyma, Hermana Gernera, który wcale nie zginął w bitwie pod Lenino, jak podają niektóre źródła. Po wojnie zaś nazywał się Henryk Krzeczkowski. Być może rodzina, w podróży do miejsca, gdzie chciała zatrzymać się dłużej, zaliczyła więcej podobnych, krótkich przystanków, jak ten w Kraśniczynie. Dziś

ustalenie tego jest raczej niemożliwe. Urząd Gminy w Kraśniczynie, do którego zwróciłam się z pytaniem w tej sprawie odpowiedział mi, że nie posiada w zasobach archiwalnych (rejestrach mieszkańców gminy) informacji stwierdzających fakt zamieszkiwania Anny German z matką i babką na terenie gminy Kraśniczyn. Szkoda, bo jakikolwiek dowód potwierdzający opowieść mojej mamy wzbogaciłby historię samego Kraśniczyna i uzupełnił mapę drogi, jaką przebyła Anna German w podróży do Polski. Wiele miast ma w nazwie ulic, rond, placów, a nawet szkoły muzycznej imię i nazwisko tej wyjątkowej pieśniarki, obdarzonej niezwykłym głosem, która zmarła przedwcześnie 25 sierpnia 1982 roku. Kraśniczyn niech ma to wspomnienie o Annie German.

Elżbieta Kmieć

Literatura:

1. T. Osiński, M. Mazur (red.) *Dzieje Lubelszczyzny 1944-1956. Aspekty społeczne, gospodarcze, oświatowe i kulturalne,* IPN, Lublin 2017.
2. M. Pryzwan, *Tańcząca Eurydyka. Anna German we wspomnieniach*, Marginesy 2013.
3. A. German, *Wróć do Sorento?...* 1970.

Elżbieta Kmieć z d. Cimek urodziła się w 1955 r. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie oraz studia prawnicze na UMCS w Lublinie. W 1973 r. zamieszkała w Izbicy, gdzie z mężem Janem pozostaje do dzisiaj. Przez większość życia zawodowego związana była z administracją oświatową w gminie Izbica. W 2016 roku, po prawie 40 latach pracy przeszła na emeryturę. Była radną Rady Powiatu w Krasnymstawie IV i V kadencji. Wolny czas przeznacza na czytanie książek, o których pisze w mediach społecznościowych. Interesuje ją historia i literatura faktu. Jest autorką monografii pt. „Historia szkół w gminie Izbica (Zarys)", która ukazała się w 2012 r. Można powiedzieć, że kontynuuje ojcowskie tradycje literackie poety Edwarda Franciszka Cimka. Podobnie jej córka Katarzyna Maria Garbacz jest autorką szeregu opracowań naukowych jako prof. dr hab. nauk medycznych Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Andrzej Stanisław Adamczuk

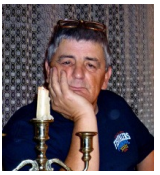

Wakacje
Z cyklu „Mój Jaślików”

Wakacje, czyli świadczenie darmowej pracy przez młodocianych, na rzecz podstawowej komórki społecznej zwanej rodziną, w czasach PRL, w latach 50. ubiegłego wieku i inne jeszcze, wybrane sposoby spędzania wakacyjnego czasu w Moim Jaślikowie.

Zaczynały dojrzewać czereśnie, sezon truskawkowy już był w pełni, słońce wyraźnie dawało znać, że lato się zaczęło. 24 czerwca minister oświaty Wacław Tułodziecki, wygłaszał przez radio mowę okolicznościową, której w „skupieniu” słuchali zebrani uczniowie i nauczyciele. Pani kierowniczka i pozostali z grona nauczycielskiego obdarowani zostali bukietami piwonii z ogródków przydomowych, jeszcze tylko parę wierszyków „ku czci”, rozdanie świadectw o promocji do klasy następnej (prawie wszyscy otrzymywali) – kończył

się rok szkolny i zaczynały wyczekiwane wakacje. Z radosnym wrzaskiem wypadaliśmy hurmą z drzwi szkoły, prosto w wir letnich zajęć „nadobowiązkowych”.

Napisałem, że promocję do następnej klasy otrzymywali prawie wszyscy, ale wtedy w latach 50. i 60. nieprzyznawanie promocji do następnej klasy nie było rzadkością, a ofiara negatywnej selekcji brana była natychmiast na wiejskie jęzory. Dzisiaj młodzi powiedzieliby – robili z niego „bekę”. Kryteria oceny, komu promocja się należy, były przejrzyście i zrozumiale zarysowane, a autonomia szkoły w tym wypadku była bezsporna.

O ministrze W. Tułodzieckim wspomniałem dlatego, ponieważ pełnił on tę funkcję, przez wiele lat i innego ministra oświaty nie miałem okazji poznać, jego nazwisko tak wryło mi się w pamięć, że przez długie lata był dla mnie synonimem ministra oświaty. Co roku jego przemówienie witało nas w szkole we wrześniu i żegnało w czerwcu. Dzisiaj w naszą pamięć próbuje wryć się minister Czarnek, ale jak mawiały stare babki w Jaślikowie – „Kudy tam jemu do Tułodzieckiego”.

Grupa szkolna – koniec roku szkolnego 1959-1960. Zdjęcie zrobione zostało na placu przy Szkole Czerwonej, na drugim planie – kartofle pani kierowniczki, jeszcze dalej zabudowania Gienka Mazurka (jego ojciec był woźnym w naszej szkole). Ciało pedagogiczne w osobach: pani Zdzisława Kędrakowa z lewej, dalej Henia Drozd, Bolek Świrgoń i Irena Dąbska.

Wakacje! Cieszyliśmy się, że już są, ale mieliśmy świadomość tego, że lekko nie będzie, bowiem wszystkie dzieci wiejskie miały obowiązek pomagania w gospodarstwie i wakacje na wsi, to był urlop od obowiązków szkolnych, ale nie okres letniego nicnierobienia. Wakacje – był to czas, w którym, wg mniemania rodziców, nareszcie mogliśmy pomagać w gospodarstwie na pełny „etat", bo obowiązki szkolne już w obowiązkach domowych nie przeszkadzały.

Młody człowiek, który był na tyle dorosły, że chodził do szkoły, nie był pomijany w planowaniu codziennych zajęć w gospodarstwie i nie były to już zajęcia byle jakie. Po nauce pisania, czytania i rachunków w szkole powszechnej, w wakacje „zapisywali" nas na zajęcia praktyczne roku zerowego do „SGGW". Zajęcia były obowiązkowe, czesne za naukę „rektor" odbierał w formie świadczonej pracy. Alternatywnych rozwiązań nie przewidywano.

Nie zawsze, a właściwie nigdy nie podchodziliśmy do tych obowiązków z entuzjazmem i mieliśmy swój ogląd spraw dotyczących „darmowego świadczenia pracy" na rzecz gospodarstwa domowego. „Decydent" miał zdanie zgoła inne, protestami za bardzo się nie przejmował, wprowadzał zasady rządów feudalnych, za nic mające zasady demokracji. Tu i ówdzie próbowano w drodze lokalnego „puczu" zburzyć niesprawiedliwy porządek rzeczy, jednakże środki represji były skuteczne, wszelkie oznaki buntu dławiono w zarodku i natychmiast. Czasami była jakaś namiastka negocjacji, ale były to działania pozorowane, mające na celu złagodzić nieco „totalitarne" rządy. „Zniewoleni" szybko zapominali o wyrządzanej im „krzywdzie", brali się do pracy i jak się tylko dało, to przekuwali ją w twórczą zabawę, czyli wedle zasady – przyjemne z pożytecznym.

Mieliśmy metody na to, aby na swój sposób, pracę uatrakcyjnić, zmienić nieco jej reguły, aby nie była ciężką „katorgą", tylko zajęciem z dużą porcją wszelkiej swawolnej psoty, w dopuszczalnych granicach. O te granice to już dbał „pracodawca", trzymając wodze rozbrykanego towarzystwa, a i bacika czasami używał, by swawole nie zdominowały pracy.

Moje obowiązki domowe zaczęły się gdzieś w wieku 4-5 lat. Pasanie gęsi było pierwszym moim domowym obowiązkiem i nie było to zajęcie godne nawet dla 5-letniego „mężczyzny". Pamiętam, jak czarna rozpacz ogarniała mnie, kiedy gęsi tylko wyszły za furtkę ogrodzenia, zobaczyły lustro wody na Stoku i już po chwili wszystkie były w powietrzu, a ja stałem z bacikiem jak ten durny. Gęsi lądowały na wodzie, mieszały się z innymi gęśmi, donośnym gęganiem witały cały wodny klub, a moje umiejętności pasterskie psu na budę się zdały.

Kiedy gęsi swawoliły w wodzie, przez jakiś czas można było zająć się rozrywką, czyli „grami terenowymi" z innymi opiekunami gęsi, będącymi w podobnej sytuacji – do czasu aż to gęsie tałatajstwo nacieszy się igraszkami w wodzie i zacznie z niej wyłazić. Najważniejszą grą terenową była gra w „klasy" przy użyciu noża. Wystarczyło dwóch zawodników i można było spędzić wiele czasu na tym zajęciu. Gra polegała na „rzucaniu" nożem, kiedy jego ostrze przystawione było do wybranej części ciała – ręka, łokieć, głowa, palec, tak aby po „rzuceniu" nóż wbił się w podłoże, rzut mógł być zaliczony tylko wtedy, kiedy między jego trzonek i podłoże mieściły się dwa palce. Gra miała kilkanaście poziomów, szczegółów nie będę opisywać, w każdym razie absorbowała uwagę graczy, a najwięcej czasu zajmowały spory o „regulamin", czasami gwałtowne.

Kiedy gęsi w końcu powyłaziły z wody i szły poskubać trawkę na łączce koło Stoku, trzeba było pilnować, żeby nie właziły w grzędy do ogrodu Pietry „Starościaczki". Jeżeli pochłonęła nas za bardzo gra w noża lub jakieś inne nie mniej ważne czynności o wiele ważniejsze niż pilnowanie gęsi i nagle dało się słyszeć skrzeczące urąganie oraz głośne wrzaskliwe gęganie przeganianych gęsi, znak to, że Pietra włączyła opcję „ochrona granic" i należało przystąpić do akcji pacyfikacji stada, które akurat wlazło w młodą kapustę.

Trzeba było w tej akcji wykazać dużo gorliwości, żeby nie być posądzonym o celowe wypasanie gęsi w warzywniku Starościaczki. Nie chroniło to wcale od jej urągania, złorzeczenia i gróźb karalnych. Pietra znana była z niewyparzonej gęby i umiała sprawnie z niej korzystać, ale do tego zdążyliśmy się już przyzwyczaić i przejmowaliśmy się tym z dużym umiarem.

Pasienie gęsi, oprócz tego, że było nudne, nie było zajęciem, które przynosiło jakiś prestiż wśród rówieśników, no ale od czegoś trzeba było

Gęsi. Ciotka Agata Majchrowa (mówiono: „Jagatka" albo „Majchrzycha"), siostra mojego ojca, dyscyplinuje swoje gęsi na łączce koło Stoku. W tle jaślikowskie dzieci – ta z prawej to córka Romka Filipczuka, w środku blondynka to Marysia Błaziakówna, pozostałych nie rozpoznaję. Na lewo ogród Pietry Starościaczki, którego trzeba było strzec przed gęśmi. Zdjęcie z roku 1963 lub 1964.

zacząć tę służbę. Dobrze, że zwykle można było spotkać jakiegoś koleżkę będącego w równie nieszczęśliwej sytuacji i rozegrać partię w „noża" albo karcianego durnia. Inaczej byłoby nudno.

Czasami ze starych, połamanych wierzb nad Stokiem, które wiosną krzewiły się gęsto gałęziami i liśćmi, wypuszczaliśmy świece dymne. Do sporządzenia świecy dymnej potrzebna była stara lalka z różowego tworzywa, nadawały się też niektóre szkolne ekierki. Należało tę lalkę lub ekierkę pociąć na drobne kawałki (czasami dawała się połamać), zawinąć w kilka warstw gazety, formując kulę z uchwytem ze skręconego papieru. W gęstwinie liści trzeba było znaleźć miejsce, gdzie można było wcisnąć pakunek, tak żeby się nie poluzował. Gałkę trzeba było podpalić od przodu, jak zapłonęła, płomień należało natychmiast zdmuchnąć i czekać na efekt.

Pakiet zaczynał się wolno palić i rzygać strumieniami gęstego, śmierdzącego dymu, który leniwie wypływał z zarośli. Wkrótce cała zielona kępa stawała w tumanie gęstego dymu, który nie wiedzieć czemu, nie rozpływał się, tylko dobrych parę chwil zalegał w krzaku i nad nim. Szczególnie niesamowite wrażenie wzrokowe odczuć można było w promieniach zachodzącego słońca. Miodzio!

Jeżeli już nie było całkiem co ze sobą zrobić, można było stanąć na brzegu i urządzić zawody w puszczaniu kaczek na wodzie, w polowaniu na kolorowe ważki albo szukać „kaczego mydła", grzebiąc w dnie Stoku.

Było też „dwa miliony" innych pomysłów na zabicie nudy: od gry w karty, przez strzelanie z procy aż do „produkcji" instrumentów z młodej wierzby – fujarek, gwizdków, trąb z łyka czy derkaczy. Nudno nie było nigdy. A przecież można było jeszcze wdepnąć do Józia Sawy do sadu na szczepione renklody, wyborne w smaku.

Pracy w gospodarstwie nie brakowało nigdy. To terminowanie z gęśmi nie trwało długo, wkrótce dostawało się „awans" na stanowisko „pasterza" krów i to było podstawowym codziennym obowiązkiem młodych „mężczyzn" w wieku 6 lat i więcej. Do pasienia krów, kilkuletnich podrostków jeszcze nie zatrudniano, ale wiek 6 lat uznawano

za wystarczająco „dorosły”, aby oswajać się z tym, co było żywe i stało w oborze, no i żeby zacząć sobie radzić w pojedynkę z „bydłem domowym”, w dobrym tego słowa znaczeniu.

Krowa o imieniu „Siwa” była maści stalowosiwej z falowanym włosem, co widać trochę na zdjęciu. Była moją posłuszną „koleżanką”. Uczyła mnie, jak należy postępować z krowami, żeby słuchały. Tutaj ja poprosiłem, żeby słuchała. No, słuchała, chociaż nie była to muzyka dla krowich uszu. Harmonię ojciec mój znalazł na szrocie w Lublinie. Zdjęcie zrobiono prawdopodobnie w roku 1955.

Krowa była najważniejszą personą wśród mieszkańców obory, jej obsługa musiała być codzienna i rzetelna. Krowy chyba wiedziały o swej uprzywilejowanej pozycji w oborze, nader często próbowały to wykorzystywać i nie omijały żadnej okazji, żeby nie wleźć w szkodę. Rolą „pasterza” było wytłumaczyć krowie, że: – „Owszem, jesteś ważna, ale jeżeli będziesz mi robić na złość, to ten zdobny kijaszek, wyląduje na twojej wielkiej krowskiej dupie!”. Wielkiej krzywdy tym kijaszkiem zrobić nie było można, ale z czasem tworzyły się w miarę prawidłowe relacje pasterz-krowa.

Wczesnym latem krowy wyganiane były z obór na pastwiska obsiane głównie koniczyną albo lucerną, czasami końskim zębem lub wyką. Pasienie krów też nie było zajęciem wymarzonym – towarzystwo krów nie było nazbyt twórcze, no chyba, że było to pasienie „zorganizowane” po żniwach, na wielkich ścierniskach pod lasem łopiennickim, za stodołami Wojciecha Sawy, Jana Sawy, Franka Bojarczuka czy innych tam mieszkających i w doborowym, „pasterskim” towarzystwie innych rówieśników. Wtedy tak. Takie pasienie to była jazda! I od takich obowiązków nikt się nie wymigiwał.

Horda rówieśników: Jasiek, Stach i Tadek od Cichoszów, Gienek, Tadek i Januszek (ps. „Siurki”) od Szymaniaków i wielu innych – ogniska, papierochy, machajki, pieczenie kartofli i jabłek, sad u Jana Sawy z wybornymi gruszkami. Pasienie krów było zajęciem nudnym, ale te pasienia „zorganizowane” to były „full wypasy”.

– Co to jest machajka – pytasz? Machajka to rekwizyt pasterzy jaślikowskich, bez którego na późnoletnie pastwisko się nie wychodziło. Machajka to była stara puszka po farbie, z długim uchwytem zrobionym z drutu. Puszka podziurawiona była gęsto 10-calowym gwoździem. Do machajki wkładało się paliwo – suche szyszki, drobno połamane gałęzie z suchych drzew, suche placki krowie (nazywaliśmy to „gówniaki”). Wszystko zatykało się pokrywką i zapalało w ognisku. Kiedy machajka zaczynała się cokolwiek palić, wyciągało się ją z ogniska za druciany uchwyt i kręcąc nią wokół siebie, rozdmuchiwało się żar do czerwoności. Kiedy już można było uznać, że machajka dobrze się pali, kilka energicznych obrotów w pionie i machajka wyrzucona jak z procy leciała ku niebu, sypiąc iskrami i dymem na wieczornym niebie. Było bosko!

A jeżeli kilku „machaczy” rzuciło do góry machajki jednocześnie, nawet krowy przerywały jedzenie i patrzyły zdumione na ten pokaz fajerwerków. Z pokazów nie był za bardzo zadowolony leśniczy. Twierdził, że organizujemy je za blisko lasu, ale kto by tam zwracał uwagę na to, co mówi leśniczy! Poza tym nie lubiliśmy leśniczego, bo nie pozwalał wypasać krów w lesie.

Na pastwisku gromadziło się kilkadziesiąt krów, ale ciasnoty żadnej tam nie było, mając do dyspozycji kilkadziesiąt hektarów świeżego pa-

stwiska – czyli żarcia w bród i żadnych „kłopotów". Krowy natychmiast wdawały się w „uprawianie polityki". Co i raz wybuchały wojny frakcyjne, gdzie co bardziej ambitne jednostki rogami próbowały podporządkować sobie resztę stada. Trzeba było te rokosze zażegnywać w zarodku, żeby do krwawych zajść nie dochodziło.

Wieczorem krowie towarzystwo, ledwie łazło do obory z napasionymi kałdunami. Rodzice witali nas na podwórku przychylnym wzrokiem, patrząc na najedzone krowy. – „No! jakoś tam sobie radzi, może coś z niego będzie" – wydawało się, że tak mówią ich oczy.

Stare to i dziwne dzieje, nie można stwierdzić, że chcielibyśmy, żeby wróciły, może tylko od czasu do czasu i na chwilę, bo nie można już zmoczyć nóg w tamtej rzece, teraz to jest już całkiem inna rzeka. Można tylko przymknąć czasami oczy i usłyszeć ryk krów spędzanych wieczorem z pastwiska, poszczekiwanie psów w zagrodach, czy skrzyp studziennego żurawia. Oczami wyobraźni dostrzec też można na wieczornym niebie, śmigające machajki sypiące iskrami ognia. Nawet nie można już niechcący wleźć w krowskie gówno – nie ma już ich na drodze.

Po wielu latach mieszkania w mieście, znowu mieszkam na wsi. Lekarz zapisał mi na „receptę" 5 km marszu dziennie, więc chodzę po tej swojej wsi piechotą. Maszeruję po wsi, która nie wydaje żadnych wiejskich odgłosów, nie słychać tam porykiwania krów, piania koguta, czy rżenia konia, nie słychać brzęku wiader ani głosu nawołującego kury, czasami czyrknie i bekliwe zaskrzeczy bażant w polu, w zaroślach jakieś „ptasie radio" zagra, od czasu do czasu ciszę rozedrze jazgot piły spalinowej lub silnik kosiarki.

Znam wszystkie psy we wsi, witają mnie przeważnie w milczeniu, kręcąc młynka ogonami i podstawiając łeb do poczochrania. Czasami tylko zaryczy na drodze lśniące kawasaki prowadzone przez motocyklistę „kosmitę". Przemknie obok i za sekundę zniknie na zakręcie. W mijających mnie samochodach, kierowcy unoszą rękę w geście pozdrowienia, znam ich wszystkich, ale większość tylko zza szyby i tylko po marce samochodu.

Wędrówki piesze uprawiam w zasadzie tylko ja, czasami trafi się jeszcze jakiś „easy rider na piechotę". Wtedy przystajemy na chwilę, żeby wymienić „grzeczności" podróżnicze, po chwili żegnamy się uprzejmie i idziemy do swoich „zagród", gdzie nie ryczą krowy, nie pieją koguty i nie skrzypi kołowrót w studni, mijamy inne zadbane zagrody z mieszkańcami, którzy są przekonani, że mieszkają na wsi.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Andrzej Stanisław Adamczuk urodził się w roku 1949 w Jaślikowie, tam też spędził dzieciństwo. Przez wiele lat mieszkał w Lublinie, gdzie pracował, głównie na lubelskich budowach oraz w pracowniach projektowych. Pod koniec XX wieku zostawił Lublin i znowu zamieszkał na wsi, tym razem niedaleko Lublina. Obecnie - emerytowany inżynier budownictwa lądowego, projektant konstrukcji budowlanych. Autor projektów konstrukcji kilkudziesięciu SE 110kV w całej Polsce; autor projektów kilkunastu konstrukcji kościołów m.in. - kościół pw. św. Piotra w Krośnie; autor projektu konstrukcji nowych pawilonów Muzeum Nafty w Bóbrce k/Krosna; wielu budynków mieszkalnych i innych obiektów. Do dzisiaj uprawia swoją profesję mając za sobą 55 lat praktyki zawodowej. Chętnie oddaje się fotografii oraz sztuce pisarskiej. Wybrane bardzo klimatyczne wspomnienia publikuje m.in. w „Nestorze" z zamiarem wydania indywidualnej książki.

Monika Nagowska

Precedencja

Cała sztuka przy witaniu
(kiedy mnogość zacnych gości),
by uniknąć bałaganu
w tej kolejce do zazdrości.

Siła ciążenia

Nowy zwyczaj w wielkim świecie
równo dzielić się robotą.
U nas więcej na kobiecie
ciąży (wraz z obrączką złotą).

Andrzej Stanisław Adamczuk

Żniwa
Z cyklu: Mój Jaślików

Żar lejący się z nieba, spieczone słońcem twarze, lśniące od potu torsy kosiarzy, spracowane ręce, pokłute ścierniem nogi, żniwny gwar na polach, dźwięk klepanej kosy, odgłosy pracy żniwiarek konnych, spoglądanie z niepokojem w niebo czy nie idzie burza, a na rżyskach oddziały defiladowe „dziesiątków", uformowane ze snopków zebranego zboża – taki obraz żniw zapamiętałem z Mojego Jaślikowa.

Żniwa były najważniejszym czasem w pracy chłopa, przychodziła bowiem pora, by zebrać ziarno na chleb powszedni. Może ten „chleb powszedni" brzmi patetycznie, ale nie ma w tym stwierdzeniu krzty przesady, tutaj rzeczywiście chodziło o chleb w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu.

Do prac żniwnych przystępowano z wyjątkowym pietyzmem i zasada, aby nie zmarnować żadnego kłosa, nie była czczym gadaniem. Bogaty zbiór zapewniał bezpieczne przetrwanie ludzi i zwierząt w kolejnym roku. Na wsi z tamtych czasów, jeszcze w wielu domach najważniejszym było oddalić widmo głodu, a dopiero w następnej kolejności uszczknąć coś tam na przyjemności konsumpcyjne. Słowo „przednówek" istniało nie tylko jako pojęcie z encyklopedii, ale dotykało bezpośrednio jeszcze wiele rodzin żyjących z pracy na roli. Zmiany następowały szybko. Gospodarny chłop radził sobie nieźle w nowej rzeczywistości ustrojowej państwa – „wyczuwał", na co należy „postawić", żeby ciężka praca przekładała się również na poprawę komfortu życia. Chłop był nieufny i przezorny aż do bólu, zawsze gdzieś tam tkwił w nim ten atawistyczny niepokój o przyszłość i nakazywał, aby czas żniw traktować z wielkim pietyzmem i nie marnować żadnego kłosa.

Żniwa zaczynały się zbiorem rzepaku pod koniec czerwca albo na początku lipca. Rzepak był rośliną przemysłową, masowo kontraktowaną przez państwo, skupy brały każdą ilość i – o ile pamiętam – płaciły nieźle. Jeszcze gdzieś tam po

wsiach były stare prywatne olejarnie tłoczące olej z rzepaku, ale już nie były w stanie konkurować z przemysłową przeróbką tego ziarna. W Jaślikowie olejarnię miał chyba stary Wójtowicz. Pamiętam, że odpadem, który powstawał po tłoczeniu oleju w olejarni u Wójtowicza, były okrągłe makuchy. Te makuchy chętnie jadły krowy albo konie, ale i ludzie dopatrywali się w tym jakichś smakowych zalet. Próbowałem i ja te makuchy. Czy smakowały? No, smakowały, jak makuchy – nie pamiętam.

Z rzepaku „sypał" się pierwszy żniwny grosz, a poza tym, dojrzały rzepak „sypał" się dosłownie i niemiłosiernie przy lada dotknięciu, zbiór był uciążliwy, a przy zwózce sporo ziarna zostawało gdzieś po drodze. Wozy wykładano plandekami, płachtami i czym kto miał, ale problem był i trzeba było go jakoś rozwiązać. W końcu, zaczęto młócić rzepak na polu w miejscu zbioru, już nie było dalekiego wożenia, straty „transportowe" zmniejszone zostały znacznie. Miejsce młocki wyścielano plandekami, no i jakoś to szło. „Polak potrafił". Młocarnia na polu napędzana była silnikiem spalinowym – ludzie mówili na ten silnik DET, a chodziło chyba o niemiecki silnik Diesla DEUTZ MAH. Początki mechanizacji rolnictwa na polskiej wsi, zawsze kojarzyć się będą z tym silnikiem. Ciężki był jak diabli i takoż mocny.

Po żniwach rzepakowych, w następnej kolejności zbierało się żyto, pszenicę, owies, jęczmień lub mieszankę tych dwóch ostatnich. W latach 50. coraz śmielej na pola wjeżdżały maszyny – żniwiarki, kosiarki, czasami nawet snopowiązałki. Były ciągnięte wprawdzie przez konie, ale postęp był znaczny. Jednakże podstawowym sprzętem w powszechnym użyciu były jeszcze kosy ręczne, a nawet sierpy. Nawet gdy planowano koszenie żniwiarką konną, to pole trzeba było „obkosić", czyli wykosić kosą ręczną skraj łanu, tak żeby żniwiarka konna mogła wjechać. Żniwiarki konne mieli gospodarze bogatsi. Po załatwieniu swoich żniwnych potrzeb, wyjeżdżali na pola sąsiadów – za pieniądze albo na tzw. odrobek, czyli „jaślikowski barter" – wymiana pracy za inną pracę.

W sklepie GS, gdzie sprzedawcą był Tadek Woroch, a wcześniej Wiesia Bandoszówna, słychać było pobrzękiwanie kos, uderzanych o cementową posadzkę – to kosiarze kupowali sprzęt i sprawdzali jego jakość. Dźwięk kosy trzymanej za

„piętkę" (inni mówią za „ucho") i uderzonej szpicem o posadzkę, miał być długi i czysty. Sprawdzano giętkość kosy, naciskając szpicem o posadzkę – nie mogła być za duża, przeciągano dwoma palcami po płótnie kosy (ta część między klingą i grzbietem) – doświadczony kosiarz mógł wyczuć zmianę grubości tego płótna między dwoma palcami – kciukiem i wskazującym. Taka zmiana grubości płótna była niepożądana, bo przy klepaniu powodowała „falowanie" klingi, poza tym, każdy kosiarz miał swoje tajemnice dobrej kosy, które uwzględniał przy wyborze.

Jak widać, kupowanie nowej kosy to był pewien rytuał poparty przeważnie kuflem piwa i wieloma „opiniami" obecnych w sklepie. Często zwracano się do mojego ojca, który z racji tej, że uprawiał kowalstwo, był traktowany jako „wtajemniczony". – Jasiek weźże zobacz, czy ta może być? – padało pytanie. „Jasiek" odstawiał napoczęty kufel z piwem, brał kosę, uderzał o posadzkę, słuchał, jak gra, brał drugą albo i trzecią, sprawdzał giętkość, jechał palcami po grzbiecie kosy, w końcu wyrokował: – Bierz tę! I wracał do napoczętego piwa.

Do żęcia zboża, sporadycznie używano jeszcze sierpa, gdy potrzebna była wyjątkowo prosta słoma, np. na „strzeszaki", czyli snopki na pokrycie dachowe. Wiele dachów było jeszcze pokrytych słomą, a słoma używana do krycia dachów powinna być ścięta sierpem i wymłócona cepem. Prosta słoma potrzebna była też do plecenia słomianych „warkoczy", z których robiono m.in. pojemniki na ziarno, tzw. słomianki. Puste słomianki były bardzo dobrym miejscem, żeby się schować podczas zabawy w chowanego. Sierp był jeszcze nieodzowny wtedy, kiedy zboże „wyległo", tzn. na skutek ulewnego deszczu i silnego wiatru zboże zostało przyduszone do ziemi, a jak nie daj Boże jeszcze przerosło chwastem, sierp się wtedy bardzo przydawał.

W porze dokuczliwych upałów, do koszenia wychodziło się wczesnym rankiem, około godz. 4, w polu pracowało się gdzieś do godziny 11-12, a druga „sesja" zaczynała się po południu około godz. 15 i trwała do zachodu słońca. Przerwa południowa wykorzystywana była do obrządku zwierząt domowych, do „poklepania" kosy i na posiłek obiedni, czasami na kąpiel w Stoku czy krótki wypad do rzeki na Niemienice.

Poklepanie kosy nie polegało na tym, żeby poklepując ją po kosisku, zachęcić do lepszej współpracy, tylko była to codzienna czynność (gdy kosa była używana intensywnie) polegająca na sklepaniu (pocienieniu) tzw. żądła klingi kosy, co umożliwiało jej skuteczne ostrzenie i czyniło

Na miedzy z gołą głową siedzi autor – żniwa 1963 w Moim Jaślikowie.

Na miedzy, w dziwnym nakryciu głowy siedzi Januszek Błaziak (ps. „Siwy"), również z Mojego Jaślikowa. To nakrycie głowy było robione z chusteczki do nosa – jakoś tak podwiązywało się rogi chusteczki, że tworzył się „berecik" chroniący od słońca.

Dwóch facetów w zbożu na drodze do lasu niemienickiego to Tadek Piętal i Tadek Szymaniak (ps. „Siurek"). Daleko w tle Mój Jaślików. Kiedyś, po prawej stronie poza kadrem mieszkała rodzina Pastuszaków, a po lewej rodziny Woźniaków i Paradowskich. Dzisiaj już nikt tam nie mieszka. Zdjęcie z lata 1963.

ostrze twardszym. Do klepania kosy potrzebny był młotek, (każdy miał swój „specjalny" młotek – nie każdy się nadawał), stalowa „babka" (minikowadełko) wbita w drewniany pieniek i umiejętność, bo trzeba dodać, że klepanie kosy nie było takie łatwe i początkujący kosiarz zawsze miał z tym problem, a jego kosa, z „umęczonym" żądłem była przedmiotem kpin bardziej doświadczonych kosiarzy, których jęzory ostre były jak ich kosy.

Nadmiernie popękana i pofalowana klinga kosy, była wynikiem braku doświadczenia i nieumiejętnego posługiwania się młotkiem przy klepaniu, doświadczenie przychodziło z czasem, czyli zgodnie z zasadą „...jak sie nie psewrócis to sie nie naucys". W czasie żniw, w południe słychać było na podwórkach, charakterystyczne pobrzękiwanie klepanych kos – znak to, że żniwna batalia trwa, a kosiarze sprzęt swój sposobią do popołudniowej pracy.

Do żniw chodziło się całymi rodzinami. Ojciec albo najstarszy z braci robili za pierwszego kosiarza, matka była pierwsza podbierająca, a siostra Halina druga. Ja pilnowałem na razie krów. Podpatrywałem znawców tematu, brałem się też za koszenie i w krótkim czasie ta sztuka nie była mi obca, nawet mi się podobała. Nie przypuszczałem, że umiejętność ta już wkrótce okaże się nieodzowna.

Na pierwszy ogień szło żyto – odmiana żyta z tamtych lat miała długie wiotkie źdźbła, które łatwo „wylegały" czyli wykładały się na ziemię pod ulewnym deszczem i wiatrem. Żyto zwykle było pochylone w jedną stronę i kosiło się go na tzw. „ścianę", czyli tak aby „ukos" kładł się na stojące zboże. Często kosy były wyposażone w kabłąk zamocowany do kosiska, który ułatwiał równe zgarnianie ukoszonego zboża. Kabłąk czasami był obciągnięty płótnem, co powodowało, że przy zamachu kosą, wytwarzał się podmuch układający koszone źdźbła zboża we właściwą stronę.

Za kosiarzem szła podbieraczka, która podbierała duże „garście" ukoszonego zboża i układała na powrósła leżące na rżysku, jeżeli kosiarz był z tych „mocarnych", to potrzebował, żeby zbierały za nim dwie podbieraczki.

Kosiarz dochodził do końca łanu, brał wiecheć trawy i przejeżdżał nim po usztywniającym rancie grzbietu kosy, gdzie zbierały się grudki ziemi i drobiny chwastów, wyciągał zza pasa osełkę, paroma dźwięcznymi pociągnięciami ostrzył kosę, wracał na początek łanu, brał nowy pokos i tak

przez parę godzin. Wracając na początek łanu, często po drodze, kosiarz wiązał w snopki ułożone na rżysku garście zboża. Snopki musiały być mocno ściśnięte powrósłem, żeby po wyschnięciu nie rozlatywały się. I tutaj męska krzepa była nad wyraz użyteczna.

Lubiłem patrzeć, jak chlaśnięte ostrą kosą żyto, padało równo na „ścianę" i słuchać chrzęstu tnącej kosy, szczególnie, gdy w zbożu był zielony skrzyp, który niejako wiązał dołem „ukos" zboża, i wtedy kosa odwalała takie równe, leżące skiby. Miodzio!

Podobnie kosiło się pszenicę, była krótsza od żyta, słoma sztywniejsza i nie tak podatna na wyleganie jak żyto, kosa wymagała częstszego ostrzenia. Ponieważ źdźbła pszenicy były krótsze i twarde, czasami nie dało się z nich ukręcić powrósła – po prostu słoma łamała się. Wtedy wcześniej w domu przygotowywało się powrósła ze słomy żytniej i gotowe zwilżone wodą dla lepszej elastyczności, niosło się na pole.

Owies i jęczmień – zboża krótkie – kosiło się na pokos, czyli „ukos" odkładał się na ściernisko, tutaj kosiarz nie musiał mieć podbieraczki, pokos leżał na ściernisku i można go było zebrać po zakończeniu koszenia. Snopki z tych zbóż, a właściwie snopeczki („kuczki") pozostawały do wyschnięcia na polu, ustawione w mendle albo kopy czyli po 15 albo 60 sztuk.

Najprzyjemniejszą częścią koszenia był tzw. „podobiadek" czyli drugie śniadanie i podwieczorek. Na chybcika stawiało się dziesiątek albo dwa i w ich cieniu rozścielało się płachtę z płótna konopnego. Mama wyciągała z koszałki (taki koszyk pleciony z trawy morskiej) wiktuały – placki „blaszaki" albo chleb z pieca, jajka na twardo, ogórki małosolne, płaty solonej słoniny, zsiadłe mleko lub wodę z sokiem i takie tam inne „znamienite" jadło.

Zalegaliśmy na ściernisku przykrytym płachtą z płótna konopnego, w cieniu „dziesiątków" zboża i celebrowali należny nam odpoczynek z posiłkiem. Przepiórki, nawołując się, przędły cienką muzyczkę: „Pójdźcie żąć! Pójdźcie żąć!", koniki polne skakały po ściernisku i przyłączały się do biesiady, pies patrzył z wyrzutem, że sami jedzą, a jemu nie dają, a on też w polu przecież był i zająca prawie że złapał. Było bosko!

Oglądałem w telewizorni pokazowe koszenie żyta w jakimś skansenie i muszę stwierdzić, że marnie to wyglądało. Zapał i chęci w ekipie były, ale nie było „wodza", który mógłby tym koszeniem pokierować. Bałagan, jaki czynili żniwiarze na polu, był wręcz gorszący. Szybko się jednak zreflektowałem, że ci ludzie prawdopodobnie nigdy tego zawodowo nie czynili, więc skąd mieli by to umieć? Chęci były a wyszło marnie. Tutaj przypominam sobie mojego ojca, który pokazywał mi, jak ma wyglądać pokos żyta po skoszeniu. Gdybym nie wiedział, że jest skoszony to myślałbym, że tego żyta kosa jeszcze nie dotknęła – tak równo leżało, a właściwie opierało się o źdźbła nieskoszone.

Koszenie żyta było dość proste, słoma nie była twarda, łatwo poddawała się kosie, chyba że „wyległo" i trzeba było czasami podchodzić z kosą z różnych stron, no to wtedy ojciec ewentualnie wyrażał swoje niezadowolenie w sposób dość naganny stylistycznie – przytaczać nie będę, ale gdyby zobaczył taką robotę, jak ta w skansenie, to jego dezaprobata nie nadawałaby się do przytoczenia nawet w najbardziej tolerancyjnym towarzystwie.

Na koniec dnia znieść trzeba było snopki zboża na środek ścierniska i ustawić w tzw. „dziesiątki", czyli jeden snopek na środku, osiem dookoła i jeden na „czapkę". Ta „czapka" to był częściowo rozpostarty snopek nad pozostałymi, który chronił kłosy w snopach przed ewentualnym zmoczeniem przez deszcz. Zboże stało na polu do wyschnięcia, potem zwózka do stodoły albo ułożenie w stertach koło obejścia i młocka.

Młocarnie mieli tylko bogaci gospodarze, bo nie były to maszyny tanie. Niektórzy obrotni, jak Stach Cichosz (ten spod wielkiej lipy) kupili młocarnie i z młocki usługowej uczynili sobie stałe i niezłe źródło dochodu. Maszyna do młócenia „szła" po kolei od gospodarza do gospodarza, trwało to do późnej jesieni, aż wszyscy chętni zostali obsłużeni. Tak samo czynili inni właściciele młocarni, tacy jak Staś Wojtal, Karol Janowczyk czy Józef Sawa. Kiedy załatwili swoje potrzeby młócenia, sprzęt krążył po wsi i zarabiał na siebie. W wielu nawet mniejszych gospodarstwach były małe młocarnie zwane „świniarkami" (albo „śmieciarkami"), urządzenie proste i używane doraźnie do wymłócenia jakiejś mniejszej ilości zboża. Konstrukcja tych ma-

szyn była bardzo prosta – ot, obudowany bęben ze sztyftami młócącymi, napędzany małym silnikiem elektrycznym. Zboże wymłócone przez świniarki, niestety trzeba było młynkować (niektórzy mówili „odwiać", czyli czyścić).

Do młócenia trzeba było skompletować ekipę, na zasadzie:

– Ty przyjdziesz do mnie do młocki w poniedziałek, a ja ci to odrobię w czwartek.

– A nie mógłbyś w środę?

– Nie, bo w środę młócimy u Malinowskiego.

Dodać jeszcze trzeba, że niektórzy, bardzo zresztą nieliczni, młócili cepem. Dlaczego używali tego archaicznego sprzętu? Ano, używali dlatego, bo potrzebowali prostej słomy, a ta najlepsza była spod cepa, albo też mieli czasu dużo w zimie, jak np. Józio Chyb, nasz sąsiad i stary kawaler walił cepem w stodole przez całą zimę.

Można by się doszukiwać w pracy chłopa na tamtej wsi w Moim Jaślikowie, jakichś elementów romantyzmu, widzieć ją jako trudną walkę z przeciwnościami natury, próbować dołączyć do tego trochę zapachów patriotycznych. Oczywiście wszystkie te cechy dostrzec można w tamtym wiejskim życiu, tylko że występowały one niejako przy okazji i nie było tam miejsca na łzawy patos.

Harującemu na polu chłopu nie były w głowie romantyczne porywy ani heroizm walki o dobro Ojczyzny. Na romantyzm nie miał czasu i nie chciał, żeby go we wsi na jęzory wzięli – że dziwak. „Heroizm" swojej pracy odczuwał co rano, kiedy wstawał o świcie i z trudem prostował plecy. A patriotą był, nawet o tym nie wiedząc, bo żeby nim być, świadomość tego potrzebna mu nie była. Jego patriotyzm nie był wypisany na sztandarach, ale nie pozwalał obojętnie przejść obok ludzi doświadczonych przez los, a takimi byli np. powodzianie, czy dotknięci pożarem. Tych wspierał hojnie ziarnem, a nawet groszem. A byli to często ludzie zupełnie mu obcy i z innych wsi.

Każdego też roku wiosną, chłopi szturmem ruszali na wiejską drogę, żeby naprawić szkody poczynione przez wiosenne roztopy, o innych inicjatywach społecznych nie wspomnę, jak choćby budowa szkoły. Była chęć, był czyn, był patriotyzm bez haseł – był po prostu „zbiorowy obowiązek" i na czym on miał polegać, nie trzeba było nikomu tłumaczyć.

Nowe pokolenia chłopskie już nie chciały godzić się na siermięgę wiejskiego życia, część z nich szukała swojej szansy w gospodarowaniu nowoczesnym, inni stadami odfruwali do miast, tam szukając swojej szansy i przeważnie ją tam znajdowali. Przyjeżdżali wkrótce w odwiedziny, ale już nie tacy sami, jak przed wyjazdem, przywozili miejskie obycie, pewność siebie i kasę, którą mogli swobodnie dysponować. Ale ci, którzy tutaj zostali, nie marnowali czasu, gonili za postępem i z czasem ci „miastowi", przyjeżdżając na wieś, patrzyli na swoich dawnych kolegów i ich dzieci, zazdrośnie strzelając oczkami na „kosmiczne" traktory i inne maszyny, na obory pełne krów jak na wybiegu, na nowoczesne domy i zadbane obejścia.

Tylko we żniwa nie słychać było na polach żniwnego zgiełku, nie było kosiarzy ani podbieraczek, nie dzwoniły na podwórkach klepane kosy, nie można było już podziwiać groteskowego tańca, obracających się „grabi" żniwiarki, a przez łan zboża z ciężkim dorodnym kłosem, zasianym równo jak pod linijkę, maszerował dostojny kombajn z klimatyzowaną kabiną i joystickiem zamiast kierownicy, za nim kroczył „wypasiony asystent" – traktor z przyczepą, na którą sypała się z podajnika, srebrnozłota struga ziarna.

I tak oto, w ciągu dwóch pokoleń, cały romantyzm żniw szlag trafił. Chłopu została kasa i wolny czas na grillowanie, a mnie garść wspomnień, którymi się hojnie dzielę, bo jest tutaj ponad 17 000 znaków ze spacjami. To informacja dla tych. którzy dotrwali do końca tekstu.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Monika Nagowska

Magnetyzm

Niejeden w naszych mediach
wystąpi tylko po to,
aby w kompletnych bredniach
promienieć swą głupotą.

Władca świata

Nie dopuszcza dzieci, żony,
po królewsku przy sobocie
świat zdobywa niezmierzony,
kciukiem skacząc po pilocie.

Lucjan Cimek

Smak chleba

Gdy przed siedemdziesięciu laty chłopska rodzina odmawiała modlitwę „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj", to było dobrze wiadomo o jaki chleb chodzi. Chodziło o te duże bochny, które 2-3 razy w miesiącu matka wkładała do rozpalonego pieca chlebowego i wyjmowała po kilku godzinach w obłoku niezapomnianego zapachu. Tak pachnie tylko chleb z żytniej mąki i tego zapachu się nie zapomina. Ten chleb rodzina chłopska spożywała w nabożnym skupieniu. Bo to był chleb ofiarowany przez Pana Boga za trud i znój przy orce, siewie, żniwie i młóceniu ziarna. Chleb powstawał w tym łańcuchu prac, wyłaniał się stopniowo z chłopskiej dłoni i powtórzmy, że to chłopski trud przygotował rolę pod siew, zasiał ziarno, skosił zboże, wymłócił i zmełł ziarno na mąkę, z której matka upiekła pachnący chleb. Przechowywano go w skrzyni ze zbożem, aby zachował świeżość.

Był nie tylko pożywieniem. Był podstawą i zarazem symbolem tego wszystkiego, co chłop otrzymał z roli za swoją pracę. Rolnik musiał zrobić swoje, ale by chleb rzeczywiście był, musiał Pan Bóg podlać rolę deszczami, zatrzymać w niebie grad, nie dopuścić do powodzi, zapobiec pożarom, a więc musiał Pan Bóg spełnić wiele warunków, i było za co odmawiać dziękczynną modlitwę. Bo gdy Pan Bóg zesłał silne mrozy, głębokie śniegi, susze wiosenne czy inne nieszczęścia, nadzieja na chleb znikała. Takie lata też się zdarzały.

Gdy w miastach i osadach zjawili się zawodowi piekarze, wraz z nimi zjawił się chleb biały i białe bułki. Urwał się łańcuch zależności, bo nie wiadomo było, skąd piekarz bierze mąkę. Zerwała się łączność między chłopską pracą i wypieczonym chlebem. A dzisiaj, w XXI wieku, w sklepach spożywczych pojawiły się półki z pieczywem, a na nich kilkanaście gatunków chleba, każdy inaczej wypieczony, z innej mąki, inaczej opakowany, inaczej pachnący. Ten chleb, a raczej te rodzaje chleba są wytworem cywilizacji technicznej. Powstaje z przemysłowych sposobów uprawy roli, nowoczesnej technologii uprawy zbóż, z masowej produkcji

ziarna i jest wypiekany w mechanicznych piekarniach-fabrykach. Nie zależy od pracy chłopskiej i nie powstaje w rękach chłopskiej rodziny. Chleb to nie jest „upieczona w piecu bryła maki zaczynowej", jak pisał Samuel Bogumił Linde w „Słowniku języka polskiego" na przełomie XVIII i XIX wieku. W tymże „Słowniku" Linde odnotował cztery szpalty różnych znaczeń i użytków nazwy „chleb". Bo jeśli wierzyć archeologom, to użytkowanie nasion różnych roślin, ich „mielenie" i wypiek ciasta zaczął się we wczesnym okresie neolitu. Trwał potem przez wieki jako podstawowe pożywienie, ale także jako cel życia, środek utrzymania życia, stał się wartością polityczną i jeszcze dziś, w 2023 r. manifestacje partii politycznych i organizacji związkowych żądają chleba od kolejnych rządów. Ale ten chleb, którego żądają jest daleki od tego dawnego chleba chłopskiego, a także od tej wielości gatunków wypieków przemysłowych zalegających półki sklepów i magazynów. Ten chleb jest symbolem dobrobytu. Żądania chleba są – o czym protestujący nie zdają sobie sprawy – także hołdem składanym rolnikom, którzy od niepamiętnych czasów byli producentami chleba. Nie brak jednak poglądów przeciwnych, stwierdzających, że przemysł spożywczy produkujący masowo zróżnicowane gatunki pieczywa zwiastuje koniec cywilizacji chłopskiego chleba, bo chleb oderwał się od pracy rolnika i zależy od pracy chemika i technologa. Zwiastuje także koniec rolnictwa chłopskiego w tradycyjnej postaci.

Chleb przez wieki był symbolem pracy chłopskiej. Bochen chleba dożynkowego symbolizował wkład i udział chłopa rolnika w wyżywieniu narodu. Prestiż społeczny rolnika wynikał z tego faktu, że jest on producentem żywności. Wieś, chłopi i rolnicy stają w obliczu nowych zmian w wyżywieniu ludności, rysującej się w innym funkcjonowaniu produkcji chleba w społeczeństwie.

Odeszła wieś z chałupami, coraz mniej koni, coraz więcej gospodarstw bez krów i świń. Pastwiska dawniej wyskubane do ostatniej trawki porosły gęstą trawą i łopianem, a łąki trzcinnikiem. Piecy chlebowych się nie buduje, bo dziś stawia się kominki. Teraz życie stało się o wiele łatwiejsze, ale czy przez to lepsze? Skoro idąc obok siebie, rozmawiamy przez komórki?

Jestem z tego chłopskiego świata, który odszedł w przeszłość razem z odgłosem klepa-

nia kosy, ze słowami, którymi był nazywany świat, w którym się żyło (izba, chałupa, strzecha, sień, sąsiek), narzędziami, którymi się pracowało (sierp, kosa, cepy, młynek, kierat, młocarnia) i tymi związanymi ze zbożem i chlebem (komora, korzec, przetak, dzieża, słomianka, niecki, piec chlebowy, łopata chlebowa, kociuba, podpłomyk) i wieloma innymi. Nasze wnuki, żeby te słowa zrozumieć, muszą już sięgać do słownika, ale tam smaku chleba, tamtego chleba nie poczują.

Nasz papież, ojciec święty Jan Paweł II, wielokrotnie mówił o chlebie. Jego słowa podkreślały prawo człowieka do pracy, a także prawo do ziemi, aby „czynił ją sobie poddaną". Już podczas pierwszej pielgrzymki do Polski w 1979 r., 8 czerwca w Nowym Targu, powiedział: *Przy odwiedzinach wypada, abym przede wszystkim składał życzenia – więc wam życzę, z całego serca życzę mojej Ojczyźnie, ażeby to, co było siłą Polaków nawet w najtrudniejszych okresach dziejów: osobisty związek z ziemią, nie przestało nią być również i w naszym uprzemysłowionym pokoleniu. Niech będzie w cenie praca na roli, w cenie i poszanowaniu. I niech nigdy nie braknie w Polsce chleba i pożywienia!*

Jak do tej pory, dzięki Bogu, chleba nam nie brakuje, chociaż wiele jego gatunków w niczym nie przypomina w smaku tamtego, który z żytniej mąki wypiekała moja matka. Wprawdzie wielu dowcipnisiów bezmyślnie mówi, że kto biedę zna to kiełbasę i bez chleba zje. Ale to tylko banał, świadczący o braku rozeznania w temacie żywienia człowieka.

Lucjan Cimek

Dzieża do miesienia (przygotowywania) ciasta na chleb. Zbiory działu etnografii Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie (fot. Lucjan Cimek, maj 2023).

Lucjan Cimek

Wspomnienia żniwne

Południowa spieka,
żyta srebrnego sprzątanie.
Słońce jak krążek mleka
w błękitnym nieba dzbanie.

Sierpniowy brzęk kos,
śpiew świerszczy głuszy.
Ciepły podmuch wiatru,
knowie snopów suszy.

Niskie ściernisko,
krwawo rani nagie stopy.
Kłosy dorodnego ziarna,
czekają na omłoty.

Pogoda żeńcom sprzyja,
słony pot wsiąka w ziemię.
Zbliża się czas dożynek,
wieńczący pracy brzemię.

Na dożynkach jest wesoło,
lud się bawi, hucznie wkoło.
Chociaż nowe dziś przybywa,
to tradycja jeszcze żywa.

Trzeba strzec przodków wiary,
a nie każdy to pamięta.
Dawniej stał snop zboża
w rogu izby w Godne Święta.

Wieniec dożynkowy sołectwa Łany w gminie Krasnystaw (fot. Lucjan Cimek – 14 sierpnia 2022).

Marian Rybczyński

Dęblińskie przypadki

Kłopoty z dyscypliną

Wracam do Białej po bardzo „pracowitym" pobycie w domu, a tymczasem pogoda ciągle w kratkę. Latamy nie za dużo, realizacja programu leży na obie łopatki, a nasz wódz, mając więcej czasu, postanawia zrobić z nas wojsko z prawdziwego zdarzenia. A to wpadnie z rana sprawdzić, czy na zaprawę wyszliśmy, a przecież wiadomo, że nie wyszliśmy. Żeby wyrobić w nas nawyk i w trosce o dyscyplinę wojskową i naszą tężyznę fizyczną, ganiamy po południu po pasie w tę i z powrotem. A to szafki posprawdza, gdzie powinien być porządek ogólnowojskowy, a wiadomo, że nie ma. A jeszcze, nie daj Bóg, jeśli znajdzie się tam coś, czego nie powinno być, na przykład „Regulamin wykonywania lotów" – i nieszczęście gotowe. „Regulamin wykonywania lotów" to dokument poufny i powinien znajdować się w szafie pancernej opieczętowanej specjalną referentką, gdzie pieczęć odciskało się w plastelinie, pod którą znajdował się specjalny sznureczek, a całość była umieszczona w – nomen omen – kapslu po piwie przytwierdzonym do ścianki. A tu masz ci babo placek, RWL jest w szafce, która przypadkowo należy do mnie. Dostaję wykład, jakie to poważne przestępstwo popełniłem, bo przecież wróg nie śpi i tylko patrzy jak by tu spenetrować ową szafkę, w której to znajduję się tak ważny i o wielkim znaczeniu dokument, o poufności nie wspominając.

Rozglądam się podejrzliwie po kolegach, który to z nich może być na usługach podstępnego wroga, ale z moich dywagacji wyrywa mnie głos dowódcy, który mi oznajmia, że za to przestępstwo zostaję ukarany naganą... Hmm… którą to już z kolei?

Nie tak dawno też coś tam podobnego nabyłem. A było to tak. Kiedy lataliśmy na popołudniową zmianę, która kończyła się o godz. 20, mieliśmy jeszcze skrócone przygotowanie do lotów na dzień następny. Standardowo powinno

się ono odbywać przed lotami, ale żeby ulżyć instruktorom, którzy musieliby przyjść wcześniej do pracy następnego dnia, a przecież i tak w sezonie letnim byli gośćmi w domu, owo przygotowanie było przeprowadzane po lotach. Koniec przygotowania, instruktorzy do domów, a my na zbiórkę na korytarzu, bo „Winio" jak zwykle miał nam dużo do powiedzenia. Stoimy, tylny szereg opiera się o ścianę, bo korytarz ma w porywach do 2 metrów szerokości, wszyscy już trochę zmęczeni. Wiadomo, na lotach nowe elementy, my jeszcze nieopierzone kaczory, więc wysiłek i fizyczny, i emocjonalny duży.

Wódz otwiera swój notatnik TEWO.

– Podchorążowie, jest taka sprawa – standardowo rozpoczyna zagajenie. Prześlizguje się po temacie, omawiając kilka mało istotnych przestępstw, które popełnili koledzy i…

– Podchorąży Rybczyński…

– Jestem – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Wystąp!!! – pada komenda.

Robię pół kroku w przód, zamiast trzech, bo na tyle pozwala szerokość korytarza w naszym Zarządzie Budowy Jaskiń i waląc prawie czołem o ścianę, wykonuję regulaminowy w tył zwrot.

– Powiedzcie, podchorąży kolegom, co dzisiaj zrobiliście na lotach.

W duchu sobie odpowiadam, że na lotach zrobiłem regulaminową kupę, ale głośno odpowiadam:

– Dzisiaj na lotach za wysoko wyrównałem – co jest zgodne z prawdą. Latamy w kratkę, przez co są pewne przerwy w lądowaniach. Poza tym doszedłem już do takiego etapu, chyba każdy pilot przez to przechodzi, że zacząłem kombinować. Kombinować, czyli szukać swojego własnego stylu, który chyba każdy sobie z czasem wypracowuje. Wszystko jest niby według zasad, ale zawsze są jakieś drobne niuanse. Jak się kombinuje, to i od czasu do czasu można przekombinować.

– A dlaczego wysoko wyrównałeś? – „Winio" drąży temat.

– Chyba trochę źle patrzę – odpowiadam zgodnie z prawdą, bo po analizie doszedłem do takiego wniosku.

– A jak należy patrzeć?

– 15-20 m do przodu pod kątem 15-20 stopni w lewo – recytuję szybko formułkę.

Do „Winia" przysuwa się por. K. zwany przez nas „Dżapą" i odzywa się półgłosem, ale oczywiście wszyscy słyszą.

– Zobacz… wie, jak patrzeć, a nie patrzy, znaczy niezdyscyplinowany... dopierdziel mu.

– Słusznie – podsumowuje pan Andrzej.

– Podchorąży Rybczyński… Baczność!!! – i dalej już według utartego schematu: – Za niezdyscyplinowanie podczas lotów karzę podchorążego naganą!!!

– Kara – odkrzykuję regulaminowo… i po wszystkim.

Uff… łaskawca, myślę sobie, mógł przecież parenaście dni ZOMZ-u (zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania) dorżnąć. Co prawda, sierżant podchorąży nie musi się meldować na wezwanie oficera dyżurnego ze wszystkim co ojczyzna dała, a jedynie z bronią, ale to i tak jest to wystarczająca uciążliwość, bo biada takiemu, którego akurat wezwano, a on akurat wraz z kolegami gasił pragnienie zimnym browarkiem.

– Są pytania? – pyta „Winio", z trzaskiem zamykając TEWO. – Jeśli nie, to rozejść się!

– A ty się ciesz, że zapomniałem o nieregulaminowej korespondencji radiowej. Więcej by ci się dostało – rzuca, wyciągając oskarżycielsko palec w moim kierunku. Fakt… to też przestępstwo... Latałem dziś w parze z „Dziadkiem" Palakiem.

– Jak zauważysz smugi, to daj znać, popiszemy trochę po niebie – powiedział „Dziadek" kiedy szliśmy do samolotu.

Lot odbywał się na dużej wysokości i była szansa, że smugi kondensacyjne się pojawią. Pytanie tylko na jakiej wysokości. Prowadzący, jako że „Lim-2" nie miał peryskopu, nie miał szans tego zauważyć. Smugi były i je zgłosiłem, tylko jak matoł bezrozumny podałem też swój indeks. W. był akurat w powietrzu i usłyszał moją korespondencję, ale na szczęście zapomniał umieścić tego w swoim nieśmiertelnym TEWO.

Jedynym plusem naszej lotniczej bezczynności są wyjazdy na tzw. „czynny wypoczynek". Po prostu, kiedy już wiadomo, że loty nie wyjdą, całe towarzystwo na czele z instruktorami pakuje się do autobusu i jedzie przeważnie do Serpelic, to wypoczynkowa miejscowość nad Bugiem kilkanaście kilometrów od Białej Podlaskiej. Jeśli

nie jest za zimno można pomoczyć się w czystej wodzie Bugu. Niektórzy biorą wędki i zawzięcie usiłują coś złapać, ale ogół przeważnie włóczy się po lesie lub przesiaduje w jednej z wielu knajpek na świeżym powietrzu. Przy napojach „chłodzących" płyną opowieści lotnicze serwowane przez naszych instruktorów. Jest paru, którzy naprawdę potrafią opowiadać. Zapamiętałem jedną z historii, głowy nie dam, że to prawda, ale jak mówią są rzeczy i zdarzenia, o których się nawet filozofom nie śniło. Oczywiście opowiadający klął się na wszystkie świętości, że fakt taki miał miejsca, ale… zresztą nie mnie to oceniać.

Latał pułk na bombardowanie na poligonie w Ślubowie… to niedaleko Szczytna. Poprzedniego dnia przebazowali się do Szyman, aby było bliżej, a ponieważ pora była wrześniowa i rejon obfitował w wielkie ilości grzybów, ruszyło bractwo nazbierać tych dobroci. Wieczorem przy ognisku i wspaniale przyrządzonych grzybkach, popłynęły opowieści lotnicze.

– Przypomina mi się, jak lataliśmy kiedyś na bombardowanie w składzie klucza – zaczął jeden z instruktorów. – Dowódca klucza przed lotem zebrał towarzystwo i dał jasne wytyczne.

– Pamiętajcie, bomby zrzucać tylko na moją komendę.

Rozeszli się do samolotów i polecieli. Przy dolocie do poligonu dowódca klucza chciał przypomnieć o tym, co powiedział i wydał taką komendę.

– Uwaga grupa… zrzut tylko na moją komendę!

Jeden z grupy na słowo „zrzut" nie wytrzymał, dał po spustach i bomby poooszłyyy! Reszta wyrzuciła bomby zgodnie z planem i z duszą na ramieniu wrócili na lotnisko. Zgłosili fakt i pozostało tylko czekać, czy ktoś nie ucierpiał. Po parunastu minutach zadzwonił jakiś sierżant z poligonu chemicznego, który był nieopodal lotniczego i poprosił, aby podziękować temu pilotowi, który, cytuję „j...ł bombami w poligon".

Na pytanie za co mają być te podziękowania, odpowiedział:

– Wojsko mi się od rana rozlazło po krzakach i nijak ich pozbierać nie mogłem. Jak p...ęło to wszyscy w 3 minuty się znaleźli.

Ach, te buty...

Wreszcie wróciło lato i „lotna pogoda". Więcej latania i od razu lepszy nastrój, aż chce się żyć. Przestają mnie wtedy nurtować wątpliwości, czy dobrze robię, decydując się na zostanie pilotem wojskowym. „Telu" z „Kangurem" już się zdecydowali. „Telu" idzie do cywila, a „Kangur" jak powiedział, rzucił monetą i wyszło, że zostaje w WOSL-u, bo mu zaproponowano szkolenie na AN-2 z perspektywą latania po ukończeniu szkoły na samolotach transportowych. Też dobrze. Mnie coraz bardziej bawi latanie na odrzutowcach, więc wątpliwości idą na bok. Ćwiczenia coraz bardziej złożone, wyższy stopień trudności, ale i większa satysfakcja, jeśli poszło dobrze. Zaliczam loty na prędkościach okołodźwiękowych, z instruktorem oczywiście, aby zapoznać się ze zjawiskiem kryzysu falowego. Lim samolotem naddźwiękowym nie jest, ale ociera się już o barierę dźwięku i trzeba być zaznajomionym ze zjawiskiem utraty sterowności przy prędkości około 0.96-0.98M. Jak by się uparł, to w locie nurkowym można by go przez barierę dźwięku przepchnąć, ale – jak mawia nasz nawigator eskadry – „osobiście nie radzę tego robić, bo i tak już o tym nikomu nie będziecie mogli opowiedzieć". Wiadomo, co ma na myśli. Loty w szyku, w składzie pary czy klucza, loty po trasach na małej wysokości, czy latanie wg przyrządów.

Tylko zawsze w łyżce miodu musi być trochę dziegciu. Wiadomo, że wojsko stoi na dyscyplinie i bezwzględnym podporządkowaniu i chociaż samo latanie tak ma się do wojska jak słoń do składu porcelany, to jednak jest to lotnictwo wojskowe i dyskutować nie ma tutaj o czym. Są jednak ludzie i ludzie. Większość instruktorów to wspaniałe osoby i wspaniali lotnicy. Np. mój instruktor Marian „Trampek" Piotrowski, czy „Dziadek" Palak, z którymi latam najczęściej, ale jest też wymagający „Kokocha" ze swoim sarkastycznym poczuciem humoru i ciętym językiem. Są dla nas niekwestionowanymi autorytetami i nie potrzebują żadnych instrumentów jakże bogatego zasobu drylu wojskowego, aby utrzymać nas – cytuję słowa jednego z wysokich osobistości z komendy szkoły – „ów mikroelement, czyli podchorążego w makrostrukturze, w wysokim rytmie wychowawczym". Są jednak tacy, którzy uważają, że tylko siłą autorytetu, nie da się tego „mikroelementu" w owej mitycznej „makrostrukturze" odpowiednio utrzymać, więc stosują w swoich działaniach stare, wypróbowane, wojskowe metody, a jak Szanowny Czytelnik, który nie zna armii z tamtych czasów (dzisiejszych wojskowych metod nie znam) może się tylko domyślać, wojsko oferowało baaardzo szeroki wachlarz.

Mam zaplanowany lot w składzie pary. Prowadzący to mjr P. „krótkie nóżki, krótkie włoski to nasz major P….ski", taki wierszyk ułożył Krzysiek Geldner i tak już zostało. Pan major ma skaner w oczach i kiedy mu się melduję przed lotem, jest ode mnie niższy o głowę, robi szybki skan zaczynając od góry i zadzierając swoją, kończąc na samym dole. Oblicze mu się marszczy z niezadowolenia i już wiem, że pierwsze punkty ujemne już mam.

– Obywatelu podchorąży… mamusia butów nie wyczyściła? – pyta złośliwie po zakończeniu skanowania.

Mamusia nigdy mi butów nie czyściła, ale widocznie nie dość usilnie starała się mnie tego nauczyć, albo synek był mało pojętny, bo wygląd moich butów bardzo zniesmacza pana majora. Jeszcze jeden szczegół boli pana majora.

– Przecież zarządzałem i zwracałem na to wiele razy uwagę, że buty mają być zasznurowane w jodełkę, a nie w drabinkę. A wy co?

Właśnie, a ja co… jeden w jodełkę, a drugi w drabinkę. Taki stan rzeczy mógłby nawet wojskowego anioła wyprowadzić z równowagi, a cóż dopiero majora P. Wszystko to pachnie mi następną „działką", przecież to typowy przykład niezdyscyplinowania.

– Porozmawiamy o tym później, a teraz proszę omówić treść zadania.

Tutaj na szczęście recytuję wszystko bezbłędnie i pan major usatysfakcjonowany moją odpowiedzią, w dalszym ciągu patrząc z niesmakiem na moje buty, rzuca komendę na pójście do samolotów. Zajmuję miejsce w kabinie, mechanik pomaga mi zapiąć pasy i po wykonaniu rutynowych czynności, uruchamiam silnik i po chwili jestem gotowy do kołowania. Zajmujemy miejsce na pasie, a w oddali, na jego przedłużeniu widać potężnie rozbudowany *cumulus congestus*. To jeszcze nie burzowy *cumulonimbus*, ale jest duża szansa, że

się nim stanie. Zresztą meteo nie wykluczało możliwości wystąpienia lokalnych burz. Na szczęście to nie moje zmartwienie. Na razie, nie ja tu dowodzę. Na komendę prowadzącego zwiększam obroty i zwalniam hamulce. Samoloty zaczynają toczyć się po pasie, szybko nabierając prędkości. Razem podnosimy przednia koła i razem odrywamy się od pasa. Sięgam do dźwigni chowania podwozia i przestawiam w górne położenie, koła zaczynają się chować z charakterystycznym hałasem. Hałasuje przednie, bo koła głównego podwozia, po oderwaniu, hamuje się, naciskając pedały hamulca, które znajdują się na orczyku steru kierunku. Gasną zielone lampki sygnalizacji i po chwili zapalają się czerwone, co oznacza, że podwozie jest schowane i zablokowane w tej pozycji. Teraz trzeba dźwignię przestawić w pozycję neutralną, aby instalacja hydrauliczna niepotrzebnie nie była ciągle pod ciśnieniem kilkudziesięciu atmosfer. Sięgam ręką do dźwigni i w momencie przestawiania samolotem targa silny wstrząs. Bywają takie sytuacje w powietrzu, zwłaszcza niezbyt wysoko nad ziemią i w słoneczny dzień. W końcu atmosfera to nie monolit. Ręka leci trochę za bardzo do dołu, a podwozie wypada z hukiem. Szybko przestawiam z powrotem na schowane i mimo, że natychmiast dodaję obrotów, to jednak prowadzący już zdążył odskoczyć mi na dobrych 50 m. Powtarzam szybko operację chowania, od początku bacznie zwracając uwagę, aby błędu nie powtórzyć, ale ten z przodu już schował klapy i odległość jeszcze bardziej się zwiększa. Więc szybko klapy do zera, jeszcze więcej obrotów i usiłuję zająć swoje miejsce w szyku. Pan major rozpoczyna zakręt w lewo, a ja, mając doświadczenie nieopierzonego kaczora, nie redukuję na czas obrotów i wynosi mnie do przodu. Na dodatek prowadzący samolot chowa mi się niebezpiecznie pod skrzydło. Pierwszy odruch to odskoczyć w prawo, aby mieć go w polu widzenia. Ten zauważył, że mam problemy, wyrównał lot, a ja, wysłuchując jego cierpkich komentarzy, powoli zająłem swoje miejsce. Dalej już poszło dużo lepiej, a nagrodą były piękne widoki, kiedy łaziliśmy między wypiętrzonymi wieżycami *congestusów*. Zdaje się, że majora P. też te widoki trochę urzekły, bo oszczędził mi uwag, kiedy w nurkowaniu zdarzało mi się trochę odstać lub za bardzo wyjść do przodu.

Skończyliśmy zadanie i poszliśmy w stronę lotniska... a tu niespodzianka. Przyszedł silny opad deszczu, obniżyła się podstawa chmur, sięgała ledwie 350-400m i widzialność spadła do około 4-5 km. Nie mogłem lądować parą i musiałem sobie radzić sam. Na ziemi trochę się denerwowali, ale prowadzący podprowadził mnie w szyku na prostą i usiadłem bez problemu w rozbryzgach wody, a on poszedł na drugi krąg i po chwili też wylądował.

– Melduję się po locie – stanąłem regulaminowo przed nim na baczność, kiedy już znaleźliśmy się w domku pilota.

Znów zauważyłem szybki skan. To chyba u niego był odruch... i ten sam lekki grymas niezadowolenia. Zdaję się, że jego ogólnowojskowa dusza na powrót cierpiała. Potem nastąpiła długa tyrada na temat tego, co nawywijałem. Podsumowanie mnie zaskoczyło.

– Lot do przyjęcia, jakoś się wybroniłeś, ale te buty… te buty… Popraw się, chłopie!

kpt. Marian Rybczyński

Marian Rybczyński urodził się 8 grudnia 1953 r. w Siennicy Różanej. Zainteresowania krótkofalarstwem skłoniły go do podjęcia nauki w technikum łączności (1968-73). Wyższą Oficerską Szkołę Lotniczą w Dęblinie na kierunku samoloty odrzutowe ukończył w 1978 r. Służył w Pułku Lotnictwa Myśliwskiego Poznań-Krzesiny, a następnie w Łasku. Prowadził tam samoloty: Lim-5, Mig-21, An-2, PZL-104 Wilga. Od 1987 roku zatrudniony w PLL LOT początkowo jako II pilot, a następnie kapitan samolotów AN-24, TU-134 i B-767. W latach 2004-2018 pracuje w Singapore Airlines (Singapur), a później Asiana Airlines (Korea Południowa) jako kapitan największych samolotów boeing B-747-400 potocznie zwanych Jumbo Jet. Przelatał 23 000 godzin. Obecnie jako emeryt zamierza wydać w formie książkowej wspomnienia, które cyklicznie publikujemy w „Nestorze". Mieszka w podwarszawskiej miejscowości z żoną Barbarą, nauczycielką matematyki. Syn Bartosz poszedł w ślady ojca i jest kapitanem-instruktorem B 737 w Ryanair (Irlandia).

Urszula Katarzyna Bydlińska – poetka, malarka, córka Henryki i Bogdana Bydlińskich urodzona w Siedliszczu nad Wieprzem. Debiutowała w 2003 roku wierszem „Biedronka" na łamach tygodnika „Agora". Twórczość poetycką i plastyczną prezentowała w Czasopiśmie artystycznym „Nestor", a także w periodykach „Kozirynek", „Słowem i Kształtem", „Bezkres", blogu literackim „Czytadło" oraz w zbiorach poetyckich: „Otuleni blaskiem serc", „Rozbujani w obłokach", „Pobudka" i „Kruche słowa". Otrzymała III nagrodę w 29. Ogólnopolskim Konkursie Literackim Prozy i Poezji 2022 osób niepełnosprawnych w Krakowie. W tymże roku wydała debiutancki tomik poezji „Otulam się Tobą", a rok później tomik „Zabłądziłam".

Urszula Katarzyna Bydlińska

***
Zanurzam dłonie
w liściu miłorzębu
wyzłoconym słońcem
października
powietrze pachnie
jesienią i opieńkami
pod stopami
kraśnieją muchomory
skryte w trawach
wśród brzóz

kolejny rok
odpływa na szaroburych
obłokach
gnanych północnym
wiatrem

za kroplami deszczu
ukryła się tęsknota

***
Depczesz moje serce
słowami jak nożem
kaleczysz na wskroś
i jednym uśmiechem
znów zapalasz gwiazdy
zabijasz czułość

Poezja – Urszula Katarzyna Bydlińska

ranisz obojętnością
twój chłód
moja nadzieja
bez nadziei

Słodko-gorzkie tête-à-tête

***
Chryste podlaski
z wysokiego krzyża
patrzysz na mnie wzrokiem
najczulszej miłości

u Twych stóp składam
smutki i cierpienia
małe krzyżyki
mojej codzienności

klękam ze łzami
przed Twoim obliczem
proszę abyś zabrał
ciernie z mojej drogi

a Ty mój Boże
Skrwawiony Zbolały
przyjmujesz znowu
mych grzechów ostrogi

O poezji

Kim jestem poezjo
w służbie twojej liryki
narzędziem
w dźwięcznych strofach
rymem
wolnym wierszem
nośnikiem myśli
nieuczesanych

przychodzisz z weną
rozpalasz zmysły

odchodzisz

chwytam ulotność chwili
zawsze za tobą
o krok
ja grafomanka
czy poetka

Przypowieść

Panie Ty dzielisz talentami
ten je rozmnoży
inny schowa
a trzeci weźmie i zakopie
byś nie miał więcej niż darował

Od wieków schemat się powtarza
i rzecz to ma być rozeznana
ukryć talenty i biadolić
czy dzielić je chwałę Pana

Dylemat mam i ja niemały
gdy coś napiszę lub zmaluję
czy to jest owy talent Pana
czy zwykłe szkiełko
co bryluje

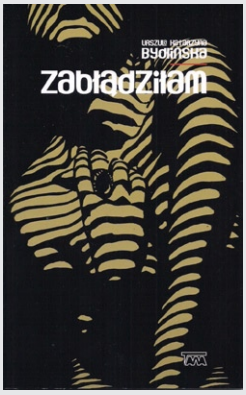

Urszula Katarzyna Bydlińska, „Zabłądziłam", TAWA, Chełm 2023, ss. 80.

***
Wysyłasz mi serduszka
na Messengerze
i rumiane zawstydzone buziaki
uśmiecham się do
telefonu
rozczulona czułością
on line
i smucę się
że bliskość zamykamy
w ikonach
stukocie klawiatury

złapani w sieć
samotni nowocześni

Janusz Wanot

„Per aspera ad astra"[1] – wspomnienie Gregor Paul Wanot

(26.08.1981 Gdańsk, Polska – 17.12.2022 Osterholz-Scharmbeck, Niemcy)

Nasz syn Gregor, prawnuk zamieszkałej w Krasnymstawie rodziny Rusinek, urodził się w Gdańsku w bardzo trudnym 1981 roku – wypełnionym częstymi strajkami „Solidarności" i początkiem stanu wojennego w Polsce. Już jako dziecko najczęściej malował samoloty i rakiety. Zawsze marzył, aby lecieć wysoko do gwiazd. W wieku 6 lat, po kilkumiesięcznej, strasznej dla nas wszystkich rozłące, dotarł szczęśliwie do nas, do Niemiec. Nie tylko w szkole pasjonowała Go matematyka, fizyka i chemia. Później stopniowo pojawiło się zainteresowanie do informatyki, filozofii, polityki i zagadnień gospodarczych. Wszystkie te kierunki z czasem coraz bardziej uzupełniały jego szerokie umiejętności techniczne. Mając jedynie 16 lat, zaczął pomagać w moim biurze projektowym w przygotowywaniu modeli komputerowych do obliczeń i symulacji drgań i wytrzymałości różnych statków nawodnych. Z wieloma zagadnieniami budowy statków i gigajachtów oraz z podstawami aeromechaniki i hydromechaniki zapoznał się więc już w naszym domu. Zaraz po maturze, którą zdał w gimnazjum w Norderstedt, z własnej inicjatywy zgłosił się do służby wojskowej w lotnictwie. Chciał zostać pilotem wojskowym, gdyż była to jego zdaniem najwłaściwsza droga, aby później móc zostać astronautą – co było jego marzeniem. Jednak z powodów zdrowotnych nie został przyjęty do lotnictwa. Studiował najpierw budowę maszyn w Hamburgu, a następnie przeniósł się do Akwizgranu, aby studiować budowę rakiet i pojazdów kosmicznych pogłębioną dodatkowo przedmiotami o budowie samolotów. Posługiwał się kilkoma językami europejskimi. Kilkumiesięczną praktykę przeddyplomową spędził w Uniwersytecie w Gießen, pracując w międzynarodowym

[1] „Per aspera ad astra" – łac. „Przez trudy do gwiazd". Parafraza z utworu rzymskiego filozofa Seneki Młodszego (ok. 4 r. p.n.e. – 65 r. n.e.).

zespole fizyków teoretycznych, którzy zajmowali się fizyką plazmy. Praktyka ta zaowocowała nie tylko dyplomem w dziedzinie napędów jonowych. Gregor, już jako młody inżynier, w swojej pierwszej pracy skonstruował i nadzorował budowę najsprawniejszych rakiet jonowych na świecie. Udało mu się poprawić efektywność tych rakiet aż o około 14%. Używane są one głównie do sterowania satelitami.

Jeszcze w latach szkolnych związał się z klubem tanecznym TSC Astoria w Norderstedt. Do jesieni 2022 roku występował corocznie w niezwykle profesjonalnie przygotowywanych w tym klubie różnych musicalach. Była to jego społeczna pasja i hobby. W ostatnich latach pracował w AIRBUS Defence and Space GmbH w Bremie i mieszkał właśnie w pobliżu tego miasta. We wrześniu 2022 roku przeprowadziliśmy się spod Hamburga pod Bremę, aby mieszkać jedynie kilka kilometrów od jego domu i cieszyć się nim i szczęściem jego młodej rodziny. Szczęście jego rodziny było dla niego niezwykle ważne i wypełniało radością jego bardzo intensywne życie. Miał coraz to nowe plany zawodowe i rodzinne, które zawsze konsekwentnie realizował. Współpracował przy projekcie nowej europejskiej rakiety Ariane 6, której pierwszy start odbędzie się w najbliższym czasie. Był bardzo dumny z projektu i budowy europejskiego modułu serwisowego ESM[2] dla amerykańskiej kapsuły ORION realizowanego w tym czasie właśnie w firmie AIRBUS w Bremie. W ramach tego projektu Gregor zaprojektował moduł napędowy używany do transportu kapsuły ORION z orbity okołoziemskiej do Księżyca i z powrotem. Kapsuła ta ma w najbliższym czasie wynieść astronautów ponownie na Księżyc lub później prawdopodobnie także na Marsa. 16 listopada 2022 roku, w ramach programu NASA[3] wystartowała pierwsza amerykańska, testująca misja Artemis I, która wyniosła pierwszą kapsułę ORION na orbitę wokół Księżyca. To była duża radość nie tylko w firmie Gregora, ale także w naszej rodzinie. 11 grudnia 2022 roku kapsuła ta wróciła z wielkim sukcesem na Ziemię. Wielki sukces także dla naszego syna. Niestety, już następnego dnia Gregor znalazł się w szpitalu, gdzie niespodziewanie zmarł nad ranem 17 grudnia. Jego nadwątlone dwoma bardzo poważnymi operacjami serce nie wytrzymało długotrwałej wysokiej temperatury, która go gnębiła. Zasnął w nocy i jego serce przestało bić. Miał jedynie 41 lat i jeszcze wiele celów przed sobą. Zawsze marzył, aby lecieć do gwiazd i w ten straszliwy dla nas sposób odleciał tam na zawsze. Pozostawił w naszych sercach i sercach swojej kochanej rodziny straszliwą pustkę i niemożliwy do opisania ból po stracie jedynego dziecka, męża i ojca oraz wnuka. Gregor pozostawił swoją niedawno poślubioną żonę Alinę oraz dwójkę dzieci: syna Joela (8 lat) i malutką córeczkę Jesenię (1 rok), których strasznie kochał i cieszył się z każdej spędzonej z nimi chwili. Gregor pochowany został 27 grudnia 2022 roku w Pennigbüttel na małym cmentarzyku-parku niedaleko od swojego domu, w malowniczej okolicy, po której wcześniej uwielbiał spacerować razem ze swoją rodziną.

Kilka tygodni później rodzina otrzymała dyplom przesłany dla Gregora z podziękowaniami za jego niezwykle istotny wkład w konstrukcję i sukces programu Artemis I, podpisany przez szafa programu NASA Howarda Hu oraz szefa europejskiego projektu ESA[4] Philippe Deloo.

Byliśmy zawsze i jesteśmy nadal bardzo dumni z naszego syna Gregora. Pozostał jednak tylko straszliwy ból.

Veronika Wanot i dr inż. Janusz Wanot

Fotograficzne wspomnienie:

Gregor Wanot.

[2] ESM – *European Service Module*.

[3] NASA – *National Aeronautics and Space Administration* – Agencja Kosmiczna USA.

[4] ESA – *European Space Agency* – Europejska Agencja Kosmiczna.

Gregor Wanot z dziećmi.

Misja Artemis I przed startem oraz kapsuła ORION z modułem ESM w drodze do Księżyca (źródło: NASA).

Gregor Wanot.

Pomnik w Pennigbüttel.

Dyplom NASA i ESA dla Gregora Wanota.

Dr inż. Janusz Wanot urodził się 1954 r. w Krasnymstawie, rodzinnym mieście swej matki Janiny z d. Rusinek. Mieszkał w Piekarach Śląskich, skąd pochodził jego ojciec Józef Wanot. Później w Puławach, gdzie zdał maturę w LO im. Księcia Adama J. Czartoryskiego. Po ukończeniu Instytutu Okrętowego Politechniki Gdańskiej, w 1978 r. został tamże asystentem w Zakładzie Hydromechaniki Okrętu. W latach 1983-87 był wykładowcą, gdzie uzyskał stopień doktora nauk technicznych i stanowisko adiunkta. W 1987 roku wraz z rodziną zamieszkał w Niemczech. Na uniwersytecie oraz w Ośrodku Badawczym Niemieckiego Przemysłu Okrętowego w Hamburgu kontynuował pracę naukową. Od 1996 r. we własnym biurze zajmuje się projektowaniem oraz obliczeniami symulacyjnymi i numerycznymi statków, samolotów, pojazdów i maszyn oraz konstrukcji lądowych. Do znaczących projektów należą m.in.:

- jedyny na świecie statek napędzany dodatkowo przez 4 rotory Flettnera na swoim pokładzie – „E-Ship 1",
- kontenerowce z największym w swoim czasie na świecie „MS Hamburg Express" (7500 TEU),
- szybkie promy samochodowo-pasażerskie, luksusowe statki pasażerskie oraz jachty z największym na świecie włącznie.

Elżbieta Patyk

Wystawa „Kopernik 550” w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie

Senat RP ustanowił rok 2023 Rokiem Mikołaja Kopernika. Datę powiązano 550 rocznicą urodzin i 480 rocznicą śmierci Mikołaja Kopernika. Senat RP zwrócił się do uczelni, szkół, organizacji społecznych i mediów o popularyzację postaci Mikołaja Kopernika, który nie tylko dokonał jednego z najważniejszych odkryć w historii ludzkości, ale zapoczątkował również rewolucję naukową, która zmieniła postrzeganie świata. Mikołaj Kopernik urodził się w 1473 r. w Toruniu, w rodzinie kupieckiej. Był polskim prawnikiem, urzędnikiem, dyplomatą, lekarzem, niższym duchownym katolickim, doktorem prawa kanonicznego, zajmującym się również astronomią, matematyką, ekonomią, strategią wojskową, kartografią i filologią.

W piątek, 2 czerwca 2023 r. w Bibliotece Powiatowej w Krasnymstawie odbyło się otwarcie wystawy poświęconej Mikołajowi Kopernikowi. Swoje bogate i różnorodne zbiory zaprezentował Wiesław Krajewski. Na wystawie znalazło się kilkaset eksponatów, między innymi: książki, znaczki, koperty, kartki pocztowe, widokówki, gadżety, drobiazgi, monety, medale, numizmaty, banknoty, plakaty, kalendarze ścienne, wyroby alkoholowe i spożywcze (pierniczki), portrety, rysunki, obrazy. Część eksponatów pochodziła z roku 1973 – 500-lecia urodzin astronoma.

W południe młodzież z I LO im. Władysława Jagiełły, II LO im. Cypriana Kamila Norwida i dyrektorzy bibliotek powiatu krasnostawskiego wysłuchali prelekcji Wiesława Krajewskiego oraz obejrzeli wystawę. Po południu do biblioteki przybyli miłośnicy astronomii nie tylko z Krasnegostawu, ale i z Lublina czy Otwocka.

Uzupełnieniem wystawy była prezentacja multimedialna Wiesława Krajewskiego „Jeden obraz, ksiąg sześć... i jeszcze trochę”. Prelegent mówił o obrazie Jana Matejki „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem”. W centrum kompozycji widzimy Kopernika, który przyklęknął i zwrócił wzrok ku niebu. Prawą dłoń wznosi w górę, w lewej trzyma cyrkiel. Oderwany od pracy, wydaje się czymś poruszony. Pełną powagi twarz okalają bujne, ciemne loki – charakterystyczna fryzura znana z jego portretów. Na jego głowie można dostrzec także czarną piuskę, oznakę stanu duchownego. Ubrany jest w ciemnozielony, podbity futrem płaszcz, narzucony na czarny strój. Dowiedzieliśmy się między innymi, jak powstawał obraz. Matejko przygotowywał się do malowania sceny osadzonej w realiach historycznych. Z wyprzedzeniem gromadził informacje na temat życia Kopernika i astronomii, a ze zbiorów Uniwersytetu i Biblioteki Jagiellońskiej wypożyczył niezbędne rekwizyty. Pierwsze szkice kompozycji artysta zaczął przygotowywać w latach 1871-1872. Pracę nad ostatecznym obrazem rozpoczął latem 1872 roku. Matejko inspirował się zachowanymi wizerunkami Kopernika. Starał się jednak znaleźć żywy model, którego wygląd odpowiadałby jego wizji postaci astronoma. W tym przypadku wybór padł na Henryka Levittoux – lekarza i miłośnika sztuki, a prywatnie przyjaciela artysty. Na obrazie astronoma otaczają narzędzia pracy, które przypominają o jego badaniach i odkryciach: tablica ze schematem Układu Słonecznego, trikwetrum (trójkąt paralaktyczny), otwarte księgi, arkusz papieru z wykresem, czarny kałamarz, zwijana miarka calowa, szeroki cyrkiel proporcjonalny (zwany też cyrklem Galileusza) czy luneta. Oba te przyrządy były nieznane w czasach Kopernika, ale artysta chciał w ten sposób uczynić aluzję do osoby Galileusza i przyszłego oddziaływania teorii heliocentrycznej. Matejko ukończył obraz na początku jubileuszowego roku 1873. Pokazu dzieła nie uwzględniono jednak w oficjalnym programie obchodów planowanych w Krakowie. Matejko samodzielnie zorganizował wystawę, a dochód z biletów przeznaczył na cele dobroczynne. Obraz zakupiono ze składek publicznych i przekazano Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, gdzie znajduje się do dziś.

Prelegent opowiedział też o dziele Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium” („O obrotach sfer niebieskich”), w którym astronom przedstawił założenia heliocentrycznej budowy świata, co doprowadziło do tzw. przewrotu kopernikańskiego. Po raz pierwszy dzieło ukazało się drukiem w Norymberdze w 1543 r. Przez dwieście lat znajdowało się na „Indeksie ksiąg zakazanych”.

W 1854 r. ukazał się pierwszy polski przekład dokonany przez Jana Baranowskiego, polskiego astronoma związanego z Lublinem. Mogliśmy zobaczyć i obejrzeć reprint tej książki.

Starosta Andrzej Leńczuk w imieniu zebranych podziękował Wiesławowi Krajewskiemu za interesujący wykład, jego zaangażowanie i pasję. Podczas oglądania wystawy mogliśmy degustować toruńskie pierniczki.

Elżbieta Patyk
dyrektor Powiatowej Biblioteki Publicznej
w Krasnymstawie.

Monika Nagowska

V Wojewódzki Konkurs Fotograficzny im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album”

W Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej odbyła się piąta edycja Wojewódzkiego Konkursu Fotograficznego im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album”. Współorganizatorem przedsięwzięcia – podobnie jak w latach poprzednich – było Nadleśnictwo Krasnystaw. Honorowym patronatem konkurs objął minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Konkurs został włączony do wykazu zawodów wiedzy, artystycznych i sportowych Lubelskiego Kuratora Oświaty i jest punktowany przy rekrutacji do szkół ponadpodstawowych. W gronie partnerów wspierających organizację konkursu znaleźli się również: Gmina Siennica Różana, Koło Łowieckie nr 6 „Jarząbek” i Sklep Mundurowy WOJ-POL z Trzebiatowa. Patronat medialny nad wydarzeniem objęło Czasopismo artystyczne „Nestor”.

Celem konkursu jest propagowanie postawy szacunku wobec dziedzictwa przyrodniczego, jakim są lasy, oraz rozwijanie zainteresowań związanych ze sztuką fotografii i promowanie młodych talentów. Komisję konkursową tworzyli: Paweł Zawiślak (nadleśniczy Nadleśnictwa Krasnystaw) – przewodniczący, Stanisław Buk (dyrektor Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej), Monika Krysiak (przedstawiciel Nadleśnictwa Krasnystaw), Ewa Dobrzańska-Mochniej (wicedyrektor Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej), Michał Żywot (artysta fotograf) oraz Monika Nagowska (sekretarz). Do konkursu zgłosiło się 209 uczniów, którzy łącznie przesłali 604 prace. Komisja nie zakwalifikowała 2 osób z przyczyn formalnych i 16 fotografii (6 z przyczyn formalnych i 10 z uwagi na niezgodność z tematem). Następnie komisja dokonała oceny i wyłoniła autorów najlepszych fotografii.

Oficjalne ogłoszenie wyników odbyło się podczas „Siennickich Augustynek”, czyli Dnia Patrona połączonego z Dniem Otwartym Szkoły. Oprócz przedstawicieli Nadleśnictwa Krasnystaw, uroczystość zaszczycili swoją obecnością: Dariusz Kostecki (przedstawiciel Lubelskiego Kuratora Oświaty), Leszek Proskura (wójt Gminy Siennica Różana), Mariusz Łoza i Mirosław Sołtys (przedstawiciele Koła Łowieckiego nr 6 „Jarząbek”), Agnieszka Poźniak (dyrektor Centrum Kultury w Siennicy Różanej), Amelia Hopko (przewodnicząca Rady Rodziców) oraz licznie przybyli uczestnicy konkursu i ich opiekunowie artystyczni, a także dyrektorzy szkół podstawowych i rodzice. Przed zgromadzonymi gośćmi z przemówieniami wystąpili: dyrektor Stanisław Buk, wójt Leszek Proskura oraz przedstawiciel Lubelskiego Kuratora Oświaty Dariusz Kostecki. Dokonano też uroczystego otwarcia wystawy „Znani-nieznani Polacy”, której przesłanie objaśniła Ewa Dobrzańska-Mochniej, odczytując referat przygotowany przez dyrektora Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie Hannę Krajewską. Ekspozycja ta została zorganizowana w ramach programu „Polacy światu”, realizowanego przez Departament Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

W dalszej części uroczystości dokonano oficjalnego podsumowania V Wojewódzkiego Konkursu Fotograficznego im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album”. Komisja przyznała nagrody za I, II i III miejsce w dwóch kategoriach wiekowych i wyróżnienia dla 6 osób. Wyróżnienia dla 8 osób przyznało też Koło Łowieckie nr 6 „Jarząbek”. Nagrody ufundowali: minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Zespół Szkół CKR w Siennicy Różanej, Nadleśnictwo Krasnystaw, Gmina Siennica Różana,

fot. Anna Kowalik

Koło Łowieckie nr 6 „Jarząbek: i Sklep Mundurowy WOJ-POL. Dla laureatów przygotowano oprawione i opisane fotografie, plecaki wraz z zawartością, lornetki, wojskowe latarki, głośniki przenośne, albumy, kubki termiczne i wiele innych upominków. Dyplomy i nagrody wręczali: Paweł Zawiślak, Stanisław Buk, Leszek Proskura, Michał Żywot, Mirosław Sołtys i Mariusz Łoza.

Kolejne miejsca w V Wojewódzkim Konkursie Fotograficznym im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album" zdobyli:

W kategorii szkół podstawowych (klasy VII i VIII):

I miejsce – **Lena Kozorys**
„Złoty skarb lasu" i „Tajemniczy leśny mikroświat" (SP nr 6 w Zamościu),

II miejsce – **Marcin Szustak**
„Las o poranku" (SP nr 4 w Chełmie),

III miejsce – **Błażej Daczka**
„Czarno na białym" (SP nr 5 w Krasnymstawie).

W kategorii szkół prowadzonych przez ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi:

I miejsce – **Dymitr Szwałek**
„Las łęgowy we mgle – przełom Bugu" i „Podejrzany w Rezerwacie Przyrody Chmielinne" (Zespół Szkół CKR w Leśnej Podlaskiej),

II miejsce – **Dominik Hawryluk**
„Szukając odbicia ciszy" (Zespół Szkół CKR w Siennicy Różanej),

III miejsce – **Małgorzata Iwaniec**
„Siewca lasu" (Zespół Szkół CKR w Różańcu).

Komisja postanowiła wyróżnić prace następujących uczniów (w kolejności alfabetycznej):

Aleksandra Bielecka „Jesienny las"
(SP nr 3 w Szczebrzeszynie),

Krzysztof Haratym „Tajemniczy wąwóz"
(SP w Fajsławicach),

Sebastian Iwaniak „Zimowe pole"
(SP w Świerszczowie),

Karina Marek „Mały wodospad"
(SP w Fajsławicach),

Amelia Siostrzankowska „Wiosenna zieleń"
(SP nr 3 w Szczebrzeszynie),

Michał Soja „Zamyślenie"
(SP nr 4 w Chełmie).

Koło Łowieckie nr 6 „Jarząbek" przyznało wyróżnienia następującym uczniom (w kolejności alfabetycznej):

Rafał Bartnik „Górski zielony stoczek"
(SP w Wysokiem),

Martyna Buda „Las muśnięty promykiem słońca"
(SP w Cześnikach),

Jakub Danicki „Mleczna dolina"
(Zespół Szkół CKR w Okszowie),

Gabriel Iwaniuk „Kraina drzew"
(SP w Mełgwi),

Anna Lipko „Las w płomieniach słońca"
(SP w Rejowcu),

Agata Sikora „W promieniach zachodzącego słońca" (SP w Wielączy),

Julia Świstowska „Złota polska jesień"
(SP w Wielączy Kolonii),

Zofia Ziemińska „Las do góry nogami"
(SP w Pniówku).

fot. Anna Kowalik

Dla wszystkich uczestników i ich nauczycieli obecnych na uroczystości przygotowano upominki i podziękowania za udział w konkursie. Prace wyeksponowano na wystawie pokonkursowej, a wybrane fotografie każdego z uczniów znalazły się w prezentacji multimedialnej odtworzonej podczas uroczystości. W konkursie swoją reprezentację miały szkoły z następujących miejscowości: Borowina Sitaniecka, Bystrzejowice Pierwsze, Chełm (szkoły nr 4, 5 i 7), Chłaniów, Cyców, Cześniki, Dębowiec, Dorohusk, Fajsławice, Gdeszyn, Jacków, Kotlice, Krasnobród, Krasnystaw (szkoły nr 1, 3, 4 i 5), Krzesimów, Leśna Podlaska, Łopiennik Dolny, Małochwiej Duży, Mełgiew, Nieledew, Nielisz, Okszów, Orłów Drewniany, Pniówek, Rejowiec, Różaniec, Rudnik, Sawin, Siennica Nadolna, Siennica Różana, Skierbieszów, Staw, Strupin Duży, Szczebrzeszyn (szkoły nr 1 i 3), Świerszczów, Tarnogóra, Trawniki, Trzeszczany, Wielącza, Wielącza Kolonia, Wólka Wieprzecka, Wysokie i Zamość.

Monika Nagowska

Monika Nagowska (1967). Nauczyciel-bibliotekarz Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej. Poetka, malarka, animatorka kultury, redaktorka i autorka książek.

Prace z XX powiatowego konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie

Nagrody:

Karol Banaszkiewicz – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „Legenda o skarbie Trojana”. Opiekun: Barbara Grzegorzewska

Szymon Charkot – Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie, „Legenda o Królu Siennickim”. Opiekun: Małgorzata Wit

Anna Choma – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „Legenda o nimfie z pięknego stawu”. Opiekun: Barbara Grzegorzewska

Alicja Kilian – Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie, „Legenda o powstaniu wsi Wiśniów”. Opiekun: Małgorzata Wit

Jakub Kowalski – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „Legenda o Szczeku, dwóch złotych karpiach i zaklętym grodzie Szczekarzew”. Opiekun: Barbara Grzegorzewska

Szymon Pudło – Szkoła Podstawowa im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego w Żółkiewce, „Legenda o Żółkiewce”. Opiekun: Renata Drozd

Wyróżnienia:

Jakub Alitojć – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „Duchy z zamku w Krupem”. Opiekun: Grażyna Wojtyna

Marcel Górski – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „Drzewo Trzech Braci”. Opiekun: Barbara Grzegorzewska

Julia Litwin – Szkoła Podstawowa w Krupem, „Legenda o zaradnym krupskim młynarzu”. Opiekun: Monika Korszla

Kamil Ołówka – Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie, „Legenda o powstaniu wsi Zażółkiew”. Opiekun: Małgorzata Wit

Milena Sołowiej – Szkoła Podstawowa im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego w Żółkiewce, „Stara olcha”. Opiekun: Renata Drozd
Kinga Świdnik – Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie, „Legenda o kapliczce na Krakowskim Przedmieściu”. Opiekun: Małgorzata Wit

Prace zakwalifikowane do publikacji:

Filip Olech – Szkoła Podstawowa w Fajsławicach, „Tymiankowa wieś – legenda o powstaniu Fajsławic”. Opiekun: Beata Świstowska
Jan Zdybel – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, **„**Legenda o trzech złotych karpiach”. Opiekun: Barbara Grzegorzewska

Nagrody:

Karol Banaszkiewicz

„Legenda o skarbie Trojana”

To legenda nie taka jak wszystkie, przekazana z dziada pradziada wnukom i prawnukom, ale taka, którą na wieczność przetrwania ukryto w murach krasnostawskiego miasta. To historia, którą poznasz dopiero wtedy, gdy pokochasz i splądrujesz wszystkie zakątki mojego miasta i okolic. Potrzeba cierpliwości, szukania wskazówek, a potwierdziła to, co przekazał mi mój dziadek…

Pod koniec XIV wieku we wsi Stębark nieopodal Grunwaldu – tak, właśnie tego Grunwaldu – w ubogiej, kowalskiej rodzinie urodziło się dwóch braci. Rodzice nadali im imiona Trojan i Urlich. Pierwszy wyrósł na silnego i rosłego chłopca, dla którego nie było rzeczy niemożliwych do wykonania. Drugi był natomiast wątlejszej postawy, o bystrym spojrzeniu, ciekawy świata. Pomimo dużego wysiłku ze strony rodziców, ich drogi ciągle się rozchodziły. Urlich, wbrew woli matki i ojca, udał się do Zakonu Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie i zamieszkał w Malborku. Pomimo cherlawej postawy, słynął z bezwzględności i brutalności. Za nic miał wszystko, co wpoili mu rodzice, a to wprawiało ich w rozpacz. Tępił i walczył z rodakami, co czyniło go zdrajcą. Trojan zaś, w obawie przed hańbą zdrady, udał się wraz z rodzicami do Spychowa, a następnie, jako że był doskonałym kowalem, wraz z rycerzami króla Jagiełły przybył do miasta nad rzeką Wieprz…

Gród, który do niedawna nazywano Szczekarzewem, po przybyciu Jagiełły otrzymał nazwę Krasnystaw. Trojan słynął w okolicy z niesamowitych zdolności. W swojej kuźni nie tylko kuł konie, ale różne ozdoby, narzędzia, broń, a także potrafił zrealizować najbardziej nietypowe życzenia. A potajemnie, nocami przez wiele tygodni kuł, kuł, aż wykuł… złotą zbroję, która do złudzenia przypominała prawdziwego rycerza. Trojan rozmawiał z nią, dawał wskazówki, opowiadał historię miasta, w którym zamieszkał.

Aż pewnego dnia okazało się, że zbroja zniknęła. Trojan nie mógł zrozumieć, jak to się stało, ale przecież nie mógł z nikim podzielić się tą historią, bo była to jego tajemnica. Rad nierad wrócił do swych codziennych zajęć. Pracowitość, uczciwość i szacunek dla ludzi sprawiły, że był coraz bardziej sławny w mieście i okolicach. Ludzie zaczęli przychodzić do niego z różnymi sprawami, a ostatecznie obdarzyli go niezwykłym zaufaniem i mianowali wójtem. Przez wiele lat godnie piastował tę funkcję. Często gościł samego króla. Z roku na rok czasy były coraz trudniejsze, a potęga Zakonu Krzyżackiego rosła i stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Wybuchła wojna. Okrutna, krwawa i nierówna walka dosięgła też naszego miasta, co prawda nie bezpośrednio, ale honoru Rzeczpospolitej przyszło nam bronić pod Grunwaldem. Dzięki kowalowi, ludność była dobrze wyposażona i przygotowana do walki. Trojan miał przewagę nad innymi rycerzami, bo teren wojny był mu doskonale znany. Król wyznaczył go na przewodnika swojej armii. Na polu walki doszło do strasznych pojedynków. Najgorszym jednak był ten, którego nikt nie przewidział i nie planował. Naprzeciwko siebie stanęli Urlich i Trojan. Nie sposób opisać, co tam się działo. Serce Trojana pękało z bólu, ale wiedział, że nie ma wyjścia. Walczył godnie, niestety przegrywał, czuł, że opada z sił. Nagle jego oczom ukazała się zaginiona złota zbroja. Swym blaskiem oślepiła Urlicha, co sprytnie wykorzystał Trojan. Uchylił się w bok, a wtedy żelazny rycerz zadał ostateczny cios przeciwnikowi. Urlich został zabity. Polscy rycerze pokonali Krzyżaków, zdobyli ich skarb. Trojan część łupu ukrył w zbroi rycerza. W nagrodę za pomoc

i odwagę Jagiełło nagrodził wójta Krasnegostawu włościami, które nazwano Orłów. Tam też, prawdopodobnie w swoim zamku, sławny wójt ukrył rycerza wypełnionego złotem. Inni twierdzą, że zbroja rycerza do dnia dzisiejszego strzeże ruin zamku w Krupem. Prawda jest taka, że tajemnicę skarbu strzegą łuski karpi, herbu wykutego przez Trojana i ukrytego w mieście na jednym z ośmiu kierunków świata. Nikomu, kto nie zna i nie kocha miasta nad Wieprzem, nikomu, kto to miasto kiedykolwiek opuści, nie uda się rozwiązać tej tajemnicy.

Oczywiście ja również próbowałem. Byłem na zamku w Krupem i wiem, że jest to miejsce bardzo tajemnicze. Znalazłem kilka znaków, które mogą potwierdzić, że być może jest tam ukryta zbroja… Ale prawdy nie poznałem… Kocham to miasto i chcę tu żyć, a być może to ja odnajdę skarb Trojana…

Karol Banaszkiewicz
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie

Szymon Charkot

„Legenda o Królu Siennickim"

Dawno temu, na wschód od grodu Krasnystaw, na podmokłych terenach osiadł nikomu nieznany człowiek. Przybył w te strony ze swoim skromnym dworem. Ponieważ nikt wcześniej nie chciał tutaj się osiedlić ze względu na ciągłe podtopienia i stojącą wodę, nikt też nie sprzeciwił się, gdy zrobił to właśnie nasz bohater. Jego podwładni nazywali go Królem Siennickim.

Szybko okazał się on bardzo dobrym człowiekiem. Był odważny i silny nie tylko do walki z wrogiem, ale też do walki z przeciwnościami terenu. Kochał swoją nową ziemię i swoich nowych mieszkańców. Ludzie, którzy zamieszkali blisko jego grodu też darzyli go szacunkiem. Udało mu się częściowo osuszyć tereny, na których zamieszkał. Pozostał już tylko do uporządkowania niewielki strumyk z wodą. Chciał go zasypać ziemią i ułożyć na nim kamienie. Pomyślał, że byłaby to dobra droga dla podróżujących. Jednak kiedy tylko jego służący wykonali zadanie, następnego dnia znów po powierzchni płynęła woda. I tak wielki Król Siennicki nie mógł uporać się z maleńkim strumykiem. Głowił się, co ma zrobić.

Pewnego wieczoru, kiedy siedział na schodach swojego domostwa, popadł w drzemkę. Miał dziwny sen, w którym ścigał się z białym jak śnieg jednorożcem. Już go doganiał, ale zwierzę mu uciekało. W pewnym momencie jednorożec zatrzymał się i zaczął uderzać rogiem o ziemię na trzy strony świata. Wtedy Król Siennicki obudził się. To był dla niego znak. Długo myślał nad snem, patrzył też na zachodzące słońce i wtedy zrozumiał, co ma zrobić.

Następnego dnia znów zatrudnił swoich służących do pracy. Tym razem nie zasypywali strumyka, tylko wykopali trzy długie jego odnogi na trzy strony świata. Tak powstały w krótkim czasie wspaniałe stawy. Z ich bogactwa mieszkańcy mogli korzystać bez oporu. Wkrótce między tymi stawali popłynęła mała urokliwa rzeczka zwana Siennicą od nazwiska władcy. Osuszona ziemia stała się urodzajna. Skończyły się też kłopoty Króla Siennickiego. Obok źródła rzeczki Siennicy nakazał ułożyć wielki głaz i wybudować własną świątynię. Szybko okazało się, że woda z rzeki Siennicy ma właściwości lecznicze. Kto się w niej obmył, otrzymywał więcej siły i mocy. Woda zaczęła pomagać wszystkim chorym ludziom.

Czas spokojnie płynął i Król Siennicki doczekał się trzech urodziwych córek. Kiedy dorosły, a życie króla zaczynało dobiegać już kresu, postanowił wydać je za mąż i podzielić swój majątek. Najstarsza córka kochała róże, więc otrzymała ziemie przy pierwszym stawie. Władca na jej cześć postanowił nazwać osadę Siennicą Różaną. Średnia córka otrzymała tereny przy kolejnym stawie, a że zachwycała się małymi polnymi kwiatami, miała swój malutki ogródek, w którym spędzała większość czasu, więc nazwano jej posiadłość Siennicą Królewską Małą. Najmłodsza z córek uwielbiała biegać po łąkach i dolinach, miała też dar rozmawiania z polnymi zwierzętami, więc jej włości zostały nazwane Siennicą Nadolną. Dla siebie Król Siennicki zostawił niewielką posiadłość, bo taka była jego wola. Wkrótce przylgnęła do niej nazwa: Wola Siennicka.

Tak oto spełnił się króla proroczy sen o jednorożcu, który znajduje się dziś w herbie Siennicy Różanej.

Szymon Charkot
Szkoła Podstawowa nr 3
w Krasnymstawie

Anna Choma

„Legenda o nimfie z pięknego stawu”

Przez wiele stuleci, zawsze wtedy, gdy wsi Szczekarzew groziło wielkie niebezpieczeństwo, miejscowy staw mienił się paletą barw, a na nim ukazywała się piękna zjawa, aby ostrzec mieszkańców. Czyniła to z wdzięczności za okazane jej dobro. A jak do tego doszło?

Wieczorem, kiedy słońce chyliło się za widnokrąg, nad brzegiem stawu siedział młody rybak. Był to młodzieniec o szlachetnej postawie, lecz jego pięknej twarzy brakowało radości i ciepłego spojrzenia. Jej wyraz był poważny, a smutek gasił blask oczu. Zarzucił sieć do stawu, lecz zatopiony w zadumie, mało zwracał na nią uwagę. Zamyślony przypatrywał się płomienistej zorzy zachodzącego słońca i jej odbiciu w stawie:

– Jaki piękny staw! Krasny jak twarz mojej ukochanej…

I po cichu zaczął nucić rzewną pieśń o miłości i tęsknocie. Wtórował mu szelest liści rosnących nad stawem wierzb. Nagle rybak poczuł szarpnięcie i przerwał swą pieśń. Chwycił sieć i zaczął ją ciągnąć na brzeg. Była zadziwiająco ciężka. Przy brzegu z sieci wynurzyła się urocza nimfa wodna. Jej kasztanowe włosy oświetlała purpura gasnącego słońca. Melodyjnym głosem odezwała się do rybaka:

– O, piękny młodzieńcze, zwiodłeś mnie swoim cudownym głosem i schwytałeś w swoją sieć. Jestem nimfą tego stawu. Puść mnie wolno, pozwól powrócić do głębiny, a w podzięce za twoją wspaniałomyślność obdarzę cię obfitością ryb oraz rzadkimi perłami.

Rybak wpatrywał się zdumiony w nieziemskie zjawisko. Po chwili odpowiedział ze smutkiem: – Najmilsza nimfo, najdroższą perłą, którą kocham i za którą nieustannie tęsknię, jest Zofia, córka bogatego sołtysa. Jako prosty i ubogi rybak nie mam żadnej nadziei, aby mogła kiedyś zostać moją żoną. Tak bardzo sam cierpię, więc czy mógłbym ciebie zatrzymać i oglądać twoje cierpienie? Już wystarczy w tej wsi łez. Wracaj, piękna nimfo, do głębin i bądź przychylna tutejszym rybakom, a przede wszystkim dbaj o karpie w tym stawie.

To powiedziawszy wypuścił nimfę w wodną toń. Po chwili dał się słyszeć cichy, płynący z głębiny, głos:

– Dzięki ci, wielkoduszny młodzieńcze. Nagrodę przyniesie ci twoja sieć. Znajdziesz w niej skarb, który odmieni twój los. Ale nie tylko ciebie pragnę uszczęśliwić, lecz chcę też zostać przyjaciółką tutejszych rybaków i wszystkich mieszkańców tej okolicy. Wprawdzie nie potrafię odwracać przeznaczenia, kiedy przynosi ono nieszczęście, ale mogę was ostrzegać. Zatem słuchaj: zawsze, gdy staw przybierze purpurowy kolor, a ja się na nim pojawię, mieszkańcy miasta powinni przygotować się na grożące im niebezpieczeństwo. Zaskoczony młodzieniec spoglądał jeszcze długo w wodę. Śląc ostatnie promienie, ognista kula słońca zapadła za wodę. Jeszcze jakiś czas młody rybak trwał w zadumie, po czym zaczął wyciągać sieć. Była ciężka, a więc z wielkim trudem udało mu się wyciągnąć ją na brzeg. Wtedy jego oczom ukazał się nowy cud. W splątanych sznurach znalazł dużą bryłę złota, kształtem przypominającą karpia.

I oto nagle ubogi rybak stał się bogatym człowiekiem. Już nie była za bogata dla niego córka sołtysa i z czasem nie odmówił mu on jej ręki. Zaś serce rybaka na zawsze pozostało pełne wdzięczności dla wodnej nimfy, która uczyniła go tak szczęśliwym. Bryłką złota podzielił się z miejscowymi rybakami, którzy już więcej nie zaznali biedy.

Wodna nimfa dotrzymała także swoich innych przyrzeczeń. Przez stulecia pojawiała się na stawie, aby ostrzec mieszkańców przed grożącym im niebezpieczeństwem. Jej zwiewna postać była zawsze widoczna, kiedy groziły miastu zbrojna zawierucha, klęska głodowa albo wielki pożar. A zawsze pojawiała się pod wieczór, opromieniona zachodzącym słońcem. Wtedy rybacy mówili:

– To duch z krasnego stawu nas ostrzega.

Gdy wieś Szczekarzew nabyła prawa miejskie, mieszkańcy na pamiątkę wydarzeń nad pięknym stawem postanowili nadać miastu nazwę Krasny Staw, która z czasem zaczęła brzmieć Krasnystaw. Zaś w herbie dwa złote karpie pływają i legendę o pięknej nimfie przypominają.

Anna Choma
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie

Alicja Kilian

„Legenda o powstaniu wsi Wiśniów"

Dawno temu, nikt dokładnie nie pamięta, kiedy to było, gdzie wśród licznych pagórków wije się rzeka Żółkiewka, mieszkał samotnie młody chłopak Jaś. Żył sam bez rodziny w małej chatce. Nie posiadał żadnego majątku, a pieniądze na swoje skromne życie zarabiał u ludzi, wykonując u nich drobne prace. Chłopak nie narzekał na swój los. Potrafił się cieszyć z tego, co miał. A miał niewiele: chatkę ubogą i chętne ręce do pracy.

Pewnego razu Jasio pomagał staremu dziadkowi, który mieszkał w sąsiedniej wiosce. Jak co roku, Jan rąbał mu drzewo na zimę. Starszy człowiek tym razem nie miał pieniędzy, aby zapłacić swojemu pracownikowi. Jan nie narzekał. Jednak, aby młody mężczyzna nie wychodził z poczuciem żalu, że nic nie zarobił, dziadek podarował mu malutkie drzewko. Była to odmiana tutejszej wiśni. Nie zaskoczył starzec tym prezentem Jasia, ponieważ te drzewa porastały okoliczne pagórki. Kwitły białym kwieciem, ale owoców nie można było z nich uzyskać. Starzec przekazał mu także cenną radę, że jak będzie dbał o to drzewko, to nie zazna nigdy głodu, a spotka go miłość i szczęście. Jasio, nie chcąc sprawić przykrości staruszkowi, przyjął taką „zapłatę" i powędrował do swojego domu. Drzewko posadził niedaleko swojej chatki.

Chłopiec, jak zawsze z rana wyruszał do różnych prac. Jednak po kilku miesiącach zauważył, że drzewo dziwnie szybko rośnie. Z dnia na dzień stawało się coraz większe. Kiedy przyszła wiosna kolejnego roku, drzewo było tak obsypane kwieciem, jak żadna inna wiśnia rosnąca w tej okolicy. Gałęzie delikatnie falowały na wietrze, kołysząc wielkimi bladoróżowymi kwiatami. Piękny zapach rozciągał się po okolicy, wabiąc mnóstwo pszczół i innych owadów. Kiedy nadeszło ciepłe lato, gałęzie uginały się pod kiściami wielkich owoców. Były to wiśnie soczyste, ciemnoczerwone i przepyszne.

Szybko rozeszła się wiadomość po okolicy o niesamowitym drzewie. W ludziach zwyciężała ciekawość, każdy chciał zobaczyć i spróbować owoców. Przybyszom podobało się nie tylko drzewo, ale też i okolica, wobec czego zaczęli się tu osiedlać i sadzić nowe wiśniowe drzewka. Jaś nareszcie przestał się czuć samotny, a i pracy miał pod dostatkiem. Domy same się nie mogły zbudować. W szybkim czasie rozrastała się okolica, chałup zaczęło przybywać. Z daleka można było zobaczyć, że przy każdym nowym gospodarstwie rosną drzewa wiśniowe, wiosną przypominające suknię panny młodej.

Wówczas Jan, patrząc na swoją okolicę, zrozumiał na czym polegało to szczęście. Wśród nowych osadników poznał dziewczynę, która wkrótce została jego żoną. Wesele, wiadomo, odbyło się pod drzewami kwitnących wiśni. Opadające na wietrze płatki kwiatów „błogosławiły" gości. Szybko nowi mieszkańcy wybrali Jana na swojego sołtysa. Osada na cześć drzew wiśniowych otrzymała nazwę Wiśniów. Jan obrał też dla swojej rodziny nazwisko Wiśniewski.

Od tamtych wydarzeń minęło sporo czasu. Do dziś wieś porastają stare drzewa wiśniowe, a nazwisko Wiśniewski jest popularne w okolicy. Ludziom zaś się żyje spokojnie i dostatnio.

Alicja Kilian
Szkoła Podstawowa nr 3
w Krasnymstawie

Jakub Kowalski

„Legenda o Szczeku, dwóch złotych karpiach i zaklętym grodzie Szczekarzew"

Król miał dwóch synów: Kija i Szczeka. Matka chłopców Sonia zmarła, kiedy mieli po kilkanaście lat. Od tamtej pory ojciec sam ich wychowywał. Królowa miała siostrę Aleksandrę, ale niewiele o niej było wiadomo. Starsi ludzie twierdzili, że zła siostra opuściła królestwo w gniewie i nienawiści, odgrażając się, że jeszcze zemści się, gdyż właśnie Sonia okazała się wybranką króla. Aleksandra nienawidziła siostry od zawsze i zazdrościła jej wszystkiego, a przede wszystkim szczęśliwego życia oraz tego, że jej dobroć i mądrość znana była w całym królestwie.

Gdy chłopcy dorośli, jeden z nich, Kij, został w królestwie jako następca tronu, a drugi, zawsze żądny przygód, postanowił wyruszyć w świat

i poszukać swojego miejsca na ziemi. Król mocno rozpaczał, ale kochał swojego syna i chciał, aby był szczęśliwy.

Szczek wyruszył w drogę. Jechał, nucąc swoje ulubione piosenki, a przy tym rozglądał się po okolicy. Wiadomo, był ciekawy wszystkiego, co go otaczało. Podczas wędrówki spotkał chłopaka o jasnej, bujnej czuprynie, z łukiem na plecach. Podążał on konno w nieznane, również szukając szczęścia na świecie. Zaczął robić się mrok, gdy dojechali do polany. W oddali widać było las i coś się mieniło wśród roślin. Postanowili tutaj przenocować. Rozpalili ognisko i rozmawiali do momentu, aż zasnęli.

Rano obudził ich odgłos ptaków i dość głośny dźwięk pochodzący od strony lasu. Podążyli w tamtym kierunku. Okazało się, że ta mieniąca się przestrzeń, której w nocy nie było dokładnie widać, to staw, ale to nie był zwykły staw. Zachwyceni chłopcy stali jak zaczarowani. Woda lśniła złotem, srebrem i błękitem. Książę nachylił się nad wodą i w tafli stawu odbiły mu się dwa piękne złote karpie. Szczek postanowił się tu zatrzymać i założyć gród. Stanisław, bo tak miał na imię chłopiec z jasną czupryną, również pozostał z nim, ponieważ przez drogę zawiązała się między nimi przyjaźń. Nadali temu miejscu nazwę Szczekarzew.

Życie ludzi w grodzie płynęło spokojnie. Codziennie zajmowali się handlem i rzemiosłem. Płynąca tamtędy rzeka Wieprz skupiała przy swoim brzegu mieszkańców. Gród odwiedzany był przez wielu kupców. Wszyscy byli tutaj gościnni, pracowici, szanowali się wzajemnie i pomagali sobie w ciężkich chwilach. Szczek był dobrym władcą, a Stanisław dobrym przyjacielem i wójtem grodu.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Niebawem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, spadły na gród nieszczęścia, pożary, najazdy obcych, kradzieże, choroby. Mieszkańcy obawiali się o swoją przyszłość, dzieci bały się wychodzić na ulicę. Szczek nie rozumiał, o co chodzi, co się wydarzyło i dlaczego do takiej sytuacji doszło.

Pewnego razu zupełnie bezsilny wybrał się nad staw, gdyż dawno tam nie był. Zupełnie zapomniał o tym pięknym miejscu. Usiadł nad jego brzegiem, a łzy mimowolnie spłynęły mu do wody. Był wrażliwym człowiekiem i tylko tu mógł pozwolić sobie na bezsilność. Nagle ze stawu wypłynęły dwa złote karpie. Szczek przypomniał sobie o nich i o tym, że kiedyś już je widział. Przemówiły ludzkim głosem. Opowiedziały mu o klątwie tego miejsca, gdzie powstał dwór, o złej królowej, która ich zamieniła w karpie, kiedy to chcieli wykąpać się w stawie. Aleksandra, kiedy dowiedziała się, że Szczek, który jest synem jej siostry, założył tu gród, natychmiast użyła czarów, aby klątwa zaczęła się spełniać. Karpie słyszały, że jest jednak możliwość, aby zatrzymać złą wróżbę. Władca może ochronić mieszkańców grodu, stawiając w jego sercu, czyli na rynku, fontannę. Będzie ona symbolizowała dobrobyt, lecz wodę do niej musi zdobyć sercem. Szczek nie rozumiał, jak może zdobyć wodę sercem. Podziękował karpiom za radę i wrócił do zamku. Myśl ta nie dawała mu spokoju. Postanowił zlecić wykonanie fontanny najlepszym rzemieślnikom. Środek jej miały tworzyć dwa złote karpie. Jednak skąd wziąć wodę, jak zdobyć ją sercem? – myślał Szczek.

W tym samym czasie podróżowała tamtędy królowa Zofia wraz z mężem, królem Władysławem Jagiełłą oraz ich siostrzenicą księżniczką Jadwigą. Zostali oni zaproszeni na gościnę do Szczekarzewa. Szczek był zauroczony księżniczką i zaprosił ją na spacer. Kiedy doszli do stawu, zawołała: „Jaki Krasny Staw!”, Nie mogła oderwać oczu od kolorów mieniącej się wody. Książę, patrząc w oczy księżniczki, dostrzegł w nich serce dobre i czułe. Jadwiga pochyliła się nad stawem i zaczerpnęła z niego wody. Szczek, chcąc zrobić jej przyjemność, zlecił nalanie wody ze stawu do fontanny. Niespodziewanie losy grodu odmieniły się. Król Władysław, widząc miłość młodych, postanowił nadać grodowi prawa miejskie i nazwać go oficjalnie Krasnymstawem.

Od tamtej pory fontanna chroniła miasto przed klątwą, wszyscy ludzie przychodzili w to miejsce ze swoimi problemami i troskami. Legenda głosi, że fontanna nie tylko chroniła przed złem miasto i jego mieszkańców, ale stała się jego herbem, który przedstawia dwa karpie na błękitnym tle. O dwóch złotych karpiach w stawie więcej nie słyszano… Podobno przybrały postać dwóch mężczyzn i podążyli własną drogą.

Niepomyślna wróżba rzucona przez złą królową przestała się spełniać po tym, jak dobre serce księżniczki zawładnęło sercem księcia. Woda

ze stawu scaliła ich uczucie i wyzwoliła miasto od klątwy. Szczek i Jadwiga żyli długo i szczęśliwie, dbając o miasto i jego mieszkańców. Mianowany na starostę Stanisław ożenił się z piękną Krystyną. Na dworze pojawiły się dzieci, dając radość, miłość i szczęście…

Jakub Kowalski
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie

Szymon Pudło

„Legenda o Żółkiewce”

Pewnego dnia król Władysław razem ze swoją służbą wybrał się w daleką podróż, w poszukiwaniu nowych miejsc do polowania na zwierzynę. Wyruszył na wschód. Jadąc konno, obserwował piękne bory i lasy, a także zwierzęta. Jednak żadne z tych miejsc nie przykuło jego uwagi. Wszystko, co zobaczył, wydawało mu się takie zwyczajne.

Jechał juz kilka dni, aż w końcu dotarł do pięknego lasu. Był on niezwykły. Na jego skraju rosły jeżyny i jagody, które były słodkie jak miód. Kiedy król wjechał w głąb lasu, dostrzegł zwierzęta, ptaki, grzyby, paprocie i piękne kwiaty. Krajobraz urzekł go. W oddali zobaczył polanę pełną żółtych i skrzących się w promieniach słońca mleczy. Pośrodku niej rósł wielki dąb, a obok niego znajdowało się źródło wody i wypływała mała rzeczka.

Król usiadł pod drzewem i napił się czystej, orzeźwiającej wody. Kiedy tak siedział i rozglądał się dookoła, dołączyli do niego dworzanie towarzyszący mu w podróży. Król zapytał ich:

– Drodzy poddani, pomyślcie, proszę i powiedzcie, co można by było zrobić w tym cudownym miejscu.

– Zaorzmy pole i zasadźmy jakieś rośliny jadalne – zaproponował giermek Ronald.

Na to Stanisław odrzekł:

– A może lepiej zasiejmy słoneczniki?

Nagle wstał Ignacy i wykrzyknął:

– Co wy! Taka ładna polana i chcecie tu zasiać słoneczniki? Lepiej coś zbudować!

Do rozmowy włączył się król i rzekł:

– Co stoi na przeszkodzie, aby w tym miejscu powstała osada? Nazwiemy ją Żółkiewka, ze względu na rosnące tu żółte mlecze, a rzekę, która tu płynie – Żółkiewianka. Wszyscy poddani z entuzjazmem rzekli: – Tak! To bardzo dobry pomysł!

Ponieważ królowi bardzo zależało, aby osada powstała szybko, po powrocie na dwór wezwał architektów i polecił rozpocząć prace. Nakazał, aby osada wyglądała następująco: „Na środku jej ma być studnia. Zabudowę osady mają tworzyć drewniane, jednakowe domy. Ma ich być razem dwadzieścia. Przy każdym z nich będą stały ławki z drewna ciosane, na których będzie można usiąść. Blisko studni będzie się znajdować kuźnia i stajnia dla koni. Dookoła ma powstać drewniane ogrodzenie z wielką bramą i wieżą strażniczą. Wjazd do osady ma zostać utwardzony kamieniami. Natomiast wokoło mają rosnąć żółte mlecze, przypominające o jej nazwie”.

Zgodnie z planem króla, osada Żółkiewka została wybudowana w szybkim tempie. Gdy prace dobiegły końca, król oficjalnie ogłosił otwarcie osady. Rzekł: – Drodzy poddani ogłaszam, iż dwadzieścia rodzin pośród was będzie mogło wybrać sobie w osadzie dom i w nim zamieszkać. Możecie również korzystać ze studni, która znajduje się na środku miejscowości.

Na to poddani zareagowali gromkimi brawami. Wyboru dokonano na zasadzie rzucania losów. Król dodał: – Każdy z mężczyzn będzie miał dyżur na wieży strażniczej, by pilnować bezpieczeństwa.

Od tej pory, król miał miejsce, gdzie wyruszał na polowania. Zawsze miło tu spędzał czas. Jego poddani dbali o Żółkiewkę z należytą starannością. Z czasem osada powiększała się i przybywało nowych domów i mieszkańców. Miejscowa kuźnia stała się słynna w tym regionie Polski. Ludzie z wielu osad przyjeżdżali do Żółkiewki, aby nabywać wykute w niej wyroby.

Mijały lata, a osada ciągle się rozrastała. Miejscowi zarządcy podęli decyzję, by podzielić osadę na różne ulice i nadać im nazwy. I tak np. w miejscu, gdzie znajdowała się słynna w regionie kuźnia powstała ulica Kowalska. Przybywało także małych zakładów rzemieślniczych i sklepów.

Król, będąc w podeszłym wieku, ostatni raz odwiedził osadę i był niesłychanie zadowolony, do jakich rozmiarów się ona rozrosła oraz jak bardzo popularnym miejscem stała się w regionie. Władca wspominał też, jak pięknie wyglądała niegdyś ta polana żółtych, skrzących się w słońcu mleczy.

Do tej pory, w okolicy wiosną można dostrzec łąki i polany wypełnione widokiem żółtych mleczy.

Szymon Pudło
Szkoła Podstawowa
im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego
w Żółkiewce

Wyróżnienia:

Jakub Alitojć

„Duchy zamku w Krupem”

Dawno, dawno temu przy rozlewisku rzeki Wieprz wybudowano zamek obok małego jeziorka. Lata biegły, a zamek rozbudował się w okazałą warownię. Miał wielu właścicieli, ale najbardziej w pamięci przodków i w opowieści okolicznych mieszkańców pozostał szlachcic Paweł Orzechowski. Był to człowiek szlachetny, mądry i mimo to, że bardzo bogaty, szanował każdego bez względu na majętność. Każda panna wzdychała do uroczego szlachcica. Wiele z nich chciało zdobyć pracę na zamku, aby móc mu służyć. Jednak sercem Pawła zawładnęła Maria z Krupskich, daleka krewna pierwszych właścicieli dworu. Rodzina szlachcica sprzeciwiała się temu związkowi, lecz z czasem szczera i prawdziwa miłość przekonała wszystkich i postanowiono wyprawić wesele zakochanym. Wszystko już było przygotowane, suknia uszyta i nagle jak grom z jasnego nieba przyszła wiadomość do zamku, iż ówczesny hetman Zamojski zapragnął wydać swoją siostrzenicę sierotę za szlachetnego Pawła Orzechowskiego. Rodzina Pawła zbyt wiele zawdzięczała Zamojskim i nie mogli odmówić. Dla młodych był to ogromny cios, ale nie było innego wyjścia. Maria nie była w stanie pogodzić się z tą decyzją i ze świadomością życia bez ukochanego. Jak legenda głosi, biedna, zrozpaczona ubrała się w swoją piękną, białą suknię i w cudowny biały welon i w całej tej rozpaczy z murów zamku skoczyła do jeziorka. Kiedy Paweł usłyszał, co zrobiła jego ukochana, serce pękło mu z rozpaczy.

Po tym wszystkim zamek popadł z czasem w ruinę. Wszyscy, którzy zamieszkiwali w nim później, nie potrafili już zaznać ani szczęścia, ani miłości. Mówiono, że w nocy słychać było w zamku żałosny płacz lub przenikliwe wycie. Po drugiej wojnie światowej zamek zmienił się w ruinę. Nikt nie chciał go już odbudować. Choć działo się to parę wieków temu, po dzień dzisiejszy śmiałkowie, którzy mają odwagę nocą zbliżyć się do ruin, mówią, że da się usłyszeć delikatny głos kobiety albo płacz.

Mówi się też, że nad mokradłami obok ruin pojawia się mgła, z której wyłania się biała postać. Biała Dama przechadza się dziedzińcem, a czasami ukazuje się w zamkowych okiennicach. Podobno, kiedy noce są bezchmurne, po murach zamku przesuwa się tajemniczy cień, w którym da się rozpoznać postać szlachcica w płaszczu.

Legenda zamku mówi o nieszczęściu młodych, bardzo zakochanych i oddanych sobie ludziach, dlatego pojawiające się duchy to na pewno Maria i Paweł, którym za życia nie było dane być razem, za to po śmierci po dzień dzisiejszy są razem w swoim zamku i na wieki wieków nikt ich nie rozdzieli.

Poznając tę legendę, zawsze będę szanował to miejsce i zupełnie inaczej będę patrzył na ruiny zamku w Krupem.

Jakub Alitojć
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie

Marcel Górski

„Drzewo Trzech Braci”

Dawno, dawno temu w pewnym małym miasteczku na Lubelszczyźnie, które nazywało się Krasnystaw, mieszkało trzech braci. Pochodzili z średnio zamożnej rodziny. Najstarszy z nich miał na imię Paweł, średni – Szymon, a najmłodszy Maciuś. Bardzo się kochali. Paweł miał 13 lat, Szymon 11, a Maciuś 9. Uwielbiali wspólnie spędzać czas na zabawach i psotach. Nigdy nie nudzili się w swoim towarzystwie.

Pewnego razu najstarszy z nich Paweł wymyślił, że we trzech posadzą własne drzewo, które urośnie bardzo duże i na zawsze zostanie w Krasnymstawie. Powiedział o tym swoim braciom, a oni bardzo chętnie przystali na tę propozycję. Wspólnie postanowili, że to będzie symbol ich braterskiej miłości i przyjaźni. Nie mówili o tym swoim rodzicom, więc sami musieli zarobić pieniądze na sadzonkę tego drzewa. Nie było to trudne, bo we trzech byli bardzo pracowici i już w dwa dni zebrali całą kwotę potrzebną na zakup drzewka. W sobotę pojechali na wielki bazar i u pewnego starszego sprzedawcy wybrali sadzonkę, a był to klon. Kupiec zapewniał ich, że w przyszłości wyrośnie z niej wspaniałe, piękne drzewo. Sadzonka była przepiękna, zieloniutka i miała bardzo duże korzenie. Bracia pomyśleli, że z takiego okazu na pewno wyrośnie wielkie drzewo, które będzie robiło wrażenie na każdym przechodniu. Sprzedawca był miłym staruszkiem i wzbudził zaufanie chłopców, więc kupili tę roślinę.

Za zgodą władz miasta i burmistrza Krasnegostawu, drzewko posadzili w miejskim parku. Pielęgnowali je i podlewali każdego dnia. Ich rodzice byli dumni z pomysłu swoich synów. Chłopcy nazwali je „Drzewem Trzech Braci”. Rosło ono dosyć szybko, było wyjątkowe i podobało się wszystkim mieszkańcom.

Pewnego razu przez Krasnystaw przeszła ogromna i straszna burza. Wiatr był bardzo silny. Bracia przez okno swojego domu patrzyli jak wiatr miota drzewem. Wiało tak bardzo mocno, że niektóre drzewa wyrywało z korzeniami. Jakimś cudem „Drzewo Trzech Braci” ocalało, ale bardzo pochyliło się i powyginało. Bracia odetchnęli z ulgą, że burza oszczędziła ich drzewo. Na szczęście nic nie uszkodziło jego mocnych korzeni. Drzewo rosło dalej pochylone.

Do dnia dzisiejszego to okazałe drzewo można zobaczyć w parku w Krasnymstawie. Jest powyginane tak bardzo, że przyciąga uwagę wszystkich spacerujących ludzi. Otrzymało nazwę „Klęczące Drzewo” i teraz ma około 65 lat. Mieszkańcy miasta są dumni, że na ich terenie rośnie takie cudo. Dzieci lubią bawić się w jego pobliżu. Turyści fotografują się przy nim. Stanowi ono symbol Krasnegostawu. W okresie świąt Bożego Narodzenia jest przystrajane migoczącymi lampkami. W 2018 roku zostało Drzewem Roku w polskiej edycji konkursu organizowanego przez klub Gaja.

Marcel Górski
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie

Julia Litwin

„Legenda o zaradnym krupskim młynarzu”

Działo się to w dawnych, a nawet w bardzo dawnych czasach. Piękną słowiańską krainę porastały gęste lasy, w których było wiele dzikiej zwierzyny. Przez okolicę płynęła malownicza rzeka Bzdurka. Otaczała ona wzgórza, w niektórych miejscach tworząc niewielkie wodospady, a w innych szerokie rozlewiska. Na końcu swej drogi wpadała do Wieprza. Wiosną, gdy topniały śniegi, a woda z okolicznych wzgórz spływała w dolinę, rzeka przybierała na sile i stawała się niebezpieczna. Okoliczni mieszkańcy w pocie czoła wycinali drzewa i karczowali korzenie, aby na powstałych poletkach zasiać zboże. Na szczęście ziemie były bardzo żyzne i zasiewy dawały obfite plony.

Każdy gospodarz miał w swoim domu żarna. Upieczenie chleba wymagało wielkiego wysiłku. Obracanie ciężkiego kamienia było nie lada wyzwaniem i nie każdy potrafił sobie z tą pracą poradzić. Mimo poniesionego trudu, chleb nie był smaczny, ponieważ mąka zawierała otręby. Wypieki były zbyt ciemne, a czasami przybierały nawet szarą lub czarną barwę. Pewnej wiosny w pobliżu zamieszkał młody, silny człowiek. Wycinał on drzewa, a z pni konstruował nad wodą dziwną budowlę. Nikomu nie

chciał powiedzieć o swoich planach. Ludzie ostrzegali go, że stawianie czegokolwiek w pobliżu rzeki to nie najlepszy pomysł. Nie słuchał ich jednak, tajemniczo się uśmiechał i wytrwale pracował.

Nadeszła jesień. Wszyscy zebrali plony, a tajemniczy przybysz zakończył budowę. Zaprosił okolicznych mieszkańców, aby zobaczyli jego dzieło. Okazało się, że zbudował młyn wodny nad rzeką. Koło młyńskie obracała rwąca woda. Mężczyzna poczęstował przybyłych gości wspaniałym białym chlebem i kołaczem. Od tego czasu ludzie już nie trudzili się sami, a rzeka i młyn wykonywały za nich ciężką pracę. Wszyscy byli zadowoleni. Niestety, po kilku latach zdarzyło się coś bardzo dziwnego, co zaniepokoiło okoliczną ludność. Gospodarze dawali młynarzowi coraz więcej ziarna, ale odbierali coraz mniej mąki. Zaczęli podejrzewać go o kradzież. On też nie rozumiał, co się dzieje. Był uczciwym człowiekiem i starał się swoją pracę wykonywać jak najlepiej. Pewnej nocy zauważył dziwną postać, która zabierała mąkę z worków i ładowała do swoich worów, które wydawały się nie mieć dna.

– Kim jesteś? Dlaczego zabierasz mąkę, chociaż do ciebie nie należy? – zapytał zaskoczony młynarz.

– Zawsze będę to robił! Jestem Mąkożyr! Tam, gdzie młyn i pyszna mąka, pojawiam się też ja. Powiedz wszystkim, że jeżeli chcą mieć mąkę, muszą się nią ze mną dzielić. Będę żądał coraz więcej, więc niech karczują większą ilość drzew i sieją dużo zboża. Chyba wiesz, że nie ma nic za darmo? – chichotał przybysz.

Ludzie bardzo się zmartwili, bo zachowanie Mąkożyra zapowiadało wielkie problemy. Panoszył się coraz bardziej. Mimo że było coraz więcej zboża, brakowało chleba. Mieszkańcy nie mogli sobie poradzić z tym strasznym stworzeniem, które wchodziło w każdy zakamarek i wyjadało mąkę. Bieda zaczęła zaglądać do każdego domostwa.

Pewnego razu w okolicznych lasach polował król. Królewski koń się spłoszył i wpadł do bagna. Młynarz usłyszał wołanie o pomoc i natychmiast pobiegł ratować potrzebujących. Gdy zobaczył, co się stało, rzucił długi drąg, a okoliczna ludność pomogła królowi wydostać się z bagna. Udało się nawet wyciągnąć ukochanego rumaka króla. Młynarz zaprosił władcę do siebie i pomógł w oczyszczeniu odzieży z błota. Niestety, nie miał nawet kromki chleba, aby poczęstować króla. Monarcha był zaskoczony, że ludzie mają młyn, a nie posiadają chleba. Młynarz opowiedział o problemach mieszkańców. Mąkożyr zabierał im wszystkie plony. Był podły i bezwzględny.

Król był mądrym władcą. Obiecał pomóc tak pracowitym ludziom. Powiedział, że wkrótce wróci, bo musi się odwdzięczyć za uratowanie życia. Od tego zdarzenia upłynęło wiele czasu. Wszyscy myśleli, że monarcha zapomniał o obietnicy, ale pewnego dnia młynarz usłyszał ujadanie psów i hałas dobiegający z lasu. Chwilę później ujrzał wozy, a na nich dziwną maszynę. Pojawił się królewski posłaniec i kazał zwołać okolicznych mieszkańców. Wszyscy przybyli i zaskoczeni czekali na to, co się wydarzy. Na miejsce dotarł również król z całym swoim orszakiem i poinformował ludzi, że wrócił, aby rozwiązać ich problemy, bo jest wdzięczny za uratowanie życia. Okazało się, że maszyna służyła do wyrabiania krup z różnego rodzaju ziarna. Nie było takiej w całej okolicy, więc zamiast mąki młyn miał wytwarzać kaszę.

– Młynarzu, odtąd będziesz nosił nazwisko Krupski – oznajmił uroczyście król.

Skromny młynarz aż poczerwieniał z radości, bo nie spodziewał się takiego zaszczytu. Chciał tylko pozbyć się uciążliwego Mąkożyra.

– Ale to nie wszystko – mówił dalej król – nadaję ci też tytuł szlachecki za twoją ciężką pracę. Odtąd herb należy do ciebie – oznajmił monarcha.

Młynarz upadł do nóg króla i dziękował mu za tak wielki zaszczyt. Ludzie mieli nadzieję, że ich problemy się wreszcie skończą i będzie im łatwiej żyć.

Królewski dwór odjechał, a młynarz, nazywany odtąd Krupskim, wytwarzał krupy za pomocą nowej maszyny. Mąkożyr nie miał już mąki, bo młyn produkował kaszę, która mu nie smakowała. A może zniknął, bo przestraszył się króla?

Ludziom już nikt nie odbierał owoców ich pracy. Krupski zbudował na wzgórzu okazały dwór i od tego momentu miejscowość otrzymała nazwę Krupe. Pracowitość mieszkańców przyczyniała się do rozwoju miejscowości i tak jest do dziś.

Julia Litwin
Szkoła Podstawowa
w Krupem

Kamil Ołówka

„Legenda o powstaniu wsi Zażółkiew”

Dawno temu żył sobie pewien młodzieniec o imieniu Stanisław. Był prostym chłopem, który uprawiał pola odziedziczone po rodzicach. Miał też dodatkową pasję – lubił łowić ryby. Niedaleko jego osady znajdowały się stawy, jednak dostęp do nich miał tylko bogaty ich właściciel. Ubogim ludziom pozostawało łowienie ryb w przepływającej rzece Żółkiewce. Stanisław nie był bogaty, czasami nawet nie wystarczało mu pieniędzy na chleb.

Pewnego dnia postanowił, że pójdzie nad swoją ulubioną rzekę Żółkiewkę. Miał nadzieję, że może uda mu się coś złowić. Rzeka bowiem nie obfitowała w ryby, dostarczała wody zwierzętom, które przyprowadzali chłopi i dzieliła dwie sąsiadujące ze sobą wsie. Właśnie w jednej z nich mieszkał Stanisław. Był upalny dzień. W polu robota podgoniona, więc bohater nasz wykorzystał czas i od razu zarzucił wędkę. Długo nic nie mógł złowić. Obwiniał upał za brak ryb w rzece. Nagle wędka zaczęła się dziwnie poruszać. Stanisław szybko złapał ją i zaczął ciągnąć do brzegu.

Jakie było jego zdziwienie, gdy wyłowił rybę, której jeszcze nigdy nie widział. Wielkością przypominała karpia, łuski jej błyszczały w promieniach słońca. Chłopak nie miał wątpliwości, była to złota rybka. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy przemówiła ludzkim głosem. Zaczęła błagać go, aby ją wypuścił. Obiecała mu za to nagrodę. Rybakowi nie zależało na nagrodzie, był skłonny ją wypuścić. Z drugiej strony był też głodny, a ryba przedstawiała się apetycznie. Tak zastanawiał się chwilę, wówczas usłyszał cichy głos rozlegający się z drugiego brzegu. Stała tam młoda dziewczyna, której nigdy wcześniej nie spotkał. Poprosiła Stanisława, aby darował rybie życie. Młody chłopak przez chwilę stał jak zaczarowany, ponieważ nigdy nie widział tak pięknej dziewczyny. Wówczas z jego rąk wyślizgnęła się ryba, wpadła do wody i popłynęła. Dziewczyna podziękowała mu i zniknęła w sitowiach porastających brzeg. Stanisław wpatrywał się w małą wieś położoną za rzeką. W uszach nadal słyszał dźwięk słowa „dziękuję”, nie wiedział tylko, czy to ryba powiedziała do niego ludzkim głosem, czy była to nieznajoma dziewczyna.

Chłopak codziennie w południe przychodził nad brzeg rzeki i spoglądał na jej drugi brzeg. Wypatrywał dziewczyny, w której się zakochał. Przez kilka dni nic nie zapowiadało, że się pojawi. W końcu zjawiła się z wiadrem, aby nabrać wody. Stanisław przedstawił się dziewczynie i zaczął wypytywać, kim jest. Okazało się, że niedawno sprowadziła się z rodzicami do wsi za rzeką Żółkiewką.

Od tej chwili Stanisław i Magda spotykali się codziennie w południe nad brzegiem rzeki i rozmawiali ze sobą. On łowił ryby po dawnemu, ona płukała ubrania. Pewnego dnia jednak dziewczyna nie przyszła. Stanisław zaniepokoił się. Podobnie było przez kolejne dni. Wędka była zanurzona w wodzie, ale sam nie wiedział, co dalej robić. I stało się coś niesamowitego. Gdy tak patrzył w toń wody, wynurzyła się z niej ta sama złota rybka i przemówiła, aby odszukał dziewczynę. Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Stanisław nie zastanawiał się ani chwili. Przeszedł przez rzekę i udał się do wsi. Odnalazł dziewczynę, poprosił ją o rękę i wkrótce został jej mężem. Został także za rzeką Żółkiewką. Zaś wieś, w której zamieszkali razem, ludzie zaczęli nazywać Zażółkiew – od rzeki Żółkiewki.

Do dziś wsie Niemienice i Zażółkiew łączy rzeka, na której ludzie wybudowali mosty, aby łączyły, a nie dzieliły.

Kamil Ołówka
Szkoła Podstawowa nr 3
w Krasnymstawie

Milena Sołowiej

„Stara olcha”

Był początek dziewiętnastego wieku. Ludwik Preszel – syn zamożnego handlowca Jana Franciszka Preszela z Brandenburgii, ożenił się z młodziutką Ludwiką Weberówną, córką właścicieli Żółkiewki. Po niedługim czasie Ludwik kupił majątek we wsi, która przylegała do dóbr w Żółkiewce. Właśnie tam zamieszkał razem z żoną. Młody Ludwik dbał o swój folwark, a także o chłopów, którzy w nim pracowali. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w dobrze rozwiniętych Prusach, Preszel wprowadził nowoczesne metody uprawy ziemi. Dbał o chłopów również pod innym względem. Chociaż w tamtych

czasach wielu się temu sprzeciwiało, Ludwik krzewił oświatę we wsiach należących do jego folwarku. Działania te docenił car Mikołaj, który nadał Preszelowi tytuł szlachecki.

Żeby uczcić to niezwykłe wydarzenie, Ludwik zorganizował w swoim dworku ucztę i polowanie dla licznie przybyłych gości. Przy obficie zastawionym stole, gospodarz opowiadał o licznej zwierzynie zamieszkującej pobliskie lasy i łąki. Podekscytowani szlachcice wsiedli więc na konie i ruszyli na łowy. Kiedy przemierzyli już kilka kilometrów, ich oczom ukazała się chmara dorodnych jeleni. Mężczyźni rozdzielili się, żeby móc upolować jak najwięcej zwierząt. Nagle rozległ się głośny huk strzelby. Młody rumak Preszela spłoszył się i zaczął galopować na oślep po łąkach, niosąc na grzbiecie swego pana. Niestety, po jakimś czasie, Ludwik spadł ze swojego konia, mocno raniąc się przy tym w nogę. Na jego nieszczęście, w gwarze polowania, nikt nie zauważył całego zajścia. Preszel podniósł się z ziemi, ale rana nie pozwalała mu iść o własnych siłach. Na domiar złego, ranny mężczyzna usłyszał ujadanie wilków. „Nie dam rady iść dalej, co ja teraz zrobię?" – rozmyślał szlachcic. Coraz bliżej słyszał wycie wilków. Nagle znalazł się przed ogromnym drzewem. „Nie wdrapię się sam na drzewo" – pomyślał. Niestety, jego jedyną drogą ucieczki była stara, wysoka olcha. Resztkami sił Ludwik wdrapał się na nią, zanim dopadły go wilki.

Po udanych łowach myśliwi powrócili do dworku Preszelów. Dopiero wtedy okazało się, że gospodarz nie wrócił jeszcze z polowania. Zaniepokojeni goście poinformowali o tym jego żonę. Ludwika natychmiast zarządziła poszukiwania męża. Służba przez długi czas przeszukiwała lasy i łąki, aż w końcu usłyszeli ujadanie wilków i wołanie o pomoc swojego pana. Licznej grupie dzielnych chłopów udało się przegonić watahę wygłodniałych wilków. Wszyscy bezpiecznie wrócili do domu.

Kiedy Ludwik powrócił do zdrowia, wyprawił wielką ucztę. Na cześć olchy, dzięki której przeżył, nazwał swój dworek Olchowiec.

Milena Sołowiej
Szkoła Podstawowa
im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego
w Żółkiewce

Kinga Świdnik

„Legenda o kapliczce na Krakowskim Przedmieściu"

Krasnystaw to małe urokliwe miasto położone nad rzeką Wieprz. Z miasteczka wychodzą cztery główne drogi na cztery strony świata: wschód, zachód, północ i południe. Jedna z dróg, ta która prowadzi na zachód w stronę Krakowa, ma swoją nazwę Krakowskie Przedmieście, bo ciągnie się wzdłuż ulicy Krakowskie Przedmieście.

Legenda mówi, że dawno temu nie była to zwykła ulica, tylko wieś o nazwie Krakowskie Przedmieście. Osada malowniczo ciągnęła się wzdłuż małej rzeki zwanej Żółkiewką. Dziś na jej długości znajdują się kapliczki i krzyże przydrożne. Kilka wieków temu nie było ich. Wieś ciągnęła się jedną stroną, na pagórkach stały pojedyncze domy, po drugiej stronie rozciągały się piękne widoki na łąki, pola i lasy.

Był właśnie pochmurny wiosenny dzień. Dokoła miasta przewalała się wojenna zawierucha. Trwały pierwsze potyczki z zaborcami, którzy zagrabili nasz kraj. Na okolicznych łąkach żołnierze rozbili obozowisko. Odpoczywali na nim ranni walczący. Nie był to przyjemny widok. Wszędzie słychać było jęki, część żołnierzy patrzyła martwym wzrokiem w niebo, część się modliła, część miała zamknięte oczy. Brakowało opatrunków, leków, czystej wody do obmywania ran. Okoliczni mieszkańcy pomagali rannym, jak tylko mogli. Jeden z mieszkańców udał się nad pobliską rzekę Żółkiewkę i nabrał wody w wiadra, które miał ze sobą. Podobno nazywał się Bojarski. Zaniósł wodę do obozowiska.

Następnego dnia wszyscy szukali człowieka, który ją przyniósł. Gdy mieszkaniec Krakowskiego Przedmieścia się pojawił, zapytano go, skąd pochodziła woda. Na początku chłop się przestraszył, że może komuś zaszkodził. Okazało się, że woda zdziałała cuda. W ciągu jednej nocy rany pozabliźniały się na rannych żołnierzach. Podana do picia konającym, przywróciła ich do życia.

Na pamiątkę tych wydarzeń właściciel łąki, na której odpoczywali żołnierze, wybudował kapliczkę jako wotum dziękczynne za cud, który się tu dokonał. Obok kapliczki posadzono drzewo i podlano je wodą z rzeki. W rocznicę tego zdarzenia przy-

bywali okoliczni ludzie, także uratowani wówczas żołnierze i zanurzali się w toni wodnej, wierząc, że woda z rzeki będzie ich chronić, jak to miało miejsce rok wcześniej.

Po wielu latach historia zatoczyła koło. Kolejna wojna i kolejni żołnierze zniszczyli kapliczkę, ścięli drzewo. Jednak po wykąpaniu się w pobliskiej rzece zaczęli ciężko chorować. Ludzie mówili, że to kara boża za zniszczenie kapliczki.

Dziś najstarsi ludzie mieszający przy tej ulicy powtarzają, że woda z rzeki pomaga dobrym ludziom, złych skazuje na różnego rodzaju choroby. Kilka lat temu kapliczka została pięknie odbudowania, obok niej rośnie już sporych rozmiarów akacja.

Kinga Świdnik
Szkoła Podstawowa nr 3
w Krasnymstawie

Prace zakwalifikowane do publikacji:

Filip Olech

„Tymiankowa wieś – legenda o powstaniu Fajsławic”

Dawno, dawno temu na Lubelszczyźnie znajdowała się piękna i niezwykle urokliwa wioska położona pośród pól i łąk, między którymi wiła się bystra niewielka rzeczka. Mieszkali tam bardzo pracowici i szczęśliwi ludzie, którzy wiedli spokojne życie. Zajmowali się hodowlą zwierząt oraz uprawą warzyw. Dzięki hodowli i pracy na polu byli samowystarczalni. Zdarzało się, że czasem myśleli, aby zająć się czymś innym, ale bali się, że wtedy nie byliby tak szczęśliwi. Obcowanie ze zwierzętami i przyrodą dawało im poczucie spełnienia i radości. Pewnego lata rolnicy z niepokojem zauważyli, że wśród uprawianych warzyw pojawiła się dziwna roślina, której zapach był dość mocny i specyficzny. Nigdy jej wcześniej nie widzieli, byli bardzo zaniepokojeni tym, że mocna woń może zaszkodzić dzieciom i zwierzętom, a sama roślina – zniszczyć uprawiane warzywa. Nie myśląc długo, zaczęli się jej pozbywać. Ciężko pracowali, aby regularnie wyrywać każdą najmniejszą gałązkę. Z czasem jednak pojawiało się jej coraz więcej i więcej. Obawiali się, że jest to jakaś plaga, która dotknęła ich wioskę i zaburzyła dotychczasowy spokój. Jeden z mieszkańców postanowił sprowadzić swojego kuzyna, który znał się na roślinach, ich różnych odmianach, a na co dzień zajmował się zielarstwem. Do wioski przyjechał Filip Fajsławski. Mężczyzna, gdy tylko zobaczył tajemniczą roślinę, bardzo się nią zainteresował. Przez kilka dni wąchał, pocierał, suszył, rozdrabniał liście rośliny, aż wreszcie oznajmił mieszkańcom, aby już jej nie wyrywali, ponieważ może okazać się im bardzo przydatna. Starsi rolnicy początkowo nie chcieli słuchać tych słów, ale zaufali Fajsławskiemu. Roślina bardzo szybko się rozrastała i porastała pola. Filip odkrył, że jest to tymianek, który można przetwarzać na różne sposoby i wykorzystywać w codziennym życiu, np. do przyrządzania potraw, naparów leczniczych, maści i nalewek. Mieszkańcy zaczęli uprawiać tymianek w dużych ilościach. Poznali jego wszechstronne zastosowanie i dzielili się tymi nowinkami z wędrownymi kupcami, podróżnikami. Rozpoczęli sprzedawanie tymianku jako bardzo przydatnego produktu. Powoli stawali się coraz zamożniejsi. Dzięki tymiankowi wzbogacili się, ulepszyli swoje gospodarstwa i wybudowali nowe domy. Aby okazać wdzięczność człowiekowi, który podpowiedział im, co mają robić, uhonorowali Filipa Fajsławskiego, nazywając swoją wioskę „Fajsławice”. W ten sposób powstała nazwa miejscowości, która stała się bogatą wioską do dziś słynącą z uprawy tymianku, a mieszkający w niej ludzie nadal są szczęśliwi i spełnieni.

Filip Olech
Szkoła Podstawowa
w Fajsławicach

Jan Zdybel

„Legenda o trzech złotych karpiach”

Dawno, dawno temu herbami Krasnegostawu i jego powiatu były dwie puste tarcze. Mieszkańcom było z tego powodu smutno, ponieważ wszystkie inne miasta miały na swoich herbach kozły, niedźwiedzie i inne ciekawe maszkarony. A oni codziennie patrzyli na pustkę w ramkach. Jednakże na ich szczęście, pewna ryba z rzeki Wieprz, zanim została złowiona i zjedzona, złożyła ikrę, z której wykluły się trzy małe karpie – i to nie byle jakie! To były złote karpie.

Kiedy rybki dorosły do wieku trzech lat, postanowiły wyruszyć w świat. Podczas swojej wyprawy karpie znalazły kawałek chleba wyrzucony do wody. Najstarszy z rodzeństwa machnął ogonem i przeciął pieczywo na trzy równe kawałki. Wtedy najmłodsza z ryb wzięła dwa z nich, nie pytając nikogo o zgodę i od razu je zjadła. Dwa karpie się na nią zdenerwowały. Powiedziały jej, że jeżeli będzie się tak zachowywać, to popłyną w dalszą drogę bez niej. Biedna rybka nawet tego nie słyszała, bo uciekła, obawiając się konsekwencji, więc dwa karpie podróżowały już tylko we dwójkę. Mała rybka popłynęła na mieliznę, co okazało się błędem. Na niedzielne śniadanie staroście krasnostawskiemu zachciało się ryby z makaronem, czyli jego ulubionego dania, więc służba wybrała się na połowy. Gdy dotarli nad staw, założyli na wędki przynęty i je zarzucili.

Tymczasem głodny, mały, niczego nieświadomy złoty karp skusił się na piękną dżdżownicę, ale coś było nie tak. Robak smakował metalem… Zanim rybka zdążyła zareagować, służba ją wyłowiła i włożyła do wiadra. Zdesperowane zwierzę zaczęło uderzać ogonem jak opętane w ściany swojego więzienia, ale to nic nie dawało. W końcu ryba dała za wygraną i zmęczona opadła na dno. Zanim nasz nieszczęsny karp zdołał wybulgotać „jestem rybą”, był w kuchni. Kucharz się do niego uśmiechał, ale on wiedział, że zostanie zjedzony. Nie mógł już nic zrobić. Zostanie podany jako jedzenie na stole. Szef kuchni go przyrządził i podał z makaronem na czerwonym talerzu staroście, i choć było to jego ulubione danie, to zjadł same kluski, a ryby nawet nie tknął. Trapił go smutek spowodowany brakiem herbu, ale nagle doznał olśnienia. Przecież złoty karp na czerwonym tle wyglądał fenomenalnie! Czegoś jednak tam brakowało… Starosta wziął ostatnią kluskę i ułożył ją w dziwny kształt.

– Eureka! – krzyknął. – To będzie piękne! Jestem geniuszem! – dodał.

Natychmiast zawołał służbę. Powiedział im, że wymyślił herb dla powiatu, a wtedy oni mu przypomnieli, że jeszcze miasto Krasnystaw także żadnego nie ma. Wtedy starosta powiedział, że trzeba poinformować o tym burmistrza, a poddani tak uczynili.

Gdzieś w okolicy Wieprza żył sobie pewien stary rybak i dowiedział się o tym, że miasto Krasnystaw zazdrości powiatowi i szuka symbolu, jaki można by umieścić na nadal pustej tarczy. Chciał pomóc, ale nie miał pomysłu, więc poszedł łowić ryby, jak to miał w zwyczaju. Gdy miał zarzucić haczyk, coś przykuło jego uwagę. Zobaczył dwa złote karpie płynące w wodzie błękitnej niczym bezchmurne niebo latem. Pomyślał sobie, że ładnie by wyglądały na herbie Krasnegostawu, więc zgłosił swój pomysł do burmistrza. Stary rybak i jego projekt wygrały i od tamtej pory w herbie powiatu krasnostawskiego jest jeden złoty karp, a w herbie miasta Krasnystaw – dwa.

A dwie rybki prawdopodobnie nadal sobie pływają w Wieprzu i ciągle znajdują kawałki chleba, które dzielą na pół, a ta zjedzona przez starostę patrzy na nie z nieba.

Jan Zdybel
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie

Jan Henryk Cichosz

Z cyklu: „Moje lapidaria”

Tadzio, Tadek, Tadzik (Tadeusz Rak 1951-2023)

Znałem go niemalże od przysłowiowej kołyski. Był moim dalekim krewnym i kolegą z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości. To był jeszcze czas biegania za fajerką popychaną tzw. kulbaką. Czas gry w pikora, palanta i dwa ognie. Czas objazdowego kina z rozwieszonym płótnem na drzwiach stodoły. Czas podziwiania wału drogowego napędzanego węglem i drewnem, którym władał przemiły i wielce wyrozumiały dla dzieciarni pan Wojciechowski. Czas furmanek, tzw. żelaźniaków. Czas pól pełnych snopów zboża poustawianych w dziesiątki, zwożonych później do stodół, i czas omłotów.

Tadzio, Tadek, Tadzik, bo tak go wołano, po ukończeniu szkoły podstawowej w Wielkopolu, a później szkoły zawodowej w Żółkiewce, poszedł na zawodowego do wojska w Piszu w którym wytrzymał tylko trzy lata. Po krótkim powrocie do rodzinnego domu, wczesną jesienią 1972 roku wyjechał do Brzegu Dolnego, aby podjąć pracę w tamtejszych Zakładach Chemicznych „Rokita”, w których przepracował 40 lat.

Tadek już od wczesnej młodości był zapalonym filatelistą i numizmatykiem i pozostawił po sobie przepiękne zbiory, o których w naszych rozmowach zawsze mi opowiadał.

Na kilka dni przed swoim niespodziewanym odejściem mówił mi o wielkiej miłości i tęsknocie za Lubelszczyzną i rodzinną Wielobyczą. To On m.in. przyczynił się do napisania mojego wiersza „Nas matki zgrzebno pszenne”, który jest o tych wszystkich, którzy wyfrunęli ze swoich rodzinnych gniazd w daleki i obcy świat.

Nas matki zgrzebno pszenne

Krzyżem wysokiego nieba namaszczały
Ojcowie weselem sadów słodkich
Nam praojców baśnie biletem były
Do miejsc gdzie chleb pieniądzem dzwoni
A nadzieja na jutro, na być może
Powrotny bilet
- wróżenie zielarek

(…)
A później już w nowych gniazdach
Oddaleni o pacierz tak łatwo zapomniany
Bojąc się każdej nocy
Gdy sen prowadzi ścieżką
Do początku prawdy

(…)
Prawdy nasze układamy na regałach lśniących
Błędy w kuferkach zbitych z desek kołysek zapomnianych
I dziwimy się, że każdy list od ojców jest bardziej nieczytelny
I tak oto trwamy bezimiennie skazani na wieczną drogę
niepowrotu

Nasze ślady

W książce „Wypisy z ksiąg użytecznych” (Wydawnictwo Znak, Kraków 2000) pióra Czesława Miłosza na stronie 305 został zamieszczona pieśń buszmenów w tłumaczeniu Czesława Miłosza:

W dzień kiedy umieramy,
Przychodzi wiatr,
Żeby zabrać nasze ślady,

Wiatr wzbija pył,
Żeby zakryć znaki,
Które zostawiliśmy

Bo gdyby nie to,
Mogłoby się wydawać,
Że ciągle jeszcze
Żyjemy.

Dlatego wiatr
Jest tym, który przychodzi,
Żeby wywiać
Nasze ślady.

Moje wiersze

W najnowszym kwartalniku „Akcent” 2(172)2023 na stronach 62, 63 i 64 zostało zamieszczonych siedem moich wierszy. Oto dwa z nich:

Stary poeta

Nie na chybił trafił, tylko z wielką
Rozwagą i starannością zapisuje to
Wszystko czego jeszcze nie ma
Litera po literze. Kartka po kartce
Jest coraz bliżej tego co doskonałe
I nieosiągalne
Wie, jak mało kto, że nie ma
Granic i pewności, a wszystko to
Tłumaczy na przyszłe języki
Nic dodać i nic ująć są li tylko
Pozorami zapisanymi kredą
Na tablicach różnych czasów

Jestem jak dom…

Jestem jak dom na oścież otwarty
Klucz i wytrych tu nic nie znaczy
Na progu łasi się kot i pies szczeka
Dla porządku
Wciąż ktoś przychodzi i odchodzi ktoś
Czasem przeleci pszczoła w drodze do ula
I przyfrunie ćma by przytulić się
Do światła…
Jestem jak dom na przestrzał otwarty
W drodze do wieczności…

Ostatnia okazja

„Heniowi najserdeczniej, Zbyszek.
Maj 2023”

Z taką piękną dedykacją otrzymałem drogą pocztową debiutancką powieść Zbigniewa Dmitrocy „Ostatnia okazja” (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, ss. 313). Tej książki na próżno szukać w krasnostawskich bibliotekach, a także była nieosiągalna w krasnostawskiej księgarni, która zmarła na kapitalizm. I wielka szkoda, chciałoby się rzec, albowiem prozatorski debiut poety, tłumacza poezji rosyjskiej i licznych książek dla dzieci, ze wszech miar zasługuje na uwagę. *„Ostatnia okazja”, późny powieściowy debiut Zbigniewa Dmitrocy, świetnego tłumacza poezji rosyjskiej i autora książek dla dzieci, to nie tylko autoportret poety, artysty i intelektualisty, ale i przejmujący obraz polskiej rzeczywistości (od Poznania i Gdańska, przez Bieszczady, po pro-*

wincjonalną i wiejską, choć bynajmniej nie sielską i nie anielską, Lubelszczyznę), przedstawiany ze znajomością rzeczy – napisał na ostatniej stronie okładki nie kto inny, tylko Bohdan Zadura.

Dla mnie ta książka jest szczególnie bliska, ponieważ z jej autorem znamy się już ponad czterdzieści lat.

Jubileuszowo

Pierwszy wiersz napisałem w sierpniu 1968 roku, a więc 55 lat temu. Był to wiersz – bardzo daleki od poezji – o fascynacji Wyścigiem Pokoju. Po pięciu latach mojej pisaniny zrodził się wiersz „Wiejski cmentarz”, który został opublikowany w „Zielonym Sztandarze” jesienią 1972 roku i w tym samym czasie opublikowano go w „Kurierze Lubelskim”, a także zagościł w Polskim Radiu. Jednakże na próżno szukać tego wiersza w moich wydanych tomikach i antologiach z moim udziałem. W roku 1975 mój wiersz „Kończ sen”, został zamieszczony w „Kamenie”, a dokładnie w dodatku „Zapole”, który był redagowany przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. A później moje wiersze ukazywały się m.in. w takich pismach jak: „Akcent”, „Autograf”, „Fraza”, „Migotania”, „Nowy Wyraz”, „Okolice”, „Przekrój”, „Radar”, „Życie Literackie”, a jesienią 2023 znajdą się w miesięczniku „Twórczość”. Ponadto jestem współautorem kilkudziesięciu antologii i almanachów. Moje wiersze publikowane były także we Francji, na Białorusi, Litwie, Słowacji i Ukrainie. Z dotychczas wydanych tomików, najwyżej cenię „Stacje” (Wyd. TAWA, Chełm 2019).

Podczas uroczystej sesji Rady Miasta, związanej z 619. rocznicą Krasnegostawu, mój jubileusz, w trakcie którego otrzymałem Nagrodę Kulturalną Województwa Lubelskiego, rzeczowo i poetycko poprowadził mój przyjaciel Leszek Janeczek.

Zapomniany poeta

Trzydzieści dwa lata temu w nieistniejącym już „Słowie Powszechnym” (7-8-9 września 1991) ukazała się recenzja znanego krytyka literackiego Zdzisława Łączkowskiego o debiutanckim tomiku wierszy „Gwiazdy i nieskończoność” (Lublin 1990,

wydanym sumptem własnym) ks. Edwarda Wolskiego urodzonego w Ostrowie Krupskim k. Krasnegostawu. Oto fragment tej recenzji: *Zadziwiająca jest prostota wierszy ks. Edwarda Wolskiego. Autor doszedł do pewnej granicy i przekroczenie jej mogłoby stać się niebezpieczne. Ks. Wolski wie o tym i świadomie granicy tej nie przekracza. Powstają więc wiersze bardzo czytelne w odbiorze i w gruncie rzeczy przeznaczone dla każdego. Powstają wiersze o dużym ładunku religijnym, przybliżające nam podstawowe prawdy o Bogu*.

Wał Wojciechowskiego

To była druga połowa lat pięćdziesiątych. Czas przepięknego mojego dzieciństwa, pełnego wymyślnych zabaw i tych z czasów naszych poprzedników. Zdarzało się, że te nasze zabawy co pewien czas przerywał odgłos jadącego po tzw. kocich łbach wału, którym kierował Wojciechowski. Wał zatrzymywał się na krótki postój przy rzeczce, aby uzupełnić wodę w kotle i dołożyć drew i węgla, a pan Wojciechowski pozwalał nam na krótką przejażdżkę. Swego czasu pisałem już o tym w „Nestorze". I oto w trakcie promocji tego czasopisma poznałem córki p. Wojciechowskiego: Martę Kafarską i Barbarę Moros, z którymi pani Joanna Radziszewska zrobiła mi zdjęcie. A kilka dni wcześniej od jego wnuka Ireneusza Wojciechowskiego otrzymałem kilka zdjęć. Jednym słowem powrót do mojego dzieciństwa stał się niemalże realny.

Oikoumene

Są twórcy, dla których odczytywanie otaczających ich miejsc nie jest li tylko wymądrzaniem się, lecz pochylaniem się nad niemalże tym wszystkim, co niespostrzeżenie zatarł czas. Te jakże niepozorne, wydawać by się mogło drobinki, nieistotne dla współczesnego świata, są przez tych twórców ocalane. Jednym z tych twórców jest poeta, kronikarz i fotograf Robert Gmiterek, od pokoleń związany z Roztoczem.

Tak się złożyło, że na początku sierpnia wybrałem się pociągiem do Bełżca, tj. w pobliże zamieszkania poety, skąd już na rowerze w towarzystwie mojego kolegi Zbyszka Rzemieniuka pojechaliśmy do Zwierzyńca, po drodze podziwiając uroki tych stron i wczytując się w historię tej krainy. Po powrocie do domu czekała już na mnie w skrzynce pocztowej gustownie wydana książka „Oikoumene" pióra Roberta Gmiterka. Jest to książka pełna poetyckiej prozy i zdjęć, które w przepiękny sposób uzupełniają się nawzajem ze wspomnianym tekstem. Już wiem, i jest to zaklepane, że „Oikoumene" na dłuższy czas zagości na moim biurku.

Jan Henryk Cichosz

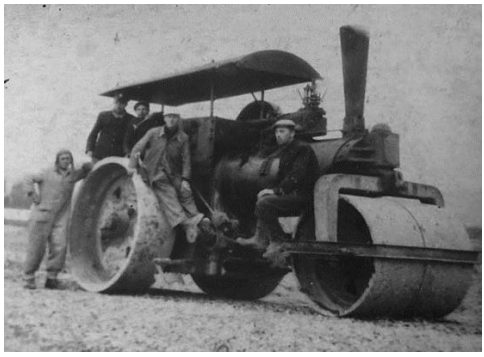

fot. z archiwum I. Wojciechowskiego

fot. Joanna Radziszewska

Pół wieku wierny muzom

Stenogram 50-lecia jubileuszu pracy twórczej Jana Henryka Cichosza. Uroczystość odbyła się 10 czerwca 2023 r. w Krasnostawskim Domu Kultury, w czasie obchodów Dni Krasnegostawu, połączonych z rocznicą nadania praw miejskich, wręczeniem wyróżnienia „Złote Karpie". Rozmowę z jubilatem prowadzi dr Leszek Janeczek.

Tło muzyczne: utwór „Misja" Ennio Morricone z filmu o tym samym tytule.

Poezja leczy rany, jakie zadaje rozum
Henryk von Ofterdingen („Novalis")

Leszek Janeczek: Dziś poświęcamy pół godziny, aby uczcić pół wieku twórczości naszego krasnostawskiego poety Jan Henryka Cichosza. Zechcemy przez Jego wiersze zobaczyć Jego wrażliwość i duszę. Chcemy, aby pokazał nam świat swoimi oczyma i swoją wyobraźnią. Aby nas zainspirował i zaraził swoją poezją. To będzie trudne zadanie, nie tylko dlatego, że mamy zaledwie pół godziny, ale i dlatego, że Henryk sam nie lubi dużo o sobie mówić. Słowami tak oszczędnie zapisanymi tworzy swoje wiersze. To one będą dziś mówić.
W poznaniu naszego Bohatera, on sam ułatwia nam nieco zadanie wierszem „Rysopis". Oddajmy Mu głos.
(recytuje Jan Henryk Cichosz):

Rysopis

Oto ja który jestem fanem wszystkich sztuczek
wciąż ślęczę nad zwojami map ufny w nieomylność
Kartografów i Literę Prawa doskonale wiedząc że
nic nie jest Ważne dopóki się nie dokona…
Porozbierane na czynniki pierwsze wszystkie wątpliwości
oglądam pod światło stopniowo tracąc ostrość wzroku…
I poczucie czasu.
Jak wygłodniały i poobijany pies
obwąchuję wszystkie tropy, dźwigając w plecaku na
przekór logice, doskonale podrobione klucze tak
jakby nie było wiary w to wszystko czego jeszcze
nie ma …
Oto ja stoję przed Tablicą Wielką z okruszkiem
kredy na kredyt…

L.J.: Jesienią 2022 roku minęło 50 lat od Twojego debiutu poetyckiego w „Zielonym Sztandarze", był to rok 1972. A więc w wieku 23 lat zostałeś oficjalnie poetą, debiutanckim wierszem „Wiejski cmentarz"? Ale ten wiersz później zamilkł, bo trudno go szukać w jakimkolwiek tomiku czy antologii. Można powiedzieć: pierwsze koty już dawno za płoty? Dziś, po 50 latach mówisz o poecie chyba także o sobie, gdyż wiele jest tu refleksji nad swoją drogą i przemianą. Znasz już wagę słowa. Wiersz „Poeta dojrzały":
(recytuje Patrycja Stojańska):

Poeta dojrzały

Nie na chybił trafił, tylko z wielką
rozwagą i starannością zapisuję to
wszystko, czego jeszcze nie ma.
Litera po literze. Kartka po kartce
jest coraz bliżej tego, co doskonałe
i nieosiągalne.
Wie jak mało kto, że nie ma
granic i pewności, a wszystko to
tłumaczy na przyszłe języki.
Nic dodać i nic ująć są li tylko
pozorami zapisanymi kredą
na tablicach różnych czasów.

L.J.: Mało tego, Henryk patrzy na siebie z dystansu, ale i czuje z latami coraz większe brzemię odpowiedzialności za słowo, które z Niego wyszło: uważa, że...
(recytuje JHC):

Poeta w sile wieku jest jak przysłowiowy baranek.
Zdziwiony patrzy jak pachnący mlekiem poeci
bawią się w pisanie wierszy doskonale widząc
że z białą kartką papieru wygodniej jest żyć.

L.J.: Jako człowiek dojrzały, wie coś, czego młodzi jeszcze nie wiedzą:
(recytuje JHC):

Poeta patrzy za siebie
gdzie wszystko już poukładane jak na wystawie
na której nawet najmniejsza skaza
zakryta jest idealnie
Nie dowierzając
poeta uważnie pod światło ogląda
od nowa wszystkie negatywy
tak jakby miał odkryć niedopatrzenie historyka.

L.J.: W wielu wierszach często występuje motyw, żeby powiedzieć za francuskim pisarzem Marcelem Proustem „poszukiwaniem straconego czasu". Czytelnik przynajmniej odnosi takie wrażenie. W wierszu „Autoportret" nasz poeta mówi:
(recytuje P.S.):

Autoportret

to ja
ciągle ten sam
w krótkich spodenkach
nie mam odwagi
zetrzeć
zapisanej kredą
tablicy dzieciństwa
w szkole
której już dawno
nie ma

...albo w innym pt. „Fotografia 50" z tomiku „Czas fotografii":
(recytuje P.S.):

Fotografia 50

otworzyłem drzwi
… i nie było mnie
tylko na środku
różowego pokoju
leżał mój
maleńki bucik

Czas ucieka każdemu z nas. Tęsknimy do dzieciństwa, ale nie umiemy tego tak pięknie i otwarcie napisać. Henryk zdaje się być wyznawcą greckiej tytanidy Mnemozyne, bogini pamięci, matki 9 muz, gdy w „Galerii ikon" mówi:

zastanawiam się, jak to wszystko na zawsze zatrzymać

Kluczowym pytaniem, które tu jak najbardziej na miejscu jest: co to w ogóle znaczy być poetą? Świat bardzo się zmienił przez ostatnie 50 lat, od kiedy zacząłeś pisać wiersze i być poetą. Co to znaczy być poetą dziś? I czy to coś innego niż kiedyś? Zwłaszcza dzisiaj, kiedy niemal wszystek nasz czas wypełnia mały cudowny prostokąt, w którym mamy cały świat w zasięgu nawet nie ręki a palca.

JHC: Dlatego należy wszystko, co nas otacza i przytłacza, szczególnie przytłacza, spokojnie analizować. I poeta to czyni i powinien to czynić.

L.J.: Poeta i Twój przyjaciel Edward Franciszek Cimek, niestety już zmarły, w wierszu Tobie poświęconym, napisał o Tobie jako o poecie, takie ewangeliczne zdanie:

jak ziarno jesteś pod brzemieniem grudy.

Podobnie jest ogromnie ważne i każdego z nas zawsze zastanawia jak się rodzi wiersz, jak powstaje poezja? Czy to jest natchnienie, słynna wena, magia, olśnienie, czy udręka? Czy wszystko po trosze? Co się dzieje w duszy poety zanim wiersz powstanie?
(recytuje P.S.):

Przed napisaniem wiersza

Przed napisaniem wiersza
patrzę na wszystko jak dziecko
O północy szukam słońca
Pukam do otwartych drzwi
Jestem natrętny
jak wygłodniały pies
Patrzę poza czas
raz jeszcze próbuję
spakować dzieciństwo

i zawsze coś mi wystaje
z wielkiego jak Rosja kuferka
A to kawałek ogrodu
z samotną ławeczką po dziadku
A to niepotrzebny już nikomu
elementarz Falskiego
A to krótkie spodenki
A to staroświecki szkolny kaszkiet
Przed napisaniem wiersza
uczę się wszystkiego od nowa.

L.J.: To jest właśnie cofnięcie się do dzieciństwa. Romska poetka Papusza, urodzona niedaleko stąd, bo w Sitańcu koło Zamościa, mówiła, że wiersze do niej przychodzą, a później już nie przychodziły. Jan Henryk pisze jak to jest u niego w utworze „Zwykły wiersz":
(recytuje JHC):

Zwykły wiersz

Ten wiersz, jeszcze bez przecinka i kropki, jest
We mnie. Delikatny jak płatek śniegu za moim
oknem, przerażony bliskością ziemi i prawdziwy
jak ból po kimś bliskim.
Budzi mnie zawsze po północy albo nad ranem,
kołacząc do drzwi jak zabłąkany wędrowiec.
Niepodobny do tego wszystkiego, co już było.
Podpiera mi senne powieki. Wchodzi w krew.
Tnie brzytwą w najczulsze miejsca. Nie ma
sensu bronić się przed nim. Zwycięstwo zawsze
jest po jego stronie.
O szóstej nad ranem przychodzi sen, który
zalepia plastrami miejsca po wierszu.

L.J.: Ale wiersz nie powstaje tak od razu jako byt idealny i skończony. Trud jego tworzenia zdaje się oddawać utwór z tomiku „Stacje":
(recytuje JHC):

Stacja Wiersz

Chciałem go za wszelką cenę wygłaskać
a z niego jak na przekór co rusz wychodziły
kolce. Był niepokorny i nie do zniesienia
Od czasu do czasu wyfruwały z niego motyle i pszczoły.
Były urocze wschody, gorące południa i chłodne wieczory.

Budził mnie zawsze o trzeciej nad ranem cały oblany
zimnym potem prosząc
o przecinek lub kropkę. Nie dawał mi żadnych szans.
Zawsze był o krok przed, z szelmowsko przymrużonym
okiem. Nie sposób nauczyć się go na pamięć…

L.J.: Nie wypada nam w taki wieczór, nie zapytać szanownego Jubilata, co to w ogóle jest ta poezja. Częściowa i z przymrużeniem oka odpowiedź może być ukryta w utworze „Wieczór autorski".

JHC: Kiedyś mi się taki wiersz napisało po jednym ze spotkań w Chełmie, na którym jedna z pań zapytała mnie o moją poezję, że powinna być pełna metafor a nie prozy. I powstał ten oto wiersz.
(recytuje JHC):

Wieczór autorski

pani mi mówi
że to nie poezja
że brak tu piękna: metafor, czaru
przenośni etc.
a mój znajomy
droga pani
wczoraj w sklepie
przy butelce piwa: „te wszystkie łachy z magistratu,
takie owakie kurcze blade, a my tu tyle za browar"
a przecież droga pani
mógłbym inaczej, na przykład: pachnie jak w dalekim sadzie
chmielem i śliwkami
i wonnie i słodko dookoła
a nad butelką Bachus socjalistyczny psioczy na komunizm
ot tak sobie
tak więc droga pani
trudno powiedzieć
co to jest p o e z j a

L.J.: *Butelka piwa, sklep, browar, chmiel* – i kto by pomyślał, że jest to wiersz o poezji a nie o Chmielakach Krasnostawskich. W wierszu noszącym tytuł „XXIV Rozmowa z Ojcem" możemy usłyszeć słowa Ojca do syna poety:
(recytuje P.S.):

XXIV Rozmowa z Ojcem

a ty mi mówisz o poezji
(której nikt mnie nie uczył)
że jest jak matka
lub kochanka
kiedy wewnątrz nas
sypie śniegiem

L.J.: Zaś Henryk sam uświadamia sobie:

na skraju przestrzeni i czasu ja i mój wiersz.

Chyba każdy z nas zastanawia się: co to jest poezja. W szkole nie do końca tego uczą, mam wrażenie. Tematyka wierszy szacownego Jubilata jest bardzo zróżnicowana. Możemy znaleźć tematy, takie jak czas, przemijanie, dzieciństwo, ojciec i matka, wiara i Bóg. Są nawet erotyki. Ale jest jeden wiersz niepowtarzalny, który przywołuje mi skojarzenie ze słowami Jezusa: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z moich braci…". Jan Henryk ten wiersz bez tytułu dedykuje nam współczesnym. Za ten wiersz tu w Krasnymstawie, zanoszono do Niego pretensje. Żeby nie przyszło nam do głowy podejrzewać tu obecnych, trzeba dodać, było to bardzo wiele lat temu. Chociaż niektórzy z tego czasu są tu obecni na sali. Choć było to dawno, to każdy z nas musi odpowiedzieć sobie na pytanie czy aby nie jest on aktualny?
(recytuje P.S.):

****** moim współczesnym***

tak często gramy
znaczonymi kartami
by wygrać co nasze
by człowieka przegrać
za mały grosik
sprzedajemy ostatnią
koszulę sumienia
a przy stołach modlitwy
wybieramy Judasza
pewni
w muzeach zamkniętych
budujemy kościoły

sprawdzając
na wszelki wypadek
uczciwość kluczy

L.J.: Między innymi tym wierszem przekonałeś się chyba, jak napisałeś kiedyś, że:

z białą kartką papieru wygodniej jest żyć.

Henryk jest uważnym i wnikliwym obserwatorem, wrażliwy na człowieka i otaczającą rzeczywistość. Dość często piszesz o rozbieraniu, a nie jest to erotyk, na czynniki pierwsze. Piszesz:

*Człowieka można rozebrać, kartka po kartce, litera po literze, kropka po kropce***.**

Dla mnie w niezwykle oryginalny sposób opisujesz czas. Twoje słowa:

Płynie rzeka, a ja obok niej stojąc siwieję.

Znany, nieżyjący już pisarz, autor prozy poetyckiej, Tadeusz Nowak dał Ci pewną radę: „Pisz o tym, co cię boli, dotyka i nie daje spokoju, o tym, co cię otacza…". Wiersze Henryka często są bardzo plastyczne. W pierwszym okresie zwraca jednak uwagę i intryguje jeden kolor szczególnie często występujący – biel. Na dowód przytoczmy niektóre frazy z wielu utworów:

odwinięci z białych płócien
sanatorium białych drzew
za białym jak śmierć sadem
ptak odziany w białe pióra
wiosna jest jak biała kartka papieru
biały sad pełen motyli
biały koń kulawy
złowiona sieć na białym obrusie
na białych kamieniach pielgrzymi zmęczeni
czas śniegu białego jak opłatek
z białego jak śmierć prześcieradła
białe jak pierzyny obłoki

„In blanco" to tytuł jednego z tomików Henryka, po polsku znaczy „W bieli".

My się tak spieszymy, dlatego że ten ton nadali sportowcy piłkarz i karateka. Do poezji ten pośpiech nie bardzo pasuje. Picasso miał w swej plastycznej twórczości okresy zwane niebieskim czy różowym. Wygląda na to, że Ty miałeś okres biały. Gdyby padło słowo „patriotyzm", jakże aktualnie dzisiaj w naszym kraju brzmi Twoje zdanie i czy ono nas nie zawstydza? Czy nie powinniśmy czasem brać go do siebie? Trzeba go przeczytać bardzo wolno.
(recytuje P.S.):

coraz częściej całujemy Polskę
ukradkiem ocierając usta
I coraz częściej obmywamy ręce
bo tak jest lepiej

L.J.: W swoich wierszach nie wstydzi się ukazać swojej słabości, gdy pisze:
(recytuje P.S.):

Litera po literze
coraz bardziej gubię się w czasie
to ja ciągle ten sam w krótkich spodenkach
który nie ma odwagi zetrzeć zapisanej kredą
tablicy dzieciństwa

L.J.: Przede wszystkim Jan Henryk porusza w swej poezji sprawy fundamentalne naszej egzystencji, ontologiczne i ostateczne:

doczytywanie życia boli jak drzazga pod
paznokciem
Kartki nieprzeczytanej Księgi Życia wertuje
samotnie wiatr
litera po literze
kartka po kartce
jest coraz bliżej tego
co doskonałe i nieosiągalne

L.J.: Zdobywa się nawet na spowiedź. Przyznaje do rzeczy, które każdy z nas ma w swoim sumieniu.
(recytuje P.S.):

Moja spowiedź

Pogubiłem klucze do wszystkich niedomkniętych
drzwi
Okulary do odczytywania ważnych rzeczy
Adresy do miejsc pierwszych
Niewysłane listy do tych, których już nie ma
Zapomniałem wszystko to co było dobrocią
Pamiętam wszystko to czego nie powinno się
pamiętać
Zbyt często pozostawiam pytania bez odpowiedzi
Zabieram głos w sprawach mało ważnych
Nie umiem powiedzieć „nie" nawet sobie
Zapisuję wszystko to co jest być może błahe

L.J.: To, co teraz powiem Henryk nie wie, gdyż nie zna scenariusza. Nie chciałbym Cię zawstydzić, ale mnie, Heniu coraz częściej kojarzysz się z mędrcem. Henryk zdaje się dochodzić do takich samych wniosków jak Sokrates dwa i pół tysiąca lat temu – wiem, że nic nie wiem, z tą tylko różnicą, że Henio daje swojej refleksji piękną poetycką formę:

Po stokroć przeczytane mądre książki
tak naprawdę
niczego nie wyjaśniają
i są podobne do kuponu totolotka
tuż przed losowaniem.
Jeśli już coś naprawdę istnieje,
to Wiara, jak czek in blanco

A w jednym z wywiadów wyjaśniasz:

To wiara jest czekiem podpisanym Bogu przez człowieka…

Jednocześnie jakby usprawiedliwiając się, Henryk przymawia się Stwórcy:

zawracam Panu Bogu głowę, w chwili, gdy jest zmęczony.

Zaczyna się podkład muzyczny. Stan Borys – utwór „Popiół i diament". Patrycja Stojańska recytuje po wybrzmieniu kilkudziesięciu sekund:

jestem jak dom na przestrzał otwarty
klucz nic tu nie znaczy
podobnie jak wytrych, mało użyteczny
na progu łasi się kot i pies szczeka dla porządku
wciąż ktoś przychodzi i odchodzi ktoś
czasem przeleci pszczoła w drodze do ula
i przyfrunie ćma by przytulić
się do światła…
jestem jak dom na przestrzał otwarty
w drodze ku wieczności

L.J.: Zbliżając się powoli do końca, na ten jubileusz życzymy Ci. Henryku wydania wielkiego tomu Twojej poezji o zasięgu ogólnopolskim. Piszesz nie tylko pięknie, ale i mądrze. W jednym z wierszy stwierdzasz: *„nic nie jest ważne dopóki się nie dokona”*. Niech i to zatem się stanie. I apeluję do wszystkich z władz tu obecnych, wspomóżmy naszego Poetę w tym przedsięwzięciu, póki czas. Tym bardziej, że w jednym z wierszy nasz Henryk zdaje się tracić ducha, pisząc tak:
(recytuje P.S.):

Nie mam odwagi
ja siwiejący poeta
zapisać białej kartki papieru.
A jeśli już zapiszę
to tak jakby się działo
wszystko to, co jest nazwane. Za kawałkiem
przestrzeni
jest niewiadoma
o której wszystko wiesz.
Tylko ta niepewność
drzemie we mnie jak zając pod miedzą.

Zatem wszyscy dodajmy Mu skrzydeł. Kochajmy poezję. Kochajmy poetów. Kochajmy naszego poetę Jana Henryka Cichosza i czytajmy jego wiersze także dla swojego dobra, gdyż: „Poezja leczy rany, jakie zadaje rozum”. Heniu, Sto lat!

JHC: Ja chciałem swojej żonie podziękować. Za cierpliwość, za wrażliwość. Ja wiem jak ciężko żyć z poetą. Dziękuję.

Widownia wstaje i śpiewa „Sto lat!”.

Autor scenariusza i prowadzenie:
dr Leszek Janeczek.

Jan Henryk Cichosz, Leszek Janeczek i Patrycja Stojańska.

Janusz Rzepka, Robert Kościuk i Jan Henryk Cichosz.

fot. Stanisław Kliszcz

Jan Henryk Cichosz otrzymał Nagrodę Kulturalną Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego. Nagrodę wręczył członek zarządu Urzędu Marszałkowskiego Zdzisław Szwed. Wśród osób składających gratulacje i życzenia w świetle reflektorów byli między innymi: pani poseł Anna Dąbrowska-Banaszek, wicewojewoda lubelski Bolesław Gzik, burmistrz Krasnegostawu Robert Kościuk, przewodniczący Rady Miasta Krasnegostawu Janusz Rzepka, przewodniczący Rady Powiatu Witold Boruczenko, starosta krasnostawski Andrzej Leńczuk, poetka Teresa Sobestjańczuk, licznie przybyli literaci chełmscy z grupy „Lubelska 36”, członkowie Porozumienia Ziemi Krasnostawskiej i wielu innych w kuluarach.

Poezja – Monika Nagowska

Monika Nagowska

Wiersze dla smutnych sióstr

Bestiariusz

Jesteś tłumaczem za-przysięgłym
własnego życia na wciąż obcej wyspie,
w świecie doskonałych klasyfikatorów
pewnych swego zdania.

Patrzą na ciebie
i widzą to,
co sami znają najlepiej.
A ty tłumaczysz się niestrudzenie.
Walczysz z własnym zmieszaniem.
Masz ochotę wykrzyczeć:
To
po prostu
JA
oddzielone
poza
systematykę!

Wtedy kolejna ocena
usadza cię na miejscu.
Jak zwierzę,
które nie ma wpływu
na przypisanie do gatunku.

Fragmenty

Potykasz się o codzienność.
Brakuje palców
do wspinania,
sięgania,
do głaskania życia,
ogarniętego w zbiór nigdy nie zamknięty.
W codziennej ekwilibrystyce,
ciągle pomiędzy od – do,
rozciągasz się w czasie i przestrzeni.
Ręce wydłużają się,
myśli chrzęszczą
i brzęczą,
jak sztućce w szufladzie.
Gdy sięgasz po więcej,
stajesz się przeźroczysta.
Z bliska widzą cię we fragmentach,
z wybranej strony.
Czasem z rutyny wybija zdziwienie,
że fragmenty tak różne,
w kontrastowej barwie,
skrajnej temperaturze.
Oczekiwanie większej spójności
trąci absurdem,
bo ciągle jest cię za mało
lub inaczej niż trzeba.

Hazardzistka

Twoje serce znowu czerwienieje
wśród odkrytych kart.
Masz szczęście kochać,
więc nie masz szczęścia w grze.
Z taką nadzieją
patrzysz w jego stronę.
Lecz znowu zgarniasz z aksamitnego blatu
coraz więcej złych myśli.
Unoszą się jak kurz,
ściskają krtań.
Znowu zostajesz przy stoliku sama.
Cała wygrana to garść wyrzutów sumienia,
kłujący w oczy
kolor żetonów.

Szelesty

Kruszy się w tobie dusza,
jak drobne gałązki
wysuszone słońcem wytrwałego uśmiechu.

Przy lekkim wietrze
osypują się w stos.
Wciąż ich więcej
w szeleście złych myśli.

Przed wiekami palono czarownice.

Anioł świętego spokoju

Wiem, że przyjdziesz do nas,
jak zawsze przychodzisz,
choć w ubrudzonej bieli,
w pośpiechu
biegnąc na ratunek.
Poruszysz skrzydłem raz i dwa,
poderwiesz z ziemi strzępki myśli, uczuć i wrażeń.
Opadną w równe rządki i wszystko stanie się jasne.

Czas odetchnąć z ulgą.

Niezbyt głęboko,
żeby nie zdmuchnąć poczucia równowagi.

Ewa Radomska

Poezja bliskim słowem pisana

Tomik poezji Dragana Jovanowića Danilova pt. „Homer przedmieścia" przysłała mi Olga Lalić-Krowicka, poetka, tłumaczka literatury serbskiej na język polski i polskiej na serbski, na co dzień mieszkająca w Dukli na Podkarpaciu. Tomik wydało wydawnictwo Ruthenus, Rafał Barski Krosno. Wiersze tłumaczyła Olga Lalić-Krowicka.

Zawsze zaczynam tomik poezji od kartkowania stron i zatrzymywaniu wzroku na przypadkowych wersach, to tu, to tam, bo już po nich widzę, czy chwyci mnie za serce i spowoduje iż z głodną niecierpliwością otworzę pierwszą stronę i oddam się tomikowi w całości…

A potem, kiedy już wiersze zaczynają układać się w nastrój, wyłania się z nich chwila zatrzymująca byt nasz powszedni, pojawia się tęsknota za czymś, co było, ale też tym, co może kiedyś będzie, zaczynam szukać słów, które szczególnie będą wyrażały to, co ja sama czuję, ale do tej pory nie umiałam ich tak sformułować, aby oddały mi moją prawdę. I jeśli takie słowa znajduję lub kilka splecionych w warkocz mojej wewnętrznej prawdy, wtedy poezja autora staje mi się tak bliska, jakbym była w swoim domu, do którego zaprosiło mnie jego natchnienie.

Już od pierwszego wiersza pt. „Starożytni nauczyciele" czuję swój dom. Bo przecież starożytność to moje uwielbienie tego czystego źródła, z którego wszystko wyszło i trwa nieprzerwanie.

Dragan Jovanowić Danilov

Starożytni nauczyciele

Ciągle od nowa wracają do naszych dni
starożytni nauczyciele, skąpi w słowach,
trochę zmęczeni ciężką pracą, którą
należy uznać, zrobić.
Obdarzeni darami,
godnymi bogami,

o zmierzchu mijają agorę
lub spacerują brzegiem,
z dala od marnotrawnej
rozrywki ludzkości
i hałaśliwych pijaków
ze śmierdzących tawern.

Nasi starożytni nauczyciele,
starzy prorocy, świadkowie
przyszłości, żyliśmy
w bardziej niejasnej epoce
snów; teraz w waszych
niewypowiedzianych słowach
szukamy echa.

Ponieważ wszystko staje się jasne,
gdy się patrzy
na sam rezultat: nigdzie
nas nie będzie bez was,
nasi starożytni nauczyciele.
I znowu poniesiemy porażkę,
Jeśli nie zniszczymy waszych
wielkich królestw.

Kilka wierszy dalej to, co mogłabym powiedzieć o sobie, ale nie potrafiłam tak dobrać słów. Oto fragment wiersza pt. „Koncert dla nikogo", którego tytuł to już zapowiedź moich myśli:

W każdym razie nie jestem kimś,
kto kiedykolwiek wiedział, jak się zrelaksować.
W dość zwyczajne dni panował strach
jako mój jedyny majątek ruchomy i nieruchomy...

Danilov łączy delikatne osobiste przeżycia, jak w wierszach poświęconych córkom Isabeli i Sofii, ojcu, babci, wspomnieniom z dzieciństwa, kobietom, ciału, przemyśleniom swojej wrażliwej poetyckiej duszy, z troską o przyszły kształt świata, który jest w rękach dzieci, polityków i… poezji. Ale jakże pełna niepokoju jest ta troska, bo zanim wykuje się z niej prawdziwa wartość, musi przejść przez swoje piekło.

Oto fragment wiersza pełnego goryczy i rozpaczy, bo dotyczy tych, którzy są najsłabsi, a zaczynają wymykać się nam, nie umiemy już zapanować nad ich dzieciństwem, ujarzmić złe demony:

Nasze dzieci

Nasze dzieci są bez oczu.
Nasze dzieci zdziczały
I mogą robić co chcą.
Nasze dzieci już nas nie traktują
na poważnie.
Nasze dzieci nie mogą znieść proroków.
Nasze dzieci są doskonale zsocjalizowane –
ewentualnie mamy jednego lub dwóch przyjaciół,
A nasze dzieci w sieci mają ich tysiące.
Nasze dzieci nie są świadome, że walizki
Kiedyś noszono w dłoni.
Nasze dzieci są naszym nie rozumem, który nas usprawiedliwia.
Nasze nieletnie dzieci bardzo się martwią
O przyszłość swoich rodziców.
Nasze dzieci myślą, że rodzice nie są ludźmi.
Nasze dzieci żyją pod ziemią i swoją
Dziczą rządzą światem…

Podobnie odnosi się do poezji przyszłości w wierszu „Młodzi, wściekli poeci”:

Najważniejsze jest to co pozostaje po uczcie!
Mniej więcej co pięć do sześciu lat
Na scenie pojawia się nowe pokolenie młodych ludzi,
gniewni poeci gotowi zmienić świat…
I rzeczywiście, słusznie się gniewają; tyle całej tej
nieznośniej poetyckiej zgnilizny wokół;
tyle brudnego sentymentalizmu, który
powoduje gniew; demony folkloru, które powinno się
przebić kołkiem głogu…

I konkluduje:

I tylko dopiero jeden z nich
ten, który został upokorzony przed
ciemnym lustrem w sobie
jak starożytny egipski
skarabeusz w bursztynie
przedłuża swoją żywotność.

Ale oto i jest śmierć, która jest nieodłącznym elementem życia.

Kaniony

Starość przychodzi, gdy zaczynamy żyć ze śmiercią
Jak z wiosną. Nie trzeba być uczonym
encyklopedystą, aby wiedzieć,
że rzeczywistość nie może być oszukana...

(fragment)

Dragan Jovanović Danilov urodził się w 1960 roku w Pożedze (Serbia), studiował w Belgradzie historię sztuki, wydał wiele tomików wierszy.

Dziękuję Oldze Lalić-Krowickiej za przysłanie mi tego tomiku. Była to poetycka uczta, odnalazłam w niej swoje myśli, kłaniam się z szacunkiem i uznaniem Poecie.

Ewa Radomska

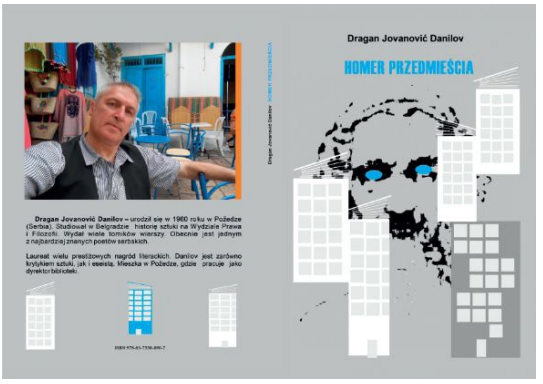

Dragan Jovanowić Danilov, „Homer przedmieścia”, przekład Olga Lalić-Krowicka, wyd. Ruthenus, Krosno 2023, ss. 64.

Ewa Radomska urodziła się 28 sierpnia 1948 r. Jest absolwentką Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracowała w biurze Rady Miasta Wrocławia ponad dwie dekady, aż do przejścia na emeryturę w 2008 r. Pisywała artykuły publicystyczne do gazet oraz utwory satyryczne do „Karuzeli” i „Szpilek”. Laureatka głównych nagród (2005 i 2007) Konkursu im. Stanisława Jerzego Leca w Nowym Targu na fraszkę i aforyzm oraz nagrody „Mala paprika” (2022) przyznanej za aforyzm przez serbskie pismo literackie „Svitak”. W swoim dorobku posiada pięć tomików aforyzmów, trzy zbiory poezji, trzy bajki, zbiór felietonów „Szpilki, Karuzela i innych wiela” i książkę dla dorosłych „Ja, z Bajkowa”. Wybrane opowiadania znalazły się w różnych antologiach. Aforyzmy tłumaczono na język włoski i serbski, zaś tomik „Wiersze z pierwszego tłoczenia” na serbski. Od dziesięciu lat mieszka w stolicy i udziela się w Towarzystwie Przyjaciół Warszawy Oddział Stare Miasto. Wyznaje zasadę, że „Tylko spokój może człowieka uratować”.

Poezja - Jagoda Kljaić

Jagoda Kljaić (1950, Glina, Chorwacja) pisze krótką prozę i poezję. Ukończyła Wydział Nauk Politycznych Uniwersytetu w Zagrzebiu i posiada wieloletnie doświadczenie zawodowe w dziennikarstwie. Publikowała na łamach bałkańskich antologii i czasopism literackich, a jej wiersze przekładano na język polski, rosyjski, słoweński, bułgarski, angielski i macedoński. Szczególną uwagę zwracają jej dwa poematy: „Vodeni žig" i „Mimoze u moru", a także zbiór opowiadań z dotkniętej trzęsieniem ziemi części Chorwacji zatytułowany: „Kuća sa zelenim barkodom". Zbiór wierszy w zanikającym dialekcie zatytułowany „Sa druge strane štreke" ukazał się w trzech wydaniach, po łacinie i w cyrylicy. Żyje w rodzinnym mieście, we własnym mikrokosmosie.

Jagoda Kljaić

Zimowy bez

Rozkoszuję się słodyczą
Skradzionego piękna
O które zahaczyłam
Spacerując samotnością

Nikogo nie wołałam
Imiona pociemniały
Ale usłyszałam westchnienie
Czasu zwiędłego.

Przemawia nieznanymi literami
Przeczuwam zdradę podwójną
Oddana tajemniczym kaprysom
Niebezpieczną dla mnie jasnowidzącą.

Bez w środku zimy
Nienazwany jak oznaka szaleństwa
Mogę mu nadać drugie imię
Gra będzie trwała do niebiańskości.

Dlaczego więc myśleć i podejrzewać
Jeśli tylko rozkwitł
Nie chcę oczami badać
Żeby mnie miłością otoczył.

Powinno się wchłonąć barwę zapachu
Wyciągnąć garść z otchłani
By łatwiej przelecieć w gorzkim bandażu
Do następnego zimowego bzu.

Rapsodia na obłoku

Wciągnął mnie obłok
pełny zielonych ptaków
które opowiadają bajkę
zasmuconych motyli.

Popłynęłam do niego
na skrzydłach wyschłego plusku
jakbym usłyszała
rapsodię niedźwięczną

Potknęłam się o otoczak
oświetlony ruchem księżyca
zwycięzcy który za głośno
szlocha symfonię.

Oślizgnął mnie zmierzch
oświecony małą niedźwiedzicą
nadaremno mierzy dale
roztopione dotykiem.

Obłok ukazał się
bez wypłoszonych ciem
pobiegł objąć słońce
zatańczyła czarodziejka.

Oszukałam siebie spokojną
przywidzeniem jakiejś nowej drogi
która skądś nadeszła
płynnym krokiem.

Zapomniałam o wirze niewyśnionym
co rósł przez nieskończone lata
ze schylonym dniem
przejrzałych smutków.

Składam ciszę głęboko
podziemie oświeca początek
toniemy w bezkresie
wszystko staje się treścią życia.

Przekład z języka chorwackiego:
Olga Lalić-Krowicka

Ladislav Babić urodził się w 1950 roku w Čakovecu w Chorwacji – w byłej Jugosławii. Studiował fizykę doświadczalną. Pisze wiersze, opowiadania, opowiadania SF, eseje i aforyzmy. Wydał dwa tomiki poetyckie: „Pjesme (za iščezle krijesnice)", „Odlazak" – satyryczny (elektroniczny) magazyn „MaxMinus" uznał go za najlepszą książkę satyryczną 2011 roku – oraz epistolarną książkę korespondencji wojennej „Ja i njihov rat", opublikowana w formie elektronicznej. Przed wojną i w jej trakcie publikował w kilku czasopismach. Współpracuje z portalami internetowymi. Reprezentowany w około trzydziestu antologiach poezji i opowiadań z regionu oraz w „Antologii aforyzmów ex Yu". Przetłumaczony na język polski, angielski i macedoński. Nagrodzony (najlepszy aforyzm, najlepszy zbiór poezji satyrycznej, najlepszy esej) w konkursie „Samir Tahirović-DIOGEN 2012". W elektronicznym zbiorze esejów „Lik stvari koje prolaze" znajduje się około czterdziestu spośród setek jego esejów pierwotnie opublikowanych na łamach portali i czasopism elektronicznych.

Ladislav Babić

***

Dwoje
na rogu ulicy mojej
stoi
i jakby się boją
przeliczając
szczęśliwości krople swoje.

Dwoje
na rogu myśli i nadziei
wątpi,
ponieważ każde z nich wie
że to
przeczuwanie złego jest.

Poezja - Ladislav Babić

Dwoje
dotrwało do granicy.
Stoi
upojeni mimo woli,
oboje,
przed zagrożeniem – Skończone!

***

Tak samo jak ty jawo
zwierciadło dźwięku,
zabrzmi ktoś
razem ze mną.

I jak echem
zwrócona myśl,
twoim śmiechem
będzie sensem mojego dziś!

Impresja

Podczas uroczystości dnia dzwon łagodzi noc;
zamiera na chwilę dopiero powstałe życie.
Warstwa wieków wchłania toń barw
rozpostarta w czasoprzestrzeni,
łącząc nas w mglistą masę.

Umartwiony niczym portret na płótnie,
zatrzymujesz się rozpieszczony muzyką,
podczas gdy harmonia dźwięku metafory
dominują nad chaosem świata.

Powstałe takty na chwilę nas oblepiają
w jedną kropkę; potem kleistością poruszą,
a odpływem dźwięku zamazują za sobą miejsca
spotkań.

Jeszcze chwyt inercji śledzi łaszącą się rzeczywistość
i przerwany ruch podobny do wodospadu
przelewa się do wszechstronnego prądu życia.

Zanika pozorny zarys jedności.
Do czasu przywitania następnego dnia,
do spotkania w tej samej kropce co wczoraj,
o której już zapomnieliśmy.

Przekład z języka chorwackiego:
Olga Lalić-Krowicka

Leszek Janeczek

Wszy znaczą pieniądze

– Mamo, śniły mi się wszy – rzekł rano po przebudzeniu niespełna 20-letni Józio Przysiężniak w Orłowie Drewnianym, wsi oddalonej około 14 km od Krasnegostawu. Było to krótko po wojnie.

– Ooo, to znaczy, że albo zgubisz, albo znajdziesz pieniądze – odrzekła Antonina, jego mama.

Józio tego dnia miał właśnie jechać do Krasnegostawu. Pomyślał sobie: zgubić to nie zgubię. Niewielkie pieniądze, które zabrał, dobrze schował za pazuchę, jak to się wtedy mówiło. Za kilka godzin młodzieniec szedł już przez krasnostawski park. Nagle zobaczył przed sobą, leżącą na ziemi dużą torbę. Podniósł i zajrzał. Cała była wypchana pieniędzmi. Wziął znalezisko ochoczo ze sobą. Kto by się z niego nie ucieszył, zwłaszcza w biednych powojennych latach. Gdy przyjechał do domu, zobaczono, że jest to wielki skarb. Banknotów tyle, że można kupić całe gospodarstwo, budynki z ziemią. No, po prostu wielkie szczęście. W domu zaczęto rozważać, co z tym fantem zrobić. Radość i pokusa wielka. Ale i wątpliwość zaraz się zrodziła, tak samo duża. Przecież to ktoś zgubił i teraz rozpacza. Sen się sprawdził. Gdyby Józio zgubił swoje niewielkie pieniądze zmartwiłby się trochę, ale teraz, gdy znalazł ogromną fortunę, martwi się jeszcze bardziej i nie tylko on, bo cała rodzina. Wszy śnią się zapewne na obie te ewentualności. Tu rodzi się refleksja. Przez park tego dnia przeszło zapewne wielu ludzi, ale znalezisko trafiło do tego, któremu przyśniły się wszy. Te pieniądze były jakby dla niego przeznaczone. Kiedy młody człowiek spał, torby nie było jeszcze w parku. Szli tamtędy inni ludzie. Sen zapowiadał, że znajdzie coś, co nie było jeszcze zgubione. Czas zdaje się nie mieć tu znaczenia. Tak chronologicznie – najpierw ktoś powinien zgubić, a potem inny przypadkowo znaleźć. Tymczasem szczęśliwy znalazca został już wybrany. Rodzi się pytanie: przez kogo? I wskazany wiele godzin wcześniej, zanim ktoś stracił tak wielki majątek. Józio spał w najlepsze, gdy los szykował mu niespodziankę. Jakby chciał mu, niczym biblijnemu Józefowi, oznajmić: – Oto dziś, bez żadnego wysiłku, staniesz się bogaty. W jednej chwili dostanie ci się coś, na co cała rodzina pracuje przez pokolenia.

Po rodzinnej naradzie ustalono, że kogoś spotkała tragedia i teraz ma wielki kłopot, rozpacza, może chce się zabić. Pieniądze zwrócono na milicję. Tam dowiedziano się, że nikt nie zgłosił zaginięcia. Czas mijał i nadal nikt się nie zgłaszał. Trudno się spodziewać, aby osoba stratna nie miała całkowicie pojęcia, gdzie to się stało. Ogłaszano w gazetach, księża informowali w kościołach o znalezieniu zguby. Nadaremnie. Nie zgłosił się nikt. W końcu, po roku, a może i dłużej, pieniądze przeszły na skarb państwa. Sumienie pozostało czyste. Lepiej byłoby, gdyby tego dnia Józio zagrał w totolotka, ale czy już wtedy istniał? Jest i inne wytłumaczenie tej niezwykłej historii. Ktoś celowo zostawił to w parku, bo chciał się pozbyć nieuczciwie zdobytych pieniędzy, jakby one go parzyły. Najpewniej była na nich czyjaś krew. Było to po wojnie. Prawdopodobnie wyrzuty sumienia były tak duże, że nie mógł z tym żyć. Przywłaszczył cudze i nawet mogło to wiązać się ze śmiercią – jednej osoby, całej rodziny, może wielu ludzi. Może były to judaszowe srebrniki za wydawanie kogoś Niemcom – może Polaków, może Żydów, może… Pozostała tylko niedopowiedziana opowieść i zagadka. Kto rządzi tym, żeby kogoś uczynić bogaczem? Bo, że rządzi to pewne. Sen Józia jest tego najpewniejszym, chociaż i najbardziej ulotnym dowodem. Drugiej takiej szansy w życiu Józef już od losu nie dostał. Nagrody za uczciwość też nie było. Skończyło się jak w bajce o złotej rybce. Wszy też się jemu już nigdy więcej nie przyśniły.

Realna groźba kogoś już nierealnego

W starszym wieku, prawie lat dziewięćdziesięciu, zmarł były dyrektor Szkoły Rolniczej w Krasnymstawie, pan Faustman. Po powrocie z cmentarza obydwie córki spotkały się w mieszkaniu jednej z nich, w jednym z najstarszych, jeszcze przedwojennym budynku na terenie rolniczaka. Ci, którzy byli tu mieszkańcami ponad pół wieku wcześniej, twierdzili, że w tych pokojach straszy. Ktoś ze starszych przypominał, jakoby Niemcy

w czasie wojny mieli tu przesłuchiwać i torturować młodych Polaków, partyzantów. No, nie wiadomo, czas zatarł fakty. Ale oto całkiem współcześnie mamy spotkanie, może godzinę po pogrzebie. Był jeszcze dzień. Zasłony dużego, szerokiego okna pokoju, w którym zebrała się najbliższa rodzina, były całkowicie odsłonięte. Gdy tylko obie córki zasiadły, niespodziewanie zięć zmarłego a mąż jednej z nich, wypalił:

– A teraz to ja wam pokażę! „Teraz", znaczyło kiedy nie ma już waszego ojca.

Ledwie skończył, zasłona okna, ta po lewej stronie, sama zaczęła się przesuwać przed ich oczami, rozciągając się na połowę szerokiego otworu. Całkowita konsternacja była udziałem wszystkich. Zapadła cisza. Obecni, zdawało się, wstrzymali oddech. Zaskoczony zięć, jakby cofnął się w siebie, już nic więcej nie powiedział i tym bardziej nie pokazał. Zrobił to kto inny, bez jednego słowa. Kawał solidnej tkaniny przyczepiony do szyn zamontowanych na suficie, choć tylko zaciągnął się na dużą szybę, faktycznie zasłonił i wziął w obronę obydwie córki. „Faust" po niemiecku znaczy pięść. Dobrze, że tylko na zasłonie się skończyło, tę zasuwa się ręką otwartą. Widać zmarły miał w zanadrzu plan B, jak się dzisiaj mówi, gdyby plan A nie pomógł. Mógł zasłonić, być może, tę po prawej stronie lub, co byłoby zgodne z jego nazwiskiem, użyć pięści. Zięć pewnie znał etymologię panieńskiego nazwiska swojej żony. Od tamtego dnia minęło kilka lat. Zasłona nigdy już sama się nie przesunęła, może nie było potrzeby, ale i nikt nie wypowiedział prowokacyjnych słów.

Ze sto metrów od tego mieszkania biegnie w Krasnymstawie ulica Sobieskiego. Codziennie przechodzi tędy i przejeżdża setki, a może i tysiące ludzi. I nikt nie podejrzewa, że pod tym zwykłym dachem mogło stać się coś tak niezwykłego. Więc i w Krasnymstawie jest, tak jak powiedział wielki brazylijski pisarz noblista Paulo Coelho w „Pielgrzymie": „niezwykłe można spotkać na ścieżkach zwykłych ludzi". Trzeba to tylko wyłuskać z tysięcy zwyczajnych ludzi, dni i miejsc, gdy tak wiele jest codziennie nieszczególnego i zwykłego, które przykrywa zasłoną niepamięci coś ważnego. Szukanie igły w stogu siana może być łatwiejsze. To zdarzyło się raz na prawie sto lat. I pewnie nigdy już się nie powtórzy.

Zbrodnia i kara, czyli skutki lektury

Uważaj, o co się modlisz, bo to może się spełnić
– przysłowie arabskie

Nawet sam Dostojewski nie mógłby przewidzieć tego, co stało się w Lublinie po lekturze „Zbrodni i kary", 120 lat od wydania jego dzieła. Byłem studentem piątego roku medycyny, gdy przeczytałem powieść tego wielkiego rosyjskiego pisarza. Fascynacja utworem zrodziła jednak myśl dziwną i natrętnie trwającą czas jakiś. Zapragnąłem spotkać prawdziwego mordercę.

Mroźnego styczniowego poranka roku 1983 udawałem się na zajęcia z psychiatrii do Abramowic słynących z dużej kliniki psychiatrii. Dojechałem do ulicy 1 Maja i stanąłem w małej kolejce do kiosku po bilet. Stało nas chyba z pięć osób, ja gdzieś w środku. Byłem ubrany w brązowy kożuszek, w lewej ręce trzymałem modną wówczas dyplomatkę koloru czarnego, prawą trzymałem w kieszeni, czy to z powodu mrozu, czy też dzierżąc wyliczone monety na zakup biletu. Nagle ktoś lekko stuknął mnie w lewe ramię, jakby chciał o coś zapytać. Odwróciłem wzrok.

- Wbiję ci nóż w serce i będę patrzył jak twoja krew wsiąka w śnieg.

Przede mną stał niższy ode mnie mężczyzna w średnim wieku, z gołymi rękami, beretem na głowie. Nieświeży oddech zalatujący wymiocinami, zdradzał sposób spędzenia ostatniej nocy. Twarz miał zmęczoną, jakby wymiętą, oczy przekrwione. Ubranie lekko sfatygowane. Od razu skojarzyłem, że nocą musiał być na jakiejś melinie, których wokół było pełno. Oczy lekko ściągnięte i nienawistnie na mnie patrzące. Ręce trzymane wzdłuż ciała, noża nie widziałem, ale po takich słowach najpewniej mogłem spodziewać się zaraz jego dobycia. No bo po co puste słowa miałby wymawiać? Na twarzy widoczna była tylko jakaś dzika pasja zaślepionej nienawiści skierowana do mnie, przypadkowego człowieka, którego chyba, a nawet na pewno nigdy w życiu nie spotkał. Zaskoczony nagłością sytuacji, nawet się specjalnie nie zląkłem, nie było na to czasu, na twarzy udawałem całkowity spokój. Ten spokój był swoistą mimikrą, demonstracją. Instynktownie wyrabiając sobie pozycję do

obrony i ataku, wystąpiłem krok, czy dwa z kolejki. Przede mną do okienka czekały dwie osoby, biletu nie zdążyłem więc jeszcze kupić.

Kilka lat temu przestałem uprawiać karate kyokushinkai lecz umiejętności walki i – można rzec – obycie bojowe, były u mnie jeszcze duże. Błyskawicznie ustaliłem w myślach mój wyprzedzający o ułamek sekundy kontratak, jeśli nastąpi cios. Ręce, dla uśpienia czujności, nadal trzymałem jak do tej pory. Lewa wciąż dzierżyła dyplomatkę, która teraz miała zastąpić tarczę i zasłonić przed atakiem. Prawa, nadal pozostająca w kieszeni, spełniała podwójną rolę – miała pokazywać napastnikowi kompletne zaskoczenie, brak mobilizacji i może nawet bezradność, a jednocześnie teraz była już zaciśnięta w pięść, która w momencie ataku nożem miała wyprzedzającym ruchem zmasakrować twarz przeciwnika. Czułem ogromną nad nim przewagę fizyczną, także w poziomie adrenaliny. Niższy, normalnej postury, znacznie starszy ode mnie, podmęczony nocną pijatyką. Resztki jakiegokolwiek strachu, jeśli się pojawiły, całkowicie znikły. Pozostało czujne oczekiwanie w mobilizacji potrzebnej do błyskawicznego rzucenia się na przeciwnika. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, co mam zrobić, gdy pojawi się nóż. W ocenie swoich sił czułem, że mój cios może go nawet zabije. Trudno tu precyzyjnie działać w zakresie obrony koniecznej. To byłoby coś jak pojedynek rewolwerowców – kto szybszy. Kiedy byłem jeszcze adeptem karate i reprezentantem Lublina na zawody krajowe, mój cios pięścią, po japońsku zwane *seiken tsuki*, był jednym z najsilniejszych w grupie ćwiczących.

Napastnik patrzący mi w oczy, jakby zawahał się. Liczył na wywołanie strachu, może zobaczył tę moją psychiczną przewagę i chęć podjęcia wyzwania. Najpewniej zobaczył we mnie coś jeszcze innego. Zacząłem z nim spokojnie, tonem bez agresji i pretensji, rozmawiać.

– Dlaczego pan chciałby mnie zabić? – jakoś tak zapytałem nieznajomego.

– Bo ty jesteś oficerem SB – odrzekł.

– Dlaczego tak pan myśli?

– Masz kożuszek i taką teczkę, jesteś na pewno oficerem SB.

– Nie. Jestem studentem.

Jego agresja topniała z minuty na minutę.

Już wiedziałem, że ataku nie będzie. Przeciwnik stawał się rozluźniony. Ważniejsze od zajęć w szpitalu stało się teraz dla mnie rozwiązanie niespodziewanej zagadki. Po przeczytaniu „Zbrodni i kary" chciałem przecież spotkać prawdziwego mordercę. Ściągnąłem go myślami? Raskolnikowa. Ale żebym to ja miał być jego ofiarą? Jak Lizawieta i stara Alona Iwanowna? Tego nie było w najśmielszych przewidywaniach.

Zaraz wszystko się wyjaśniło. Człowiek ten pochodził z Gdańska. Wczoraj wyszedł z więzienia w Lublinie. W czasie wydarzeń grudniowych w Gdańsku roku 1970, razem z kolegą zastrzelił dwóch milicjantów. Dostał kilkanaście lat więzienia. Lata mijały. Żona znalazła sobie innego mężczyznę. Mieszkanie sprzedała, on nie ma teraz gdzie wracać. Opowiadał o torturach w więzieniu. Wbijano mu szpilki pod paznokcie. Myślałem, że to było tylko za niemieckiej okupacji. O metodach UB, my młodzi, wtedy nic nie wiedzieliśmy. Ściągano mu paznokcie. Rozpłakał się. Pokazał mi swoje dłonie. W miejsce płytek paznokciowych była jakby lekko pomarszczona młoda, różowa skórka. Widziałem to pierwszy raz w życiu. Po wyjściu z zakładu karnego upił się, prawdopodobnie z przygodnymi znajomymi. Żal mi się go zrobiło. Był jak porzucone dziecko, bez rodziny, bez domu, bez pieniędzy, niemający gdzie skierować swoich kroków. Życiowy bankrut. Na dodatek chcący kogoś zabić, żeby ta jedna ofiara starczyła mu za zemstę na całym aparacie przymusu państwa, który gnębił go kilkanaście lat. Teraz chciał komuś powiedzieć o swoim nieszczęściu. Wszystko jedno komu. Nawet temu, który przed chwilą wydał mu się uosobieniem znienawidzonego systemu.

Tak to moje myśli i chęć spotkania prawdziwego mordercy znalazły swoje zupełnie nieoczekiwane spełnienie. Po raz pierwszy w życiu, doświadczyłem na sobie mocy arabskiego przysłowia. Potem były następne razy...

dr Leszek Janeczek

Leszek Janeczek (1958). Doktor nauk medycznych, ginekolog, regionalista, działacz społeczny i samorządowy, autor książek. Laureat m.in. krasnostawskiego wyróżnienia „Złote Karpie" oraz kawaler Orderu Nestorii.

Danuta Śniak-Filipczak z domu Lekostaj urodziła się w Borysławiu. W wieku sześciu lat zamieszkała w Jarosławiu. Ukończyła tamtejsze Liceum Sztuk Plastycznych i rozpoczęła naukę w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi. Zmuszona przerwać studia, porzuciła malarstwo na trzy dekady. W wieku dojrzałym wróciła do malowania. Spełniając marzenia o domu na wsi, opuściła Jarosław i zamieszkała w Bzowcu na Lubelszczyźnie. Chętnie uczestniczy w plenerach malarskich. Swoje prace eksponuje na wystawach poplenerowych, rodzinnych (malują też dzieci i rodzeństwo) oraz indywidualnych.

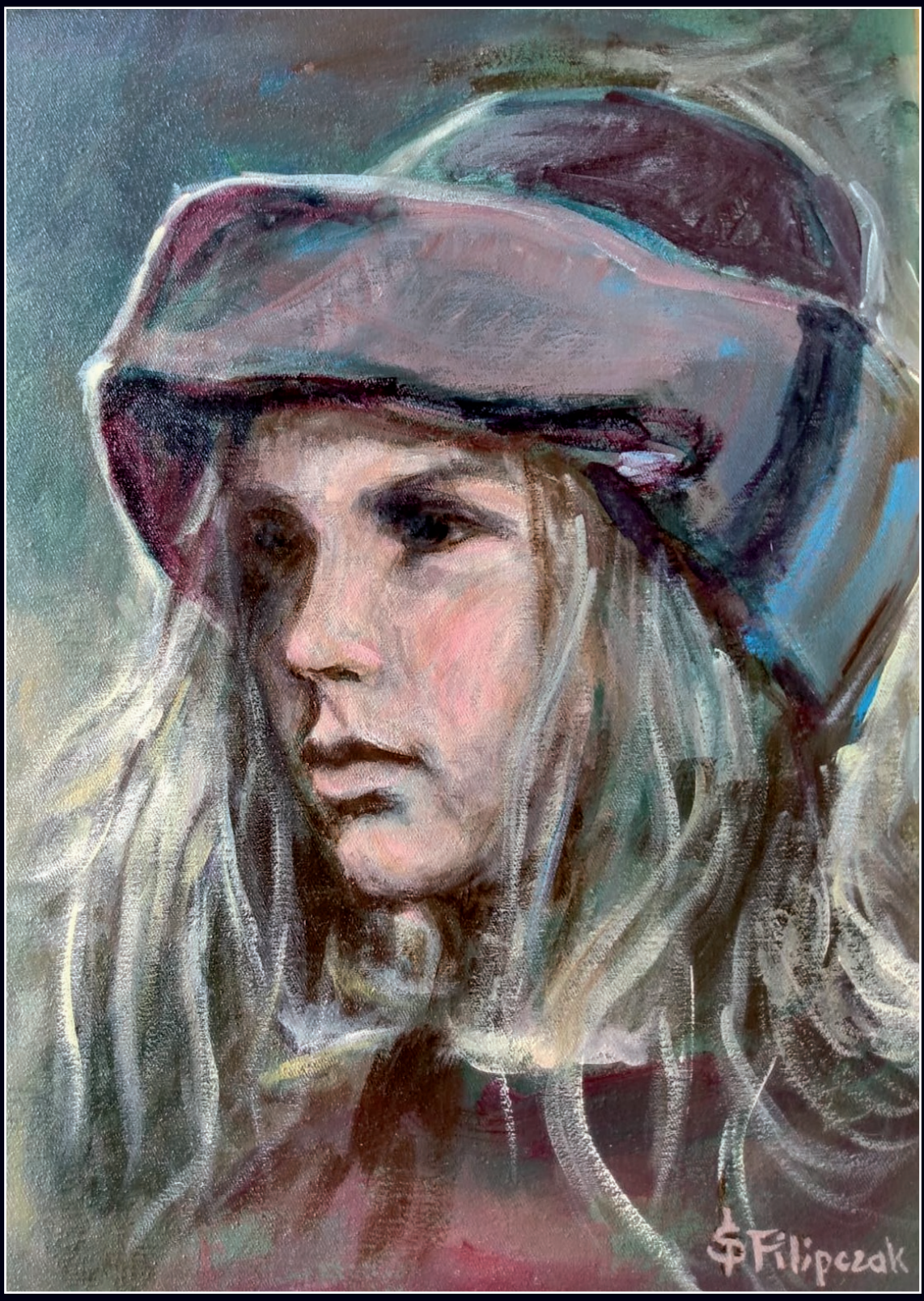

mal. Danuta Śniak-Filipczak